

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



KORNEL MAKUSZYŃSKI

Wielka Brama

**WYDAWNICTWO TOWER PRESS
GDAŃSK 2001**

I

Najsłodsza wonią pachną w czerwcu akacje i wakacje. Woń akacji upaja pracowite pszczoły, rozkoszna woń wakacji w gorączkowe podniecenie wprawia młodych ludzi, których z jakąś trudnością można by przyrównać do pszczół obłąkanie pracowitych. Zdarzy się wśród nich niejeden truteń, niezmiernie łapczywy na miód, a ciężkim, rozdzierającym westchnieniem wzdychający na widok pracy.

Piotr Korecki był złotą pszczołą w rozszumiałym, tysiącem głosów brzęczącym szkolnym ulu. Pracował z tą słoneczną radością, która lata nad kwiecistym zagonem, niezmordowanie czynna; radość ta jest szczęśliwa, ponieważ świat jest piękny, pokropiony wodą rosy, zrumieniony rumieńcem wschodów, szyty złotymi niemi zachodów, wyprany z kurzów, pyłów i dymów w gęstym dżdżu burzy, napełniony gorącością słońca, a po dniu barwnym i świetnym płynący po wielkim, czarnym morzu ciszy, wpatrzony sennym okiem w gwiazdy. Piotr patrzył na świat oczarowanymi oczami młodości i wszystko wydało mu się piękne i takie czyste jak jego spojrzenie. Stał na samym brzegu życia i niezbyt daleko sięgał spojrzeniem. Nie wiedział jeszcze, co się dzieje tam daleko, za widnokretem, gdzie słońce zapada w złotokrwawej łunie; tu, przed jego oczami, życie barwiło się jak łąka o wczesnej wiosnie, kiedy ponad nią śpiewają beztrudnie szare grudki: skowronki. Miał dopiero piętnaście lat. Jego całym światem była szkoła, pełna radosnych głosów, taka właśnie łąka spryskana kolorami. Światek ten był malutki, a jednak tak wielki, że w nim, jak w państwie hiszpańskiego króla, nigdy nie zachodziło słońce. Stąd, z tego zakątka, wypływały, jak rzeki, wszystkie drogi na całą ziemię: trzeba było jedynie znać trudną, tajemniczą sztukę wielkich podróży. Na błękitnym znaczku pocztowym, który przemyślnym sposobem Piotr wycygał za dwa pióra i jedną bułkę od Tadzia Koniewicza, wymalowany był okręt. Zaprawny w srogich przedsięwzięciach podróżnik z czwartej czy piątej klasy brał w posiadanie fregatę, wywieszał na niej swoją własną banderę, werbował załogę z największych zabijaków i wypływał ze szkolnej przystani na Morze Przygody, na Ocean Marzenia, na Wyspy Szczęśliwe. Jakież król podróżował wspanialej, jakież Vasco da Gama zapłynął dalej? To nic, że na południowych wodach płomień buntu ogarnął fregatę... Oczywiście, że nikt inny, tylko jednonogi, fałszywie układny John Silver bunt ten rozkrzawił. Na Wyspie Skarbów uczynił przecie to samo... Kędzierzawy Genek znał na wylot Johna Silvera i kazał go rzucić w morze pełne rekinów.

Piotruś Korecki podróżował po wszystkich wodach świata, po błękitnych i szmaragdowych, po wiecznie spienionych i leniwie śpiących, ciężkich jak oliwa, po brudach wodnych o stalowym złym połysku i po falach ogromnych, pod chmury wzdętych pychą, ryczących jak lwy i dlatego jeszcze do lwów podobnych, że zmierzwił na łbach miały grzywy. Dotarł do dalekich ziem, które od początku świata morze brało sztormem jak niezdobyte twierdze; był na atolach koralowych, stojących w czuby palm; na czarnych ładach błąkał się śmiertelnymi ścieżkami Livingstona i Stanleya w zatrutym oddechu puszczy, w ciężkich, dławiących oparach bagnisk. Przewędrował świat i coraz to nowe czynił wyprawy w porze najbardziej sposobnej: w łaskawym, znużonym zmierzchu wieczora. Ukończywszy lekcje, pracowicie i sumiennie, zęgnął się serdecznym spojrzeniem z senną ziemią i wkraczał radosnym krokiem na jacht, co w jego przystani kołysał się zawsze gotowy do podróży. Na zniszczonym szkolnym atlasie, w którym szumiały grzmiącym szumem wszystkie morza, wykreślał drogę daleką, jak najdalszą. Wczoraj był na Wyspach Salomona, dzisiaj odwiedzi perliste wody, na których srebrzą się w księżycowej poświacie Paumoty. Nie może zabawić tam długo, gdyż jutro musi być w szkole, w dalekiej Warszawie. Jeszcze zresztą nie czas na

wyprawy dalekie, na sine i we mgłach tonące krańce świata; dopiero za tydzień, kiedy wielki krzyk ogłosi wakacje, rozpocznie się podróż dokoła ziemi. Nie można ze zbyt ciężkim ładunkiem podróżować na malutkim okręciku z pocztowego znaczka, a książki szkolne należą do ładunków najcięższych.

Piotruś rad czynił te wyprawy w marzenie, z malutkiego mieszkania przy ulicy Dobrej. Ojca nie pamiętał, a matka umarła przed sześciu laty. Miała takie jasne oczy jak i on, tylko nie tak radosne. Oczy te patrzyły w niego niespokojnym spojrzeniem. Był zawsze chłopcem wesołym, burzliwym i żywym jak iskra, ile razy jednak matka przytulała go do siebie gwałtownym ruchem i długo, długo patrzyła w jego twarz, jakby ją sobie chciała zapamiętać, tyle razy czuł, że wesołość w nim gaśnie i jakiś niezrozumiały smutek pada na niego jak cień czarny i zimny. Powtarzało się to coraz częściej, coraz częściej. Patrzył na matkę rozumnie i widział, że jest bardzo blada, a jej oczy, wielkie i jasne oczy, tracą blask jak błękitne niebo, co szarzeje przed wieczorem. Razu jednego matka powiedziała dziwnie:

– Piotrusiu, nie patrz tak we mnie...

I przymknęła oczy.

Kochał ją tak gorąco, że każde jej słowo było dla niego święte. Już nie patrzył, lecz myślał w dzieciennym sercu:

– Czemu oczy mojej matki gasną?

Myślał o tym i w szkole, i wszędzie, i zawsze. Myślał o tym, kiedy jej nie było w domu, a nie było jej często, gdyż uczyła na mieście angielskiego języka, a on też był jej uczniem. Wpadała na krótką chwilę, siadała ciężko dysząc i odpoczywała z zamkniętymi oczami. Piotruś siedział wtedy cichutko, bez ruchu i nie śmiał odetchnąć. Wiedział, że matka zaraz otworzy oczy, swoje jasne oczy i spojrzy na niego tak cudownie i tak tkliwie, że w dzień najbardziej pochmurny zaświeci słońce. Wtedy obejmował jej szyję i całował jej oczy. Jednego dnia jednak stało się coś, co się dotąd nie stało nigdy jeszcze. Przyszła tak bardzo zmęczona, że wchodząc oparła się o drzwi; potem ciężko usiadła i powiedziała cichutko:

– Och, jaka jestem zmęczona...

Odpoczywała z zamkniętymi oczami, lecz otworzyła je po krótkiej chwili. Wtedy Piotruś ujrzał, że jej oczy nie są jasne i że są pełne łez. Podbiegł ku niej i nie umiał wypowiedzieć innych słów, tylko te dwa, które były jednym:

– Mamo, mamo!

Matka chciała się uśmiechnąć, ale nie mogła, tak jakby ją coś zabolalo. Przytuliła go tylko do piersi, a Piotruś słyszał, jak jej serce bije gwałtownie, szybkimi, zmaconymi uderzeniami. Wtedy zapytał nieśmiało:

– Czy ciebie boli serce?

– Boli, synku, boli... – odpowiedziała cichutko.

Już tego dnia nie wyszła i położyła się do łóżka. Piotruś patrzył na nią przenikliwie, a ona zaczęła się uśmiechać. Jakoś inaczej niż dotąd, uśmiechała się jednak i znowu oczy jej tak pojaśniały jak czyste wody, gdy na nie słońce swoje blaski kładzie. Potem zaczęła mówić jakoś dziwnie. Zdawało się, że nie mówi, lecz chodzi po ogrodzie i zrywa kwiaty, te tylko, co najpiękniej rozkwitły. Każde słowo było kwiatem:

– Kocham cię, Piotrusiu, dziecko moje jedyne... Uśmiechnij się, o tak!... Czy zapamiętasz sobie, co ci powiem?

– Zapamiętam, mamusiu!

– Więc pamiętaj, abyś miał zawsze czyste serce... Ludzie są dobrzy, synku, i ty zawsze bądź dobry dla ludzi... Nie czyn nigdy nikomu żadnej krzywdy, nikomu na świecie... Żadnemu bożemu stworzeniu... Obyś nigdy nie był głodny, ale jeśli będziesz miał odrobinę chleba, podziel się nią z tym, co nie ma ani okruszyny. Czy będziesz o tym pamiętał, Piotrusiu?

– Będę, będę!

Matka wyciągnęła ku niemu rękę i długo gładziła go po głowie. Potem znowu zaczęła mówić:

– Bądź zawsze dzielny... Nie bój się żadnej pracy... Pan Bóg cię nie opuści, dziecko moje... Kochaj radość...

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale, widać, zerwała już wszystkie kwiaty w swoim biednym ogródku, czym się bardzo zmęczyła. Działo się z nią coś złego. Przez kilka dni przychodzili jacyś ludzie, cicho ze sobą szeptali i patrzyli na Piotrusia miękkim, dobrym spojrzeniem. Potem go wyprowadzili do sąsiadów, bo ktoś do matki miał przyjść bardzo ważny, tak ważny, że go oznajmiali srebrnym, rozplakany głośnie małego dzwoneczka. Gdy go zawołano z powrotem, poczuł, że wszystko dookoła gdzieś się zapadło i jakby rozplynęło we mgle, a tylko oczy jego matki pozostały, jasne i ogromne. Patrzyła w niego takim mocnym spojrzeniem, jak gdyby go ujrzała po raz pierwszy w życiu. Znowu się uśmiechała! Przez ten czas, w którym go tu nie było, wymyśliła pewnie jakieś śliczne, najpiękniejsze słowo, ale pewnie nie mogła go sobie przypomnieć i dlatego znowu zamknęła oczy, powoli, bardzo powoli. Piotruś zawsze przymyka oczy, gdy sobie chce przypomnieć trudne słowo, tylko że je potem otwiera, a matka już ich nie otworzyła. Nie przypomniawszy sobie i zasnęła z wielkiego smutku. Powiedzieli mu, że umarła.

Piotruś myślał uporczywie, jakie to mogło być słowo, którego nie usłyszał? Dobrze pamiętał o wszystkich, które mu matka słodkim głosem powiedziała dawniej; wiedział, że ma „kochać radość”. Jeszcze tego dobrze nie rozumie, lecz kiedyś zastanowi się nad tym głęboko i pojmie, co to znaczy. Gdzie jest ta radość? Skąd się ją bierze? Z czego się ją przedzie?

Z ulicy Złotej, u której wylotu na ostatnim przystanku tramwajowym zachodzi słońce i całą ulicę złotym napęla kurzem, zabrano go na ulicę Dobrą, co patrzy ku Wiśle. Rad był z tego, bo odkrywając w sobie gorące upodobanie do podróży, miał pod ręką wielką wodę i pocziwe, opasłe statki, chrapliwym głosem bucujące. Przygarnął go pan Modlewicz, którego żona była daleką krewną matki Piotrusia. Był to mechanik w warsztatach samochodowych, człowiek milczący i chmurny. Miał płowe oczy, bystro patrzące i bardzo spracowane żyłaste ręce, tak uczernione czarnością ciężkiej pracy, że żadne mydło wybielić ich nie mogło. Twarda to była dusza, jak gdyby sękata, lecz uczciwa i prosta. Z trudem ogromnym wydobywał kawałek chleba z żelaza i stali, a często padał na ten chleb rosisty, umęczony pot. Może dlatego nigdy się nie uśmiechał i może dlatego skąpił słów, których szukał jak gdyby z trudem. Nie miał czasu na długie gadanie. Przywykła już do tego jego żona, kobieta smutna i cicha, i dorastająca córka. Modlewiczowa miała twarz wiecznie zdziwioną i wiecznie zatroskaną, jak gdyby w smutnej duszy ważyła jakieś ciężkie zagadnienie, którego nie mogła rozwikłać. Dziwiło ją wszystko, co się działo dokoła niej, a najbardziej dziwiło ją to, że tysiąc czarnych trosk i czarne zgryzoty, którymi nieustannie i uporczywie zaczynał się każdy dzień, nie powaliły jej i nie odebrały jej sił. Smutno było w tym domu, a w powietrzu jakby się unosiła szara, ciężka mgła, jak opary mydlin w pralni. Zdawało się, że żaden kwiat nie mógłby kwitnąć w mieszkaniu, do którego słońce nigdy nie zajrzało, bronił mu bowiem wejścia wysoki, odrapany, liszczami wilgoci pokryty mur.

Przyprowadzono tam Piotrusia, zalęknętego i nie zdającego sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje.

– Będziesz u nas – rzekła cicho, bezbarwnym, wypłowiałym głosem Modlewiczowa. – Nie pójdziesz na ulicę, biedactwo.

Stary, chmurny robotnik spojrzawszy na chłopca płowym spokojnym spojrzeniem i nie powiedział ani słowa. Westchnął tylko ciężko i położył mu na głowie sękatą ciężką rękę. Jak gdyby wiedział, że ta okrutnie spracowana ręka ma wagę młota, uczynił to ostrożnie i delikatnie. Znaczyło to: – „Bądź pozdrowiony, chłopcze, w moim biednym domu. Mój chleb będzie twoim chlebem...” – Córka Modlewiczów pomogła Piotrusiowi ułożyć w kącie jego skarby: książki, atlasy i kilka przedmiotów nieznanego przeznaczenia i do nieznanego służące

użytku. W jednym rogu izby urządzono mu tapczanik, w milczeniu wskazano stół, przy którym będzie jadł i przy którym będzie się uczył i w ten sposób zamianowano go członkiem rodziny. Była to uroczystość prosta i niewymyślna: uczciwi ludzie przygarnęli sierotę, żadnego nie okazując zdziwienia, że oni właśnie to czynią i nie żądają żadnych podziękowań. Piotruś rozumiał jednak, że ci nieznani ludzie czynią coś takiego, za co musi im być wdzięczny. Modlewiczowa w ostatnich dniach odwiedzała codziennie jego matkę i karmiła go troskliwie. Matka powiedziała mu, że ludzie są dobrzy. On rozumie, że tak jest. Musi być dobry ten chmurny człowiek, co twardą ręką gładził jego głowę, musi być dobra ta zdziwiona kobieta i ta dziewczyna, co z nim jedyna rozmawia, a czasem cichutkim głosem, cienkim jak nitka, nieśmiało śpiewa, gdy nikogo nie ma w domu. Piotruś jest jednak nieco strwożony, bo nikt się do niego nie uśmiecha, lecz w tym domu nikt nie uśmiecha się do nikogo. Powoli przywykł do tego i szanował milczącą, spopielałą, zatroskaną ciszę tego domu. Nieraz chciał krzyknąć, gdy jakaś nagła radość trysnęła z ukochanej jego książki, lecz ją uciszał. Radość swoją nosił w sobie i nosił ją w młodych jasnych oczach. Smutni ludzie patrzyli czasem w te jego rozradowane i pełne rozbłysków oczy z chmurną ciekawością. Pani Modlewiczowa miała wtedy na twarzy więcej zdziwienia niż zwykle i wpadała w zadumę, jak gdyby sobie coś przypominała z uciążliwym trudem. Bywały chwile, w których serce Piotrusia, głęboko czymś przejęte i bardzo wzruszone, musiało przemówić. Zbliżał się nieśmiało do Modlewicza i zaczynał mówić o czymś dziwnym czy radosnym, najpierw nieśmiało, lecz potem coraz żywiej i coraz goręcej. Słowa zaczynały fruwać jak ptaki i jedne goniły drugie. Zaczynały śmiać się, pokrzykiwać i tryskać z perlisną radością fontanny. Smutny, twardy człowiek spoglądał na niego z nagłym zdziwieniem, lecz potem pochylał się powoli i słuchał. Jakby oszołomiony, dotykał czarną ręką czoła, a w oczach zaczynało mu migotać jakieś ledwie widne światelko. A razu jednego, kiedy Piotruś przerwał swoje cwałujące po dalekim świecie opowiadanie, robotnik rzekł cicho:

– Mów dalej!

Piotruś mówił coraz częściej i wyniósł ze swojego ubożego spichrza wszystkie ziarna słów. Już ich nie miał więcej. Wtedy wpadł na pomysł, aby ich szukać w najbogatszym spichrzu świata: w książce. W niedzielne popołudnie brał książkę, taką najpiękniejszą, w której ryczy rozsrożone morze i po której wieją wichry, pełną słońca i wielkiej przygody, i nikogo o nic nie pytając zaczynał ją głośno czytać. Znał w tej książce każde słowo, sto razy przez nią przebiegł jak przez zaczarowany ogród, a jednak zdawało mu się, że wszystko w niej jest nowe: i morze, i wichry, i okręty. Oni słuchali w wielkim milczeniu, jak gdyby im ktoś ogromną wyjawiał tajemnicę. Milczeli też długą chwilę potem, kiedy Piotruś, z wypiekami na twarzy, zagnał korsarski okręt w gardziel Amazonki. Wreszcie któreś z nich westchnęło, a Modlewicz rzekł nieswoim głosem:

– Świat jest piękny...

Może byłby powiedział jeszcze jedno słowo, bo jego usta drżały, ale w tej chwili spojrzął przez bielmo okna na zły, liszajami pokryty wysoki mur, co ich odgrodził od tego pięknego świata, i zamilkł.

Następnej niedzieli wszyscy troje jakby się zmówili, bez wypowiedzenia jednego chociażby słowa, usiedli w niemym oczekiwaniu. Piotruś spojrzął na nich rozradowanym szczęśliwym wzrokiem i sięgnął do swojej biblioteki. Dotykał każdej książki wahając się, którą wybrać, a wtedy czarny robotnik rzekł nieśmiało:

– O morzu, chłopcze...

Znowu wypłynęli na dalekie siwe morza, gdzie ich goniła burza. Wicher, w szaleństwie nieposkromiony, rozwalił dom przy ulicy Dobrej, jednym podmuchem zniósł zły, wstrętny mur, porwał ich na grzbiet i gnał w stronę bieguna na połów wielorybów. Żagle trzaskały, jak gdyby strzelała bateria dział, ocean rycząc podnosił się ku niskiemu pułapowi nieba, trzeszczały wszystkie wiązania okrętu. Ponad burzę jednak, ponad zmacone i na wicherze

stargane głosy wystrzelał jasny, dźwięczny głos Piotrusia. Wtem Piotruś krzyknął, gdyż fala gniewem wzdęta chwyciła łódź, podniosła ją i straszliwym drapieżnym ruchem wgniotła w burą, rozchybotaną, pianą wściekłości pieniającą się otchłań. Sześciu ludzi nie wypłynęło już na boży świat. Piotruś przestał czytać na krótki moment, a wtedy wśród zdyszanej ciszy ozwał się drżący, łzami obłany głos Modlewiczowej:

– Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie!...

– Amen... – szepnął stary Modlewicz i otarł ręką czoło.

Piotruś coraz rozumniej patrzył na tych milczących ludzi. Już wiedział, że to nie gniew ani niecierpliwość, nie złość żadna ani niechęć każą im żyć życiem milczącym. To wielki trud życia zdławił w nich słowa. Nie zdołał jednak zdławić ich tęsknot ani tak w ręce zimnej i kościstej ścisnąć ich biednych, wyczerpanych i zgryzotami pobitych serc, aby nie marzyły o czymś wielkim, wspaniałym, groźnym i burzliwym. Serca te zaczerpnęły szerokiego oddechu wiatru i uczyniło im się lżej. Mały chłopak zaczął rozumieć ich lęk pełen grozy na widok sterczącego wciąż przed oczami muru; zaczął pojmować wieczne zdziwienie na twarzy zapracowanej kobiety, która zdawała się pytać zdziwionym spojrzeniem: – „Czy ziemia otoczona jest murem? Czy nie ma nigdzie wyjścia na świat, o którym powiadają, że jest wielki i pełny słońca?”

Gdy już wyczerpał bogactwo swojego księgozbioru, pożyczał dziesiątki książek i przynosił je do smutnego domu jak radosną nowinę. Szukał takich tylko, w których szumią lasami dalekie nieznane ziemie, w których słońce pierś sobie rozdziera o ostre szczyty gór, i takie, w których człowiek walczy z burzą i piorunem, z zasadzką puszczy, z gniewem morza, z obłądną śnieżycą, walczy i zwycięża. Wodził tych smutnych, zatroskanych ludzi po nieskończonych szlakach świata, po drogach, które wiodą w nieznane. Może tym się im odwdzięczy, może tym im zapłaci za okruszynę chleba, zdobytą w pocie czoła? Matka kazała mu być radosnym, więc szuka tej radości po całym bożym, słonecznym świecie, chwytą ją w chłopięce dłonie i przynosi ją, jak kryształową rzeźwą wodę, spragnionym biedakom, co mają spieczone usta. Teraz mu się zaczęło wydawać, że ich milczenie, jak gdyby cokolwiek odtajało, jakby zelżał mróz, co ściany tego domu sinym oblekał szronem. O, Bogu niech będą dzięki! Może się kiedyś stanie taki cud, że się uśmiechnie twarzą, jakby w kamieniu kuta, dusza tego śmiertelnie znużonego człowieka? Może przestanie się dziwić ta dobra kobiecina i powie cichutko: – „Widziałam radość!” – Może jednego dnia ta blada dziewczyna, poruszająca się z takim trudem, jak gdyby po ciężkiej wstała chorobie, nagle zaśpiewa?

Niezmiernie dobrzy są ci mroczni ludzie. Piotruś wiedział o tym, że Modlewiczowa podzieliwszy chleb zastanowi się czasem przez chwilę, potem ze swojej części odłamie jeszcze jeden kęs i przykłada go do jego części. Wiedział o tym, że kiedy na początku szkolnego roku trzeba było kupić dla niego książki, czarny Modlewicz długo tarł czoło, potem wyszedł. Przyniósł książki, lecz gdzieś się zapodział srebrny zegarek, taki chyba stary jak sam Czas. Niejeden raz widział, jak o świcie, jeszcze w sennym mroku, dziewczyna łąta jego koszule albo zatroskanym spojrzeniem przygląda się jego kamaszom, co smętny miały wygląd. Uczyniło mu się nieswojo. Milcząca dobroć tych biednych ludzi dokonywała jakiegoś bohaterstwa, byle tylko ten prawie obcy chłopiec mógł chodzić do szkoły i aby nie był głodny. Kochał ich uczciwie i gorąco, lecz zaczął patrzeć na nich z niepokojem. Być może, że wniósł do ich domu marną odrobinę radości, lecz za to zabierał im tę odrobinę chleba. Rozumie już wszystko doskonale, ma już przecie piętnaście lat. Przez sześć lat jadł ich chleb, przez sześć lat zabierał im powietrze nieszczęsnego mieszkanka. A o ten chleb jest coraz trudniej. Stary Modlewicz, wstając o świcie, stąpa ciężko i czasem westchnie tak smutno, że to westchnienie jest jękiem. Coraz częściej szepce o czymś z żoną, a ona po takiej rozmowie patrzy długo w ziemię, jak gdyby tam ukryta była jakaś bezcenna rada.

Piotruś zaczął rozmyślać. Trwożąc się, aby kto jego chmurnych myśli nie podpatrzył, czynił to o zmroku i nigdy w mieszkaniu, lecz zawsze na wymarzonych i dalekich ziemiach.

Ładował na jakiejś samotnej, skalistej, na pustkowiu morza zagrzebanej wysepce, siadał pod palmą i tam rozmawiał sam ze sobą.

– Jestem ciężarem dla biednych ludzi. Co mam uczynić? Wiele jeszcze przeminie lat, zanim będę mógł pracować. A czy znajdę i wtedy pracę? Kazała mi matka być dzielny... Wierz mi, matko, że będę dzielny. Kazała mi jednak, abym nigdy nikomu nie uczynił krzywdy, a ja przecie krzywdzę tych ludzi. Kocham ich i krzywdzę. Co począć, co począć?

Nazajutrz w szkole miał minę zatroskaną.

– Co ci jest? – zapytał go dobry przyjaciel, śmieszny chłopak, Ziembicki.

– Mam wielkie zmartwienie – odpowiedział Piotruś.

– Posmaruj sobie serce jodyną! – rzekł przyjaciel.

Piotr uśmiechnął się z przymusem. Poszedł nad Wisłę, w której kąpało się słońce i w której w błyskawicznym locie przeglądały się czarne, jakby dymem osmolone jaskółki. Patrzył na wodę, spokojną, lecz uparcie walącą przed siebie; coś ważył w duszy. Za tydzień rozpoczną się wakacje, pszczoły z ula rozlecą się na wszystkie strony, a jemu zabraknie nawet tych kilku groszy, które zarabiał korepetycjami. Po wakacjach trzeba będzie znowu iść do szkoły, a przecie stary Modlewicz nie posiada już drugiego zegarka. Jest już winien kilka złotych w sklepiku za chleb i za masło, które mu dawano do szkoły. Przekacny ten człowiek jest już stary, a jeszcze bardziej zmęczony; jednego dnia zabierze mu jego czarną pracę ktoś młodszy i dzielniejszy. Trzeba im ulżyć. Trzeba odejść... Ale dokąd? Wszystko jedno dokąd, byle nie zabierać im resztek chleba.

Rozwagał długo, siedząc nad wodą i wracał tu przez dwa dni następne, jak gdyby woda, z dalekich gór płynąca, miała mu przynieść wielką radę. Wreszcie postanowił. Wieczorem, kiedy wszyscy byli w domu, Piotruś zdecydowanym krokiem zbliżył się do Modlewicza, którego nazywał wujem.

– Wuju – rzekł głosem drżącym – ja mam ważną sprawę...

– Mów! – rozkazał Modlewicz.

– Powiem krótko: przygarnęliście mnie... Przez sześć lat jadłem wasz chleb... A wy go nie macie za wiele.

– Wystarczy... – powiedział cicho szanowny człowiek.

– Nie wystarczy! Jutro może go zabraknąć... Dlatego postanowiłem... Dlatego postanowiłem odejść.

– Dokąd? – wtrąciła cicho dziewczyna z ciemnego kąta.

– Nie wiem jeszcze... Pomyślę. Świat jest wielki, a ja jestem młody. Uczynię to z ciężkim sercem, gdyż kocham was... O, jak bardzo was kocham... Odejdę... Wystarczy mi tego, co umiem, a reszty nauczę się na świecie... Chciałem wam tylko podziękować... Jesteście tacy dobrzy, tacy dobrzy! Do końca życia nigdy was nie zapomnę... Zawsze będę pamiętał.

Ostatnie słowa skropiły się w łzy, z największym trudem wstrzymywane. Oni słuchali w milczeniu głuchym i udręczonym. Modlewiczowa miała na twarzy wyraz niepomiernego zdziwienia. Stary robotnik rozmyślał z takim trudem, jak gdyby orał ciężką czarną ziemię. Odwalił głęboką skibę i wy dobył z niej słowo:

– Dobrze, chłopcze...

Nagle zwrócił się w stronę ciemnego kąta i zapytał twardo:

– Kto to płacze?

Cichutki płacz zamilkł w tej chwili, a Modlewicz znowu zbierał myśli i zgarniał je ku sobie.

– Dobrze, chłopcze – powtórzył. – Idź!... Ale pamiętaj, że gdybyś ginął gdzieś na świecie, wracaj... Podzielimy się ostatnią okruszyną. Nieprawda, matko?

Modlewiczowa nie odpowiedziała, tylko wyciągnęła obie ręce w stronę Piotrusia, a on objął ją i całował niezmiernie zdziwioną twarz.

Nie mógł usnąć długo w nocy. Mieszkał w jednej izdebce razem z Modlewiczem i słyszał,

że robotnik też nie śpi. Wiedzieli o sobie nawzajem, że czuwają. Około północy Modlewicz podniósł się cicho z tapczanu, zbliżył się do Piotrusia i szepnął:

– Piotrze... Idź na morze!

II

Piotruś czekał jedynie na ostatni dzień szkolnego roku, a za dwa dni wyruszy w świat. Przedtem zwierzył się Jurkowi Perłowskiemu:

– Jurek, powiem ci coś w największej tajemnicy, jeśli nikomu nie powtórzysz.

– Za żadne skarby świata! U mnie tajemnica jak w grobie. Gadaj prędko!

– Za dwa dni wybieram się w świat.

– Nie może być!

– To postanowione... Będę szukał pracy i wybieram się nad morze. Na ziemi jest ścisk, a na morzu pewnie łatwiej.

Jurek, do głębi przejęty, pobiegł czym prędzej i pod wielką przysięgą opowiedział o tej nadzwyczajnej historii Krzysiovi Wilczkowi, Wilczek pobiegł wspaniałym pędem do Tadzia Podoskiego, Tadzik do Żebrowskiego, Żebrowski do Czaplicy, Czaplica do Wyszyńskiego, Wyszyński do Domagalskiego, ten do dwudziestu czterech innych przyjaciół. Jeden drugiego zaklinał, aby nikomu nie powtórzył ani słówka z historycznej rozmowy, bo Piotruś nie pragnie rozgłosu. Każdy przyjmował tę niebywałą nowinę z dreszczem podziwu i zachwytu, równocześnie jednak każdy pomyślał o tym, że w szkole zabraknie kogoś, kto sobie zdobył wszystkie serca. Na zawsze odejdzie z niej chłopiec radosny, z jasnym spojrzeniem, towarzysz najmilszy. Niejednemu z nich łzy zakręciły się w oczach. Zdawało się, że to młoda, jasna, czupurna i zawadiacka dusza szkoły płacze. Prędko jednak ocierali rękawem załzawione oczy, mężczyźni bowiem nie płaczą; zresztą Piotruś, wśród rozgarniętych najbardziej rozgarnięty, wśród wielkich wędrowców wędrowiec słynny i najbardziej doświadczony, wie, co czyni. Wszystko zapewne rozważył i wszystko obmyślił. I jemu chyba żal opuścić braterskie zgromadzenie, twarzą przeto konieczność gna go ze szkoły i pędzi gdzieś daleko, gdzie będzie samotny. Wiedzą koledzy, jak kto siedzi. Toteż w dniu ukończenia szkolnego roku zaczęła się dziwna wędrówka na ulicę Dobrą.

Przyszłed pierwszy Krzyś Wilczek, niby tak sobie, z wizytą.

– Piotrusiu – powiada – ja do ciebie ze śmiesznym interesem. Pomyśl sobie, szukam dzisiaj czegoś w szafie, aż tu patrzę: buty! Słowo daję, nowe śliczne buty. Ktoś je musiał tam włożyć, sam nie wiem kto. W sam raz na twoją miarę... To chyba twoje, czy jak?

– Nie, to nie moje.

– Niemożliwe! A czyje mogą być? Wszystkich pytałem, a każdy mówi: to chyba Piotrusia. Zresztą, co mnie to obchodzi? Byłeś u mnie tyle razy, zostawiłeś buty, a potem zapomniałeś, więc ci je odnoszę.

– Czemu łiesz? – zapytał Piotruś miękko.

– Żebym tak zdrow był! Zresztą spójrz na swoje buty! Czy w takich buciorach możesz wybierać się w świat?

– O, to ty wiesz? – zdumiał się Piotruś.

– O czym? – zaczerwienił się Krzyś. – Ja o niczym nie wiem! Że też ty zaraz jakieś posądzenia, domysły... Pewnie pojedziesz gdzieś na wakacje, a mnie się przegadało, że w świat... Nie znasz mnie? Zawsze coś takiego powiem ni w pięć, ni w dziewięć. Bądź zdrow, bracie... Strasznie cię kocham! Morowy z ciebie chłop... Bądź zdrow!

Niespodzianie rzucił się Piotrusiowi na szyję, uściskali się mocno i Krzyś wybiegł. Po drodze trafił w ścianę zamiast we drzwi, wyrócił stół i omal nie wyrócił serdecznie

zdziwionej Modlewiczowej. Piotruś patrzył za nim z rozrzewnieniem, potem z uśmiechem spojrzął na nowe buty. Tymczasem wpadł inny przyjaciel i zdyszczanym głosem opowiedział, że znalazł dwie nowe koszule, tu niedaleko, nad Wisłą, ze znakami P. K. i od razu się domyślił, że to Piotruś je zgubił; przyszedł Tadzio Koniewicz i długo gadał, i długo kręcił, a po jego odejściu Modlewiczowa przyniosła nową walizeczkę i bez słowa postawiła ją przed Piotrusiem. Przewinęło się ich z piętnastu przez ciemne mieszkanko, a każdy tak cudownie łągał i tak przedziwne zmyślał historie, że Piotruś zdumiał się:

– Przecie oni wszyscy wiedzą!

Każdy przybył z zawitym, rozpaczliwym kłamstwem i każdy coś przyniósł, choćby drobiazg najmniejszy, książkę czy ołówek, chustki do nosa, igły i nici. Niejedna matka szukała dnia tego nadaremnie przyborów do szycia.

Gdyby była wiedziała, dokąd powędrowały, miałyby łzy w oczach.

Pod wieczór przyszedł nieśmiało Jurek, ten „wtajemniczony”.

– To dziwne – mówił niepewnie – ale cała klasa wie o twojej wyprawie. Ciekawe, skąd się mogli dowiedzieć, bo przecie ja ani pary z ust...

– Nie szkodzi, nie szkodzi! – zaśmiał się Piotruś. – Musiało o tym być w gazecie.

– W gazecie, powiadasz? To oni piszą o takich sprawach? Możliwe, możliwe... Więc kiedy ty, przyjacielu?

– Jutro, najdalej pojutrze...

– A dokąd?

– Do Gdyni. A stamtąd, czyja wiem? Jeśli nie zginę...

– Ty byś miał zginąć? Nie, nie, nie zapalaj lampy... Przyjemnie się rozmawia... Widzisz, Piotrusiu, gdyby nie moje matczyśko, poszedłbym z tobą. Strasznie u nas jest głodno i smutno. I bardzo jestem zmęczony. Uczyłem siebie, nauczyłem innych, w ostatnich tygodniach spałem po cztery godziny, aby zarobić parę groszy. A ty, czy masz jakie pieniądze?

– W Banku Angielskim – zaśmiał się Piotruś. – Każę sobie przysłać.

– Tak... tak... – szepnął Jurek i długo rozmyślał. Podniósł się niespodziewanie, zbliżył twarz do twarzy przyjaciela, jak gdyby chciał ją sobie zapamiętać. Objął go rękami i pieszczotliwym ruchem gładził go po ramionach; potem mu ręka opadła tak, że palcami zaczepił o kieszeń Piotrusia.

– Niech ci Bóg pomaga – rzekł urywanym, drżącym głosem. – Wróc do nas, bracie... Niech ci... Bądź zdrow...

– Jureczku... – szepnął Piotr. – Jureczku...

Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł.

Usiadł potem i rozmyślał w mroku nad cudem przyjaźni. Serce miał wypełnione wzruszeniem, czystym i słodkim. Było mu żal opuszczać tych chłopaków serdecznych, a jednocześnie rad był i szczęśliwy, że jego wyprawa dała mu poznać, ile miłości płynie za nim na nieznanne drogi. O, koledzy! O wszystkim można zapomnieć w życiu, lecz o tych złotych uśmiechach przyjaźni zapomnieć nie można. Słoneczny poranek nie uśmiecha się piękniej i bardziej czystym uśmiechem.

W tej chwili włożył rękę w kieszeń i drgnął. Kieszeń była pusta, a cóż to znaczy? Zapalił światło i spojrzął na dłoń: pieniądze! Dwa złote samymi miedziakami, uciulane, długo zbierane, wygrzebane ze skały. O, Jurku! O, Jurku!... Nie będziesz jadł przez dwa dni, ale nie będziesz smutny... Będziesz się uśmiechał, żeś tak przemyślnie włożył je do kieszeni przyjaciela!

Nie wolno wzruszać się, nie wolno... Piotrusia coś chwyta za gardło, coś łagodnie, miękko dotyka jego serca, ale opanował się szybko. Jutro wybiera się na wielką wyprawę, nie pora przeto na tkliwe zadumy.

Plan ułożył najprostszy: ponieważ wie o tym, że budują wspaniałość Gdyni, przeto trzeba rąk do tej budowy. Należy udać się do Gdyni. Jak? Można pociągiem, można okrętem, Wisłą.

Wodą taniej, ale chociażby było najtaniej, Piotr nie ma na to pieniędzy. Zamiast pieniędzy można zaoferować pracę. Praca jest najprawdziwszym, najbardziej złotym pieniądzem.

Jeszcze nie otwarto biur Żeglugi Rzecznej, a Piotruś już był na posterunku, pod bramą; stał nieruchomy jak sztyldwach i liczył wchodzących ludzi.

– Któryś z nich musi być tym, który może rozkazać, aby mnie przewieziono – pomyślał. – Już czas!

Woźnemu oświadczył, że w niesłychanie ważnej sprawie musi się rozmówić z najgłówniejszym dyrektorem.

– A z mniejszym nie można? – zapytał woźny.

– Tylko z najgłówniejszym! – rzekł Piotruś groźnie. Woźny obejrzał go starannie; niezbyt dokładnie patrzył na twarz, lecz na zewnętrzny przepych tej ważnej osoby; porozmawiawszy z duszą uznał, że osoba przedstawia się wcale nieźle, gdy jednak, kończąc badanie, spojrzął na nowe błyszczące buty Piotrusia, skinął z uznaniem głową. Buty go pokonały.

– Spróbuję! – powiedział życzliwie.

– Niech Bóg panu zapłaci! – rzekł Piotruś serdecznie.

Woźny spojrzął na niego z litościwym uśmiechem, który dość wyraźnie oświadczył, że w tym wypadku można się spodziewać nagrody jedynie ze szczodroblivej ręki boskiej, pozory bowiem, olśniewające świetnością butów, często mylą.

Piotruś wszedł do obszernego gabinetu i uklonił się energicznie jakiemuś miłemu panu, na którego twarzy ujrzał zdziwienie. Przywyklszy do nieustannego zdziwienia na twarzy Modlewiczowej, nie przejął się tym zbyt.

– Czego młodzieniec sobie życzy? – zapytał dyrektor.

– Pragnę wyjechać Wisłą do Gdyni! – rzekł śmiało Piotruś.

– I po to tylko pan przyszedł, aby mi o tym oznajmić?

Piotruś drgnął, po raz pierwszy w życiu nazwany „panem”.

Jeżeli jestem „pan” – pomyślał – wszystko przepadło. Począł mówić z wielkim szacunkiem, ale śmiało.

– Tak, panie dyrektorze! Nie śmiałbym pana trudzić, ale mi się bardzo śpieszy. Ja muszę wyjechać do Gdyni!

– Więc cóż z tego? Proszę pójść do przystani, kupić bilet i pojechać. Szczęśliwej podróży!

– Do przystani mogę pójść, ale biletu nie kupię, bo zażądam pieniędzy...

– Oczywiście, że zażądam! – zdumiał się dyrektor.

– A ja nie mam pieniędzy – rzekł Piotruś.

– Luby młodzieńcze, niech mi pan nie zawraca głowy.

Czego pan właściwie chce?

– Przyszedłem prosić... serdecznie prosić, aby mnie pan kazał przewieźć, a ja zapłacę moją pracą. Wszystko mogę robić... Jestem silny...

Dyrektor wzruszył niecierpliwie ramionami.

– Nie możemy robić takich interesów. Bardzo mi przykro, ale nie możemy. Na statku żadnej pracy pan nie znajdzie, gdyż od tego są stali robotnicy. Naprawdę mi przykro... Do widzenia, młody panie...

Piotruś opuścił głowę i bardzo zrobiło mu się smutno; chciał uczynić pierwszy krok i utknął na brzegu a statek odjechał. Nie odszedł, bo jeszcze musi coś powiedzieć. I mówi:

– A Jim Cader, proszę pana dyrektora, popłynął za darmo z Singapuru do San Francisco... To trochę dalej niż z Warszawy do Gdyni.

Dyrektor spojrzął na niego, nie rozumiejąc.

– Jaki Jim Cader?

Piotruś ożywił się i tłumaczył szybko:

– Jim został sam w Singapurze, bo jego rodzice umarli, a w San Francisco mieszkała jego ciotka. Poszedł do kapitana wielkiego okrętu i opowiedział mu o wszystkim. Powiedział mu,

że w Singapurze umrze z głodu, a jeśli go zabiorą na okręt, będzie pracował za dziesięciu i kapitan go zabrał. Czy pan dyrektor nie czytał »Przygód Jima Cadera«? To dziwne, bo to śliczna książka.

Dyrektor podniósł się z krzesła i zbliżył do Piotra.

Spojrzał na niego uważnie, spotkawszy zaś czyste, jasne i śmiałe wejrzenie uśmiechnął się.

– Nie czytałem tej książki – mówił łagodnie. – Czy ty, chłopcze, jesteś taki Jim Cader?

– Tak, panie... Ja też jestem sam... W Gdyni nie mam ciotki, ale tam jest morze, a nad morzem łatwiej o pracę.

– Albo łatwiej, albo trudniej. Usiądź no tutaj, młody człowieku, i powiedz mi wszystko o sobie.

– Może pan nie ma czasu?

– Wszystko jedno... Gadaj, chłopcze, byle krótko!

Piotruś usiadł nieśmiało i począł opowiadać krótkie dzieje krótkiego swego życia: o swoim sieroctwie, o dalekich podróżach „na niby”, o przeczytanych książkach, o szkole i przyjaciółach, którzy go żegnali, o butach i o koszulach.

– Niech pan pomyśli – dokończył – co bym im powiedział, gdybym nie pojechał. Czyż to możliwe?

– Tak, tak to niemożliwe! – zaśmiał się dyrektor, ale jakoś dziwnie serdecznie. – Więc pojedziesz, drogi chłopcze, pojedziesz... Ja też kiedyś, bardzo dawno... Ale to wszystko jedno! Dzielnie się bierzesz do rzeczy i da Bóg, że nie zginiesz. Na imię ci Piotruś, czy tak?

– Tak! – odrzekł rozrzewniony chłopiec. – Nazwisko: Korecki.

– Kto ci powiedział, żebyś się zwrócił do mnie?

– Nikt. Pomyślałem, że pan rządzi Wisłą, a Wisła płynie do morza.

– Temu nie można zaprzeczyć, przynajmniej wszyscy tak mówią – śmiał się dyrektor. – Kiedy chcesz jechać?

– Zaraz!

– To cokolwiek niemożliwe, bo musiałbym ci dać osobny okręt. Pojedziesz jutro rano, o dziewiątej.

– Dziękuję panu – rzekł Piotruś z męską powagą. – Co mi pan każe robić na okręcie?

– Uważaj, abyś nie zabłądził i płynął wprost do Gdańska. Nic innego robić nie będziesz. Pojedziesz statkiem towarowym. Poczekaj chwilę!

Dyrektor usiadł przy biurku i pisał szybko.

– Ten list oddasz kapitanowi statku „Jagiełło”. Wszystko w porządku. Daj rękę, chłopcze... Bądź zdrow, Jimie Cader!

Piotruś wahał się przez chwilę, potem powiedział cicho:

– Czy... czy pan pozwoli, abym pana uściskał?

– Wal, bracie! – zawołał wesoło dyrektor objawszy chłopaka serdecznie. – Jesteś pierwszym pasażerem, który mnie ściska. Bądź zdrow, bądź zdrow...

Patrzył za Piotrusiem z rozrzewnieniem w oczach, z dobrym uśmiechem na twarzy. Po chwili telefonował:

– Zgłosi się do pana młody chłopiec... Tak, z listem... Niech pan wszystko uczyni, aby mu było dobrze... Chłopiec jak złoto... Kocha morze i jedzie na jego zdobycie... Tak, tak! Przejazd, jedzenie, wszystko za darmo... O, ja wiem, że się pan nim zajmie... Dziękuję, dziękuję... Że co? Że jestem wzruszony? Zdaje się panu...

Do widzenia!

Nazajutrz, o świcie żegnał się Piotruś z Modlewiczami. Dzień był słoneczny, bo na lizajach straszliwego muru lśniły złote odbłaski i szybko gasły dotknawszy rzeczy plugawej. Wszyscy wstali o świcie i chmurnym spojrzeniem wodzili za Piotrusiem, który w małej walizeczce układał swoje rzeczy. Czynił to z drżeniem rąk. I głos mu zadrżał, kiedy mówił:

– Niech te książki zostaną u was... Będziecie mnie pamiętali...

– My będziemy zawsze pamiętali – powiedział Modlewicz.

Pożegnanie odbyło się szybko, jak gdyby wszyscy lękali się, że jakieś łyzy wytrysną z zasypanego źródła. Modlewiczowa uczyniła znak krzyża nad głową chłopca, a stary robotnik powiedział twardo:

– Czas na ciebie.

I odwrócił się czym prędzej.

Piotruś szedł powoli, jakby dźwigał wielki ciężar; obejrzał się kilka razy, ale nikt za nim nie wyszedł. Mogło się zdarzyć, że albo w nich się coś załamało i tryśnie z nich taki krzyk jak struga serdecznej krwi i zatrzymają go, albo też w jego chłopięcej duszy zbudzi się taki wielki żal za tymi ludźmi, że czym prędzej do nich powróci.

– Bądź dzielny, bądź dzielny! – mówił sam do siebie.

Na przystani, u podnóża Zamku Królewskiego, ujrzał statek z napisem: „Jagiełło”. Gdy Piotr zbliżył się do brzegu, otoczył go krzykliwy zgiełk, z którego czasem wytryskiwał donośny okrzyk człowieka dźwigającego ciężar. Woda chlupała miarowo o cembrowinę brzegu, mokrym, zachłystującym się głosem bełkocąc wciąż to samo. Rzeką płynęło roztopione słońce, jak złocista oliwa wylana na wodę. Gdzieś za mostem buczał astmatycznym głosem statek pnący się pracowicie i ciężko dysząc w górę rzeki.

Piotruś wszedł śmiało na pokład „Jagielły”, trzymając list w rękę. Zdumiał się, gdy młody marynarz, ujrzawszy go, krzyknął do kogoś na statku:

– Nasz chłopak przyszedł!

– Dawać go tutaj! – odkrzyknął głos.

Stanął przed człowiekiem w mundurze marynarskim, szurnął nogami na powitanie jak przed profesorem w szkole i podał mu list. Kapitan czytał jednym okiem list, a drugim, zdawało się, pilnie mu się przyglądał.

– W porządku! – rzekł kapitan. – Za dziesięć minut jedziemy.

– Czy mogę tu pozostać? – zapytał Piotruś.

– Oczywiście! Czy chcesz pożegnać Warszawę?

– Tak jest, proszę pana kapitana. Nie wiem, kiedy ją znowu zobaczę.

Odcumowano statek, który zahaczał rozgłośnie, jakby chciał całej Wiśle oznajmić, że sam „Jagiełło” zmierza w dół rzeki. Zatoczył wielkie półkole i bijąc szerokimi łapami kół o wodę szukał głębi i wielkiego nurtu. Siadł na jego grzbiecie i płynął sapiąc odmierzoną oddechem. Piotruś sięgnął ostatnim spojrzeniem w stronę ulicy Dobrej – och, jakże dla niego dobrej! – i poczuł, że serce jego bije silniej. Musi tak bić. Piotruś jest na szerokiej drodze, która wiedzie w nieznaną. Dokąd go zawiedzie ta woda chłodna i obojętna, waląca z niezłomnym uporem przed siebie, nieczuła na to, czy niesie kawał drewna, czy serce człowieka? Jest to wielka woda, pracująca bez chwili spoczynku od zarania świata, więc nie obchodzi jej sprawy tak drobne jak pył. Ona ma napoić ziemie nadbrzeżne, obdarować je zielonym życiem i wlać w zachłanną, przeogromną gardziel morza swoje wody źródlane i roztopione śniegi. Jest to wielka rzeka, matka rzek, dostojna i jakby siwa. Toczy się jej nurtem odwieczna zgryzota, aby w niej wód nie zabrakło, tak jak żywej krwi w człowieku, więc zbiera po drodze i zagarnia w siebie rzeki-córki i strumienie-synów swoich, syci się ich białą krwią, pęcznieje ich bogactwem i rośnie. Każda kropelka wody jest dla niej bezcenna, a wciąż się trwoży, że słońce, co spieczone ma usta, wypije ją do dna. Gna przeto szybko przez puste połacie, niczym nie ochronione przed słońcem, zdyszana i wartka, byle się czym prędzej dostać pomiędzy rozchwiane ściany lasów, w głęboki cień, co z nich spęta zimny i siny. Wie o sobie, że jest karmicielką tych szerokich ziem, co padły na twarz i piją z niej spragnione; że bez niej uschną lasy, pokruszą się dęby i szejnie bezbronnie, wiotkie zboże. Oto niski brzeg przypadł ku niej i czołga się pokornie, jak spragniony pies. Pij, pij abyś nie zmarniał i abyś żył w zieloności! Oto człowiek bieży ku niej, pochyla się i nabiera w dłonie wody pomieszanej z odbitym błękitem. Pij, pij, abyś miał siły i mógł orać ziemię. Cała wielka

ziemia, szeroka i daleka, tuli się do niej, do rzeki błogosławionej, co się cudem bożym w każdej odnawia sekundzie, jak krew. Czymże jest ta rzeka Wisła, jeśli nie żyłą niezmierną, którą krew krąży nieustannie? Od lat tysięcy, od owych czasów, kiedy pierwszy dzień rozkwitł na ziemi jak blady krokus, szukał sobie drogi ten nurt nieustępliwy, od wiatrów zwiedziawszy się, w której stronie świata szumi czekające na niego morze. O tej rzece zasłyszały stworzenia żywe i zaczęły brnąć przez lasy i bory, bo tam, gdzie ona jest, tam tryska z ziemi siła rodząca i życie rośnie potężnym pniem, wysokie i mocne. Ludzie, którzy ją znaleźli w mrokach puszczy, osiedli na jej brzegach, mówiąc: – „Będziemy tu mieszkali na wieki wieków. Błogosław nam, rzeko!” – Umierali i rodzili się nowi, a ona trwała, wieczysta. Ci zaś, co umierali, nakazywali swoim synom, aby miłowali rzekę. Dlatego wszyscy, co się nad nią narodzili, miłują ją i zawsze będą miłować do skończenia świata.

W tej chwili dźwiga ona statek lekko i bez wysiłku. Udźwignie takich statków niezmiernie mnóstwo, jeśli będzie trzeba. Płynie powoli, mijając Zamek Królewski i sędziwe Stare Miasto tak w niej odbite, jak w splekanym zwierciadle.

Piotruś patrzy roziskrzonym wzrokiem na wysoki brzeg, na którym wieki budowały dla siebie kościoły i domy. Słońce praży dachy i oslepiającą strugą leje się po ich pochyłościach. Ponad nimi wytrysnęła białą chmurą gromada gołębi, co się zaperliły przez moment jak krople z fontanny aż pod niebo bijącej, zaróżowiły w słonecznym pyle i opadły gdzieś daleko. Na rzece jest szeroko i jasno. Nie ma już tego straszliwego muru, co zasłania świat cały biednym ludziom z ulicy Dobrej. Od rzeki wieje chłód rzeźwy i mokry. Miasto cofa się szybko, a po chwili niknie z oczu, nurt bowiem nagłym rzutem zatoczył się w bok ku zielonemu brzegowi zwisającemu ku wodzie.

Jakiś czar padł na chłopięcą duszę: niewidzialnym oparem podniósł się znad rzeki, obmył mu oczy i „załaskotał duszę tak tajemnie”, że się poczuła jakaś szersza, mocniejsza, gotowa do pędu i do lotu. W głębokiej wodzie głęboka mieszka tajemnica. Czasem w jednym świetlistym błysku, jak w rozbłyśnięciu błyskawicy, ukazywała się na kartach tych przedziwnych ksiąg, które Piotruś pochłonał, pełnych morza i wichru; w tej chwili całym sobą czuje dobrotliwą łaskę wielkiej wody; otacza go ona swoim szerokim rozlewem, woła, nęci, wita przyjaźnie, szmerze łagodnie i złotym uśmiechem, co tańczy na fali, do niego się uśmiecha. Chłopiec patrzy na wielką powagę matki polskich rzek z tkliwością nagle zbudzoną.

– Patrz, patrz, chłopcze, bo to śliczne! – przemówił ktoś do niego kładąc mu rękę na ramieniu.

Był to kapitan. Zaczął mu opowiadać o Wiśle, na której znał każdą głębinię i każdą płyciznę, wszystkie prądy i wiry, mielizny i łachy. Kochał tę „swoją” wodę i wszystko, co rosło na jej brzegach. Rosły na nich stare grody i omszałe miasta, twierdze czuwające na największej polskiej drodze. Jak długo dzień złościł się na wodzie, Piotruś patrzył zachłannymi, głodnymi oczami na wszystko. Po nocy, chlupocącej i rozkołysanej na wiślanej fali, pierwszy był na pokładzie i jak gdyby nową ujrzał rzekę. Cała była złana czerwonością ogromnego słońca: tak na niej było purpurowo, jakby wszystka krew, wylana w bojach o tę rzekę życiodajną, pojawiła się na wodzie. W nabrzeżnych łęgach pasły się ciężkie, sennie snujące się mgły, jak niezmiernie stado białych krów, lecz wiatr już je zganiał i precz pędził, jak pasterski, gorliwy w służbie pies. Nie minęła chwila, a rzeka już była odmieniona. Fala z purpurowej stała się bladoróżowa, po czym zaczęła srebrzeć, blednąć, jaśnieć, wreszcie błękitniała wszystka, gdyż niebo było przeczyście błękitne. Tylko wody pobrzeżne miały barwę głęboko zieloną, spłynęła w nie bowiem gęsta, zbita zieleń z chaszczów. Czasem zerwał się spośród nich przelękły ptak i zapadał niedaleko; czasem wzbił się spośród nich chybotliwy, gorzko pachnący słup dymu.

Znowu jeden dzień popłynął z wodą, jak złotem nakrapiana ryba i znowu noc bez szelestu zarzuciła sieci w wodę, aby z nich wyłowić utopione gwiazdy. Piotruś chciał czuwać, lecz

oczy mu się kleiły. Tak były pełne widoków srebrnych i błękitnych, szerokich i radosnych, rzeczywistych i odbitych w wodzie, że już nie mogły pomieścić ich więcej. Jeszcze nigdy nie widziały tyle od razu. Patrzył długo na drżące w rozpluskanej wodzie pale świetliste, białe w dno rzeki, w które słupem wbijało się każde nadbrzeżne światełko, wreszcie wszystko zaczęło mętnieć, chwiać się i tak kołysać, że niebo dotykało powierzchni wody. Piotruś usnął siedząc na jakimś napęczniałym worku, co się nagle zmienił w zaczarowany dywan bagdadzki, na którym latali perscy czarnoksiężnicy, po chwili bowiem opuścił gościnny pokład „Jagielły” i znalazł się na osmolonym i krwią zbryzganym „Koniu Morskim”, niosącym skarby z Portobelo, zrabowane Hiszpanom. Niechlujny kapitan Flint spojrział na niego krwią nabiegłymi oczami i zakrzyknął:

– Skąd się tu wzięłeś? Daj mi rumu!

Ochryple, pijackie i szorstkie, jak ryżowe szczotki, głosy piratów wykrzykiwały nieprzytomne słowa. Rudy jak płomień, śmieszny chłopak, Mac Darby, gwizdnął ze zdumienia, spojrzawszy na nowe świetne buty Piotrusia i trącił go kułakiem w bok. Piotruś zbudził się dotknięty jakąś ręką i chciał uciec, ale łagodny głos przemówił do niego:

– Miałeś niespokojne sny, Piotrusiu! Zbudź się, trzeba zobaczyć...

Chłopak zerwał się i nie wiedział, co się z nim dzieje. Posłyszał głośnie mlaskanie wody, a dookoła mnóstwo drżących świateł. Ostry wiatr, dziwnie pachnący, jakby przeniknięty zapachem smoły, uderzył go z nagłą w twarz. Oprzytomniał od razu i zapytał kapitana:

– Co to tak świeci, proszę pana?

– Diament wyłupiony z polskiej korony – rzekł kapitan z powagą. – Gdańsk.

– Gdańsk! – szepnął chłopiec.

– Tak. Jutro jednak zobaczysz perłę, którą wprawiliśmy na miejsce diamentu: zobaczysz Gdynię... – dodał kapitan z drzeniem w głosie.

III

Nikt i nigdy nie zapomni tej chwili, w której po raz pierwszy ujrzał morze. Wspomnienie to jest tak szumne, że się w sercu nie uciszy, tak szerokie i dalekie, że je widać z odległości wielu, wielu lat, a tak wzniosłe, że wyrasta ponad szarość i jednostajność wszystkich dni. Kto raz jeden ujrzał morze, ten zawsze będzie tęsknił za nim i szukał go znużonymi oczami; pamięta bowiem, pośród murów kamiennych zamknięty, że sponad brzegu morza widział zalaną błękitem dalekość; oddychając powietrzem parnym i dusznym przypomni sobie, że z morza pił surową, chłodną, przezystą rzeźwość; wpatrzony w bitą, kamienną drogę, którą stąpa, przypomni sobie, że morze, którego krańca nie dojrzy ludzkie oko, podobne jest do nieskończoności. Dusza ludzka w najtajniejszym swoim pragnieniu, w najgłębszej swojej tęsknocie szuka do niej drogi. Tam bowiem mieszka nieśmiertelność. Dlatego lotnik wzbija się pod niebiosy, dlatego astronom szuka przejścia przez gwiazdziste pustynie, dlatego żeglarz ostatnim tchem napętnia żagle, aby sięgnąć tam, „gdzie wzrok nie sięga”. Nieustanna, niezmięczona pieśń morza jest hymnem na cześć bezmiaru, a bezmiar przypomina człowiekowi bezmiar inny: wieczność. Ten okręt, co się od ziemi odłączył, przypomina człowiekowi, że jego dusza pragnie wyrwać kotwicę, co ugrzęzła w mule małych spraw, smętnych ludzkich spraw, aby powędrować przez bezmiar. Okręt niosący człowieka niesie wielki ciężar: tęsknotę ludzką, co była wichrem okrętów Kolumba. Nikt i nigdy nie zapomni morza.

Gdy Piotruś ujrzał morze po raz pierwszy, zadrżał, jak mały pyłek na wietrze. Patrzył z wysokiego brzegu i pierwszym jego uczuciem był lęk. Morze dnia tego było bure, zjeżone, spienione i złe. Targała nim jakaś niecierpliwość albo gniew. Rozkołysało się i biło o brzeg ze

złą siłą, która chce niszczyć, jakby pragnęło rozwalić tę nienawistną zaporę, co się jego przeciwstawia nawałnicy i tamuje jego zaborczy pęd. Ponad nim, w stumanionym zamęciu, tłamsiły się chmury niskie, obrzękłe, ciężkie jak mastodonty, co wałą przed siebie skłębioną gromadą, przelewają się i padają jedne na drugie, wlokąc obwisłe, wydęte brzuchy tuż nad wodą. Fale, dotknąwszy ziemi, syczały jakby z bólu, jak syczy woda dotknąwszy rozpalonego żelaza, i cofały się pospiesznie.

Chłopiec stał długo, a wiatr zwiewał mu z serca lęk; czego ma się lękać? Groźniejsze i straszliwsze są te morza dalekie, które spiętrzonymi pod niebo falami huczą w książkach. Na grzbiecie każdej fali siedzi okrakiem śmierć, co zabija okręty, a przecie człowiek i takiego morza się nie lęka ani jego otchłani, ani jego wyszczerzonych zębów: poszarpanych skał. A to szare morze nie wpada nigdy w tę wściekłość, która przeraża. Piotruś wie o nim wiele. Wie, że je czasem gniew ogarnia i wtedy dymi tym gniewem i bryzga, lecz się szybko ucisza, jak ktoś dobry, lecz niecierpliw. A czasem płacze, a Bóg jeden zna cierpienie morza. Człowiek znajdzie tylko niekiedy ogromną złotą łzę bursztynową. Nie trzeba, nie trzeba lękać się morza. Zostało ono zaślubione na wieki wieków polskiej ziemi i przyjęło pierścień wierności, a jak długo nikt tego pierścienia nie znajdzie albo go morze samo na brzeg nie ciśnie, tak długo będą jednym: polska ziemia i ono, polskie morze.

Piotruś, nakarmiony na zapas i serdecznie pożegnany przez kapitana „Jagielły”, przebiegł wczesnym chmurnym rankiem przez Gdańsk jeszcze śpiący i ukrywszy jego widok w pamięci, jak w przepaścistej sakwie, zmierzał drogą ku Gdyni. Na granicy nie czyniono mu trudności i machnięto ręką ujrawszy jego dokumenty: uczniowską legitymację. Wystarczającym dokumentem była jego młodość, uśmiech i jasność spojrzenia. Na polskiej stronie wiozł go przez część drogi ku Gdyni jakiś rozklekotany ford, który miał przednie koła trochę niepewne, a tylne bardzo niepewne; pewne jedynie było to, że kierujący tym gruchotem palacz weźmie w razie potrzeby swój wóz na plecy i odniesie jego zwłoki do domu. Był to młody chłopak, silny i wesoły; gadał głośno, aby przekrzyczeć bociani klekot swojej wiernej maszyny, trzymającej się kupy wbrew wszystkim prawom fizyki, mechaniki i innych nauk ścisłych. Wóz ten musiał być opalany albo smołą, albo węglem drzewnym, bo buchał z niego dym jak z samowara, a na wyścigach ślimaków i żółwi do mety przyszedłby może trzeci. Palacz krzychał w prawe ucho Piotrusia, co i jak, a Piotruś odkrzykiwał w jego ucho wesołe odpowiedzi. Gdy wóz przystanął, aby odsapnąć przed nieznacznym wzniesieniem i dlatego na chwilę się uciszył, wesoły jego władca oświadczył Piotrusiowi, że jak długo żyje nie widział tak przyjemnego towarzysza podróży i życzy mu wszelkiego szczęścia nad morzem. Piotruś życzył mu uprzejmie, aby jego wóz dożył sędziwej starości i aby przetrwał pokolenia, co tak wzruszyło pogodnego człowieka, że obiecał odwiedzić Piotrusia w Gdyni. Bywa tam każdej niedzieli, bo ma tam ciotkę i wozi ją swoim pysznym wozem na dalekie spacer. Wóz bardzo trzęsie, a ciotka ma wewnętrzne przypadłości, więc to trzęsienie pomaga jej cudownie. Jedno jest tylko niedobre, gdyż ciotka waży sto siedem kilogramów, jeśli nie ma żadnych zmartwień, a ze zmartwieniami dochodzi do stu piętnastu, wskutek tego automobil wykrzywił się mocno na prawo, resory bowiem tak się ugięły, że nie mogą się już nigdy wyprostować. Niech Piotruś odwiedzi tę przyjemną ciotkę. Dobra to jest kobieta, tylko głucha jak skała, ale na migi każdy się z nią porozumie.

– A gdzie ciebie szukać w Gdyni, przyjacielu? – zapytał słynny automobilista.

– Żebym ja wiedział... – odrzekł Piotr.

– Gdzieś przecie będziesz mieszkał?

– Jak Bóg da. Nie wiem... Mam mało pieniędzy, przedtem muszę zarobić.

– O, to ciężka sprawa! Posłałbym cię do mojej cioci, ale ona za darmo też nie zechce. Za pieniądze też nie radziłbym ci tam mieszkać, bo kobiecina pali cygara i bardzo krzyczy przez sen. Ale czekaj no, bracie! Mam tam przyjaciela, który mi będzie do śmierci wdzięczny, bo go wiozłem moim fordem na ślub.

– I dojechał? – zaśmiał się Piotruś.

– Nie bardzo, tylko do połowy drogi, bo spadł deszcz, a mój wóz po mokrym nie chodzi. Zajdź ty, bracie, do niego i powiedz, że cię przysyła Józef, Józef Robak.

– A jak się nazywa przyjaciel?

– Po co masz obciążać pamięć? On ma długie nazwisko, takie jakieś warszawskie, ale go wszyscy nazywają „Szczerbaty”, bo nie ma na przodzie czterech zębów. Każde dziecko ci powie, gdzie go można znaleźć. Chłop jest mocny, więc nosi ładunki, a zębami tego nie robi, więc po co mu potrzebne zęby? W moim wozie brak coś siedemnastu części, a szelma chodzi, i to jak!

– Czy zęby mu wypadły?

– To za mało powiedziane!

– Wyrwali mu?

– To już bliższe prawdy... Wybili mu te zęby w czasie jednej wielkiej bitwy. Zawinął raz do Gdyni wielki okręt, a z okrętu wysypali się na ląd marynarze, gadający dziwnym językiem – Co to za farmazon? – zapytał mój przyjaciel. Powiadają mu, że to Szwedzi. – Szwedzi? – pyta on. – Ci, co oblegali Częstochowę? A, niedoczekanie! – Tak się zawiązał na nieszczęsnych Szwedów, że długo szukał z nimi awantury, aż wreszcie znalazł. Była wielka bitwa, w której mój przyjaciel posiał cztery zęby, bo to mocne chłopcy.

– A Szwedom nic?

– Nie można powiedzieć, żeby tak znowu nic. Jednego ponieśli na okręt, bo był bez ducha, a kilku długo siedziało na ziemi, nie wiedząc, gdzie się znajdują. Ale potem z wielkim szacunkiem opowiadali o moim przyjacielu. No, daj ci Boże zdrowie, bo ja tu skręcam.

Ford zaszczekał, zadymił, zaturkotał, warknął, przelazł z głębokim stękaniem przez rów i podreptał drożynką wśród pola. Piotruś zęgnął piekielny wehikuł okrzykami i śmiechem. Szedł potem ścieżkami wśród zarośli, wciąż mając morze po prawicy, w tę stronę, gdzie w coraz większym natłoku zjawiały się osiedla. Domy wyglądały z daleka jak stada białych owiec, ściągających ku wodnej roztoczy, aby pić. Drożyna wiła się wśród zieleni przygasłej w stalowej chmurności dnia to wyżej, to niżej, tak że głosy morza czasem cichły oznajmiając się nieustannym szemraniem lub rosły w chlupotanie i bełkot. Zapytana o drogę kobieta pouczyła go, że do Gdyni niedaleko.

Piotruś był bardzo zmęczony. Najwięcej męczyła go niecierpliwość; morze było blisko, a jednak daleko, on zaś pragnął jak najprędzej dojść do bramy, na wielkie wody wiodącej, do owej czarodziejskiej Gdyni. Dziwne to słowo słyszał tysiąc razy, znał je i każdą w nim literę czytał sercem wiele, wiele razy, a teraz je widział z chmurnej oddali, wbite w piaszczysty brzeg, zanurzone w rozchwianej wodzie; widział je własnymi oczami: pyszne, szeroko rozsiadłe, kamienne, mocne i morzu śmiało w twarz patrzące. W tej Gdyni rozpocznie swoje życie, które ofiaruje morzu. Myślał, że je ujrzy uśmiechnięte, pieszczotliwie szemrzące, niskie i takie barwne jak szmaragdowa łąka, po której snują się, jak białe motyle, białe skrzydlate łodzie, morze zaś było gniewne, zjeżone i złymi gadało głosami. Inaczej wyglądało na kolorowych obrazkach i w przyjemnych opowieściach.

Przystanął, aby odpocząć i patrzył znowu długą chwilę. W morzu jest coś, co więzi ludzkie pyłem zasnuje oczy, coś co wciąż nawołuje ludzkie zalękłe serce. Morze tak wabi człowieka jak głąb górskiej przepaści i jak mroczna, rozlewna dalekość stepu.

Po chwili spojrzął dokoła siebie i ujrzał, że pomyłona i jak kręty strumień wijąca się ścieżka zawiodła go w obejście przedziwnego jakiegoś domu; ni to dom, ni to zagroda, dziwadło jakieś, do niczego niepodobne. Budynek był długi, niski, małymi patrzący na morze okienkami, oddychający czarną, okrągłą rurą komina. Na wysokim dragu, wbitym w niski, jakby spłaszczony dach, trzepotała się na wietrze wypełzła, w stu deszczach wyprana flaga o nieznanych barwach. Na jednej ścianie widniał napis: „Stella” czarnymi wypisany kulfonami, z których spływały w dół po murze czarne łzy; napis ten tak wyglądał, jakby się odbijał w

wodzie: to deszcze rozbawiły czarne litery. Dziwne domisko było zaniedbane i smutne. „Stella” – czyli „Gwiazda” – nie miała na sobie złościście drżących blasków; była to raczej czarna gwiazda, zgasła, umarła i strącona z nieba w nadbrzeżne zarośla jako nieużyteczny grat; Piotruś przyglądał się jej z ciekawością i mimo woli zbliżył się do wysokich schodków wiodących do zamkniętych drzwi, kutych żelaziwem mocnym, choć rdzawym.

Jakaś twarz ukazała się w małym okienku, sucha, długa i zmarszczona, nie wiadomo czy twarz kobiety, czy mężczyzny. Dopiero kiedy twarz wydała okrzyk cienki i piskliwy, można było przypuścić, że do głowy należy postać rodzaju żeńskiego.

– Człowiek za burtą! – krzyknęła twarz i zatrzasnęła okienko.

Piotruś wiedział, że słowa te są krzykiem alarmu, którym każdy człowiek na okręcie może oznajmić, że ujrzał człowieka w morzu i słowami tymi zatrzyma okręt. Ponieważ morze kołysało się w zapadłej oddali, a hasło zakrzyknięto na jego widok, bezpiecznie stojącego na bezpiecznym łądzie, więc nie rozumiał, czyje oznajmia nieszczęście? Sucha, długa i pomarszczona jak pieczone jabłko twarz ma – widać – skłonność do żartów. Uśmiechnął się i chciał iść dalej, w tej chwili jednak żelazem okute drzwi jęknęły jak na torturach i otwały się z pośpiechem.

Na wysokich schodkach ukazała się dziwna postać. Człowiek siwy i mocno sędziwy, z rozchełstaną na piersiach koszulą, w spłowiałym marynarskim mundurze, na którego rękawach wiły się poczerniałe, kiedyś złote naszywki, stanął we drzwiach i wbił w niego spojrzenie. Miał oczy jakby wypłowiałe, bez blasku, przenikliwe i czujne. Starannie wygolona twarz miedzianego niemal koloru tak była poryta płataniną zmarszczek i głębokich bruzd, że chłopcu dziwnym się wydało, w jaki sposób może po tej twarzy przesunąć się ostrze brzytwy? Tak go zajęła śmieszna myśl o brzytwie, że nie zauważył w pierwszej chwili tego, co starzec trzymał w ręku. Spojrzał i drgnął: stary człowiek miał w ręku karabin.

Przecie mnie nie zastrzeli... – pomyślał Piotruś.

Tamten zmrużył oczy i przez chwilę pilnie przyglądał się chłopcu; zdaje się, że spokojna i niepozorna postać chłopięca nie przedstawiała zbyt wielkiego interesu dla morderczej broni i nie warta była gniewu starego człowieka, opuścił bowiem broń i poprzestał na krzyku. Krzyk ten był chrapliwy i jakby najeżony kolcami.

– Czemu się tędy włóczysz? Ha? Czego chcesz?

– Niczego nie chcę... przechodzę... – odparł Piotruś nieśmiało.

– Jakim prawem? Tędy nie ma drogi!

– Nie wiedziałem... Już idę dalej.

– Czekaj! Nie ruszaj się, bo będę strzelał. Kto jesteś? Szpieg?

– Panie! – zawołał Piotruś z gniewem.

– Kto cię tu przysłał?

– Nikt. Idę do Gdyni.

– Co masz w tej walizce?

– Dwie koszule i książkę.

– Połóż walizkę na trawie, otwórz ją, a sam odejdz o trzy kroki.

Piotruś zawahał się. Nie wiedział, czy to żart, czy to zabawa, czy niespodziewana awantura?

– Po co mam to uczynić? – zapytał.

– Nie twoja rzecz! Rób, co ci każę...

– A jeśli tego nie zrobię?

Stary człowiek okazał szczere zdumienie.

– Wtedy cię zastrzelę. Otwieraj walizkę! Piotruś spojrział bystro w prawo i w lewo, badając, w którą stronę będzie mógł najłatwiej uciec; dziwny człowiek zrozumiał to spojrzenie i wpadł w gniew.

– Jeśli będziesz uciekał, przebiegniesz tylko pięć kroków. Prędezej, nie mam czasu!

Chłopiec, nie odrywając spojrzenia od twarzy starca, otworzył powoli walizeczkę i cofnął się. Tamten zszedł rześko ze stromych schodków i zbliżył się ku niemu.

– Panie! – powiedział Piotruś cicho. – Te dwie koszule to cały mój majątek...

– Królowie w dawnych czasach mieli tylko jedną.

Pochylił się i badał starannie biedne wnętrze walizeczki. Odgarnął niecierpliwym ruchem koszulę i wziął w rękę książkę.

– Co to jest? O morzu?

– Tak, o morzu.

– Brednie! To są kłamstwa i brednie... O morzu... cha! cha! Czy masz broń?

– Broń? – zdumiał się Piotruś. – Na co mi broń?

– Więc nie masz?

– Nie mam. Czy mogę już odejść?

– Panie! Masz mówić: „czy mogę już odejść, panie!” Tak się mówi do kapitana. Czytasz książki o morzu i nie wiesz o tym? Weź te swoje łachy! Możesz iść, ale pamiętaj, że jeśli jeszcze raz cię tutaj spotkam, zastrzelę cię jak fokę. A teraz marsz!

Piotrusiowi uczyniło się smutno. Oczy mu pociemniały, bo go te słowa smagały jak biczem. Zebrał swoje zawiniątko i rzekł chmurnie:

– W ten sposób nikt jeszcze do mnie nie mówił...

– Nie byłeś nigdy na okręcie, ty, cielu morskie! – zaśmiał się stary człowiek piskliwym śmiechem.

Wzruszył z politowaniem ramionami i jakby rad z przygody, znikł za drzwiami i jeszcze się śmiał.

Piotruś odszedł szybkim krokiem, wciąż spozierając poza siebie. Oburzony był, ale i przelękły, nie wiadomo bowiem było, czy ten dziwak, na spokojnej drodze napastujący ludzi, nie strzeli za nim. Straszny starzec! Kim on może być? Kazał siebie nazywać kapitanem... A może to wyższy jakiś oficer celnej straży, który ma prawo przetrząsać cudze walizki? To wydało się Piotrusiowi niemożliwe, straż graniczna bowiem ma swój posterunek gdzie indziej. To ktoś, co ma coś wspólnego z morzem. Tak, tak! W tej chwili przypomniał sobie, że ten dziwaczny dom, przed którym go chcieli zamordować, przypomina z grubsza kształt okrętu.

– To musi być chyba starosta morski – pomyślał Piotruś.

Czytał kiedyś o takim urzędzie, nie wiedział tego jedynie, czy taki dygnitarz urzęduje z karabinem w ręku.

Ścieżka w tym miejscu zakręcała się półkolem, otaczającym od strony Gdyni koszmarny dom i tworzyła jakby granicę niedużego skrawka ziemi, którą ten dom szpecił. Na pniu samotnego drzewa przybita była drewniana tablica, a na niej wymalowano dwie, na krzyż złożone kotwice, okropnie zadzierzyste i taki napis: „Zatoka stu tysięcy diabłów”. Pod tym piekielnym napisem wyobrażona była czerwoną farbą strzała, mierząca ostrzem w stronę domu.

Sto tysięcy diabłów? – pomyślał Piotruś. – Zdaje się, że to lekka przesada, jest tam bowiem tylko jeden, który ma strzelbę.

Obejrzał się mimo woli i w tej samej chwili rzucił się do ucieczki; z otworu prawie płaskiego dachu wynurzył się do połowy ciała ów dziwny człowiek i patrzył wprost w niego przez lunetę. Musiał ujrzyć jeniec skoki chłopca, bo krzyknął coś drżącym głosem i śmiał się głośno. Piotruś wpadł w chaszczę i zwolnił kroku w tym dopiero miejscu, z którego już nie było widać złego domu. Oddychał szybko, na twarzy miał rumieńce. Wtem usłyszał głos:

– Uważaj, młody człowieku!

Wciąż patrząc poza siebie Piotruś nie dojrzał, że wpadł na drożynę, gdzie siedział na stołeczku chudy jakiś pan i malował morze na wielkim płótnie, rozpiętym na sztalugach. Jeszcze chwila, a chłopiec byłby wyrócił i sztalugi, i Bałtyk.

- Przepraszam pana – mówił zdyszany. – Ale ja musiałem uciekać...
- Zdarzało się to większym od ciebie bohaterom. Czy cię kto goni?
- Nie, nikt mnie nie goni, ale mnie chciano zastrzelić.
- Tam? W „Zatoce stu tysięcy diabłów”? – uśmiechnął się malarz.
- Tak. Skąd pan wie?
- To nie jest żadna sztuka, gdyż i mnie tam chciano zastrzelić i bardzo wielu innych. Sam kapitan, czy pewna chuda dama?
- Dama tylko krzyknęła, a kapitan wybiegł ze strzelbą.
- Aha! Oni tam mają taki ceremoniał. Nie bój się jednak, chłopcze, gdyż karabin starego kapitana nie jest nabity. On tylko tak straszy ludzi i wygania ich ze swojego terytorium. To poczciwy człowiek i wcale nieszkodliwy. Trochę, uważasz, z głową jest w nieporządku i wszyscy o tym wiedzą. Coś mu się uroiło, Bóg raczy wiedzieć co i wyprawia grzmiące awantury, ale nikogo jeszcze nie skrzywdził. Przeciwnie! Jeśli kto jest głodny, tutaj przychodzi i tutaj go nakarmią, ale pod jednym warunkiem. Musi stanąć pod drzewem, na granicy „Zatoki stu tysięcy diabłów” i głośno wołać, ale nie byle jak, lecz w marynarskim języku. Wielu drapichrustów już z tego korzystało, a stary człowiek karmi ich, bo – zdaje się – jest zamożny.
- A cóż oni wykrzykują?
- Najpierw trzeba zawołać: – „Ahoj, parowiec!” – albo: – „Stella, ahoj!” – Wtedy zwykle kapitan wyłazi z dachu, jak diabeł z pudełka, i odpowiada: – „Ahoj, szkuner! Czego żądacie?”
- Dwunożny szkuner krzyczy w niebogłose: – „Głód na szkunerze!” – Skoro parada jest skończona, rzucają z dachu domu albo z okna, byle jak najdalej od niego, zawiniątko z pożywieniem.
- Nadzwyczajne!
- Malarz zaśmiał się wesoło.
- Nic nadzwyczajnego... Jakiś poczciwy maniak bawi się w kapitana okrętu, a ten i ów z tego korzysta. Ale dokąd ty wędrujesz, chłopcze?
- Do Gdyni.
- Będiesz tam za dziesięć minut. Do rodziców na wakacje?
- Ja nie mam już rodziców. I nie na wakacje... Będę szukał pracy.
- Będiesz szukał pracy? – powtórzył malarz powolnym głosem. – Jesteś dzielnym chłopcem... I odważnym chłopcem... Szczęść ci, Boże! Ale wiesz, co ci powiem? Nie gniewaj się... Na wszelki wypadek zapamiętaj sobie drzewo na granicy „Zatoki stu tysięcy diabłów” i nie zapomnij tego hasła: – „Głód na szkunerze!”
- Czemu, proszę pana?
- Ot tak, tak sobie tylko mówię, bez celu. Bądź zdrow, młody panie, bo muszę malować. Blask padł na morze... A Gdynię masz przed sobą!
- Piotruś skłonił się uprzejmie i poszedł przed siebie zadumany.
- Chmury, czołgając się powoli, powlokły się w stronę lądu i morze cokolwiek pojaśniało. Dalekie, wzdęte kolisko widnokregu jeszcze było zasnute coraz to rzadziejającym mokrym mrokiem, na falach zaś, pospiesznie zdążających ku brzegowi, pokładła się jasność, co się przesączała przez szczeliny wśród chmur. Czasem nagły błysk padał na wodę jak mewa i ginął w rozchwianej bruździe. Po niedługiej chwili wiatr rozgarnął kosmatą łapą czarną chmurną ciżbę, ustępującą powoli i niechętnie; na niebie otwarła się głęboka błękitna grotka, pełna niebieskich przezrytych blasków, tym jaśniejsza, im czarniej było dookoła. Otworem grotki buchnęła na świat uśmiechnięta łaska nieba, jak czasem na serce, owite czarnością ciężkich zgrzytot, pada łagodny, pełen słodkiego uśmiechu promień pociechy.
- Chłopiec patrzył zachwycony na chmurne igrzysko. Ten niebieski skrawek, coraz bardziej zwiększający się, nappełnił go radością. Ujrzał morze po raz pierwszy, a ponad morzem wisiała ciężka, zimna przemoc chmur, więc się morze jakby zapadło i jakby zmarszczone

było od cierpienia. Dlatego lęk ogarnął niedawno chłopięce serce, że takie jest zawsze oblicze morza, ku któremu on dążył z wielką ufnością. Tak nie jest, nie jest tak, na szczęście! Wiatr rozrywa coraz gwałtowniej mokrą, czarną, zbutwiałą strzechę i roznosi jej strzępy na wszystkie strony. W jednej stronie brzegi chmur zaczęły gwałtownie jaskrawieć, czerwienieć, potem złociec, jak czarne żelazo dotknięte żarem ognia; wreszcie trysnęły spoza ich poszarpanych zrębów ogromne strzeliste smugi świetlne i w blask bogate: to triumfalny, niemy krzyk słońca. Minęła jeszcze chwila, odmierzona wodnym zegarem morza, a ono ukazało się jak promienista twarz rycerza, co się wychylił spoza czarnej tarczy. Ciżba fal zaszemrała rozedrganym szeptem i zaczęła się czym prędzej stroić w blaski. Morze odetchnęło czystością błękitu, zachłysnęło się ze szczęścia i uśmiechnęło się. (Woda umie się uśmiechać, tak samo jak umie marszczyć się z gniewu lub drgać z bólu). Piana, ubita przez wiatr i niesiona przez fale, zaczęła szybko tajać i niknąć jak nietrwały wiosenny śnieg.

Chłopiec przystanął i rozjaśnionymi patrzył oczami. Dotąd widział morze w oddali, teraz patrzy na nie z bliska. Widok był tak przedziwnie piękny, że rzucił na niego urok. Zdawało mu się, że ten błękit wlewa mu się do serca i napędza je rzeźwym, młodym szczęściem; że jasność obmywa mu oczy pełne pyłu i tego mokrego mroku, co tak niedawno zalewał cały świat; że wszystko, co w nim dotąd gadało, co szemrało w nim i śpiewało, zamilkło nagle, a teraz całą jego duszę, milczącą, cichą i bezgłośnie napędza jeden głos: szerokopłynny, rozlewny, miękki, słodko rozszeptany głos morza. Poczul, że z daleka po wodzie lecąc, zbliża się ku niemu jakieś szczęście. Chciałby krzyknąć z radości, jak to jest w ludzkim zwyczaju, ale nie może tego uczynić; jakże zresztą ma krzyknąć nikłym, jak szkło kruchym niemocnym chłopięcym głosem, gdy tuż obok szumi potęgą, gada dostojność, lwim pomrukiem pomrukuje żywioł? Jakże pyłek mizerny będzie się oznajmiał ogromowi, co na widnokręgu dotyka nieba? Jakaś siła ugina jego kolana, aby ukląkł i pokornie pokłonił się wielkiej mocy i słońcem uśmiechającej się łasce morza.

Szczęście chłopca, nazwanego Piotrem, nie oznajmiło się okrzykiem. Stał poważny, milczący i od głębokich wzruszeń bardzo blady.

IV

Port w Gdyni pachniał wonią ostrą i przejmującą; można w niej było rozróżnić zmacone, nawzajem się przenikające zapachy najróżniejsze: zbutwiały, słodko-ckliwy przybrzeżnej wody, w której, jak w kotle nieustannie wrzącym, gotują się morszczyzny i trawy gdzieś z dala przyniesione i przy brzegu sponiewierane; lepki zapach oślizgłych ciemnozielonych mchów, porastających w białe w dno pale; mdły, tłusty i ciężki nafty, smoły i smarów; niemły, ze wszystkich stron zalatujący – ryb; gryzący zapach świeżej farby; w nozdrzach wierzący i duszący, wlokący się ciężko i nieustępliwy – spalonego węgla. Taką woń wydziela każdy wielki port. Wiatr zwiewa jej chmurę, ale port oddycha nieustannie jak kuźnia oddycha żarem. Marynarz z daleka pozna zapach portu. Ponad wszystkie zaś wonie polata woń niezmiernej łąki: morza, świeża, rozlewna i przenikliwa. Morze jeszcze jest daleko, a ten, co ku niemu się zbliża, wchłania ją w płuca zachłannie wraz z wiatrem.

Piotruś stał na brzegu tak blisko wody, że dotykała jego stóp. Ostatnie brzeżki fal tak były cienkie i przejrzyste jak łamliwe szybki nocnych jesiennych przymrozków; przyplływały, robotnice niestrudzone, i gładziły piasek tak starannie, aby żadne jego ziarnko nie wystawało ponad inne; jeśli po tej piaszczystej posadzce przeszedł człowiek i wygniótł w niej głębokie ślady, wygładzały je z nieprzerwaną gorliwością. Człowiek-Piotruś nie przechodził jednak, lecz stał długo, zapatrzony, nie zwracając na to uwagi, że woda dotyka jego stóp. Słuchał szmerów morza, ogarnął je oczami, witał je z bliska. Pozdrowiał wszystko, co jest na nim. Daleko, na redzie, chwiał się ledwie widocznym ruchem jakiś ogromny okręt łańcuchami

kotwic przykuty; do portu wracał z objazdu naszych morskich granic statek strażniczy „Batory”; śmigły delfin łodzi motorowej, terkocącej gniewnie, skakał po wierzchu fal ledwie ich dotykając.

Chłopiec był znużony. Trzeba było gdzieś odpocząć i coś ze sobą uczynić. Odszedł znad brzegu powoli i zwrócił się w stronę miasta. Nikt na niego nie zwracał uwagi, on zaś zwracał uwagę na wszystko. Poznał od razu, że w tym nowym mieście, rosnącym nad wodą, wyczarowanym na pustaci piaszczystych wydm, życie ma jakiś inny rytm. W miastach odwiecznych, zasiedziały, sędziwych, takich jak Warszawa, którą znał dobrze, życie płynie nurtem spokojnym. Setki lat przygotowały mu pewną, bitą drogę, potężnie murowaną; długie wieki rozdzieliły pomiędzy siebie radość budowania, dumę tworzenia i pragnienie pozostawienia tym, co kiedyś przyjdą, siedziby wspaniałej i ogromnej. Była to praca długa, powolna i pełna namysłu. Nie od razu Warszawę zbudowano. A tu, w tej Gdyni nadmorskiej, kilka zaledwie lat, maleńka ich gromadka zapragnęła uczynić to, co gdzie indziej czyniły wieki, wielka ciżba lat długich i uznojonych. Zdawało się, że ludzie powiedzieli sobie: – „Nie mamy czasu! nie mamy czasu! Pracujmy szybko, budujmy jeszcze szybciej!” – Ogarnęła ich wszystkich taka cudowna niecierpliwość, taka szlachetna furia pracy, taki zapal potężny, że świat cały, do prac najcięższych zaprawiony, zdumiał się i patrzył ciekawie. Jak można zbudować wielki port na płowych, jałowych piaskach, na ugorze oranym jedynie przez wichry? Inne wielkie porty świata są dziełem pokoleń; jedno rzucało podwaliny, drugie kładło tamy przeciw naporowi morza, dziesiąte budowało spokojne gniazdo dla zdyszanych, z daleka płynących okrętów, piętnaste stawiało spichrze, gmachy i stocznie. Walka z nieokiełznaną potęgą morza jest ciężka i trudna i „walką jest wszelkie żeglowanie”. Morze rozbija kamienne tamy, które się kładą przeciw jego przemocy, przeto tamy muszą być straszliwie potężne, budowane przez długie, długie lata, trudem niepoliczonych rąk. Wiedzieli o tym wszystkim polscy ludzie, a jednak rozpoczęli kamienną, twardą pracę. Gdyby się byli zawahali, gdyby byli dopuścili do siebie na jeden choćby moment ów lęk, co w morzu mieszka i z jego głębin nagle się wychyla, nie rozpoczęliby jej nigdy. Pracę tę, tysiącokrotnie większą od tej, co wznosiła piramidy, rozpoczęła odwaga dumna i jasna. I wtedy jednak mogli jej nie dokonać, gdyby nie pomnożyli sił; uczyniła to: miłość i radość. Źle pracuje ten, co pracuje bez miłości; spojrzenie ma mętne, a ramiona bezsilne. Nie wierzy we własny trud, oblewa go goryczą łez, przeklina własną pracę. Łzy są złym, kruchym i zwietrzałym cementem. O, jakże inaczej buduje, miłość! Polska ogarnęła morze taką miłością, serca tak się na jego rozspiewały widok, dusze wchłonęły je w siebie z taką gorącą żarliwością, że jak Kordian był „Polską obłąkany”, tak Polska stała się „morzem obłąkana”, morzem co wieczyście żyje, co oddycha, co karmi, co jest drogą na szeroki świat, co jest szczęściem i radością, wolnością i potęgą. Ta niezmierna miłość morza przelała się gorącą, rozszumianą strugą w pracę, gdy temu morzu błogosławionemu postanowiono wybudować przybytek, bramę triumfalną, królewską stolicę. Gdy trud zaczynał krwawić, kiedy pot zalewał oczy, kiedy omdlewały ręce, jedno pełne niewysłowionej miłości spojrzenie na morze wystarczyło, aby człowiek odpoczął i nowych nabrał sił. Zdawać się mogło, że na dalekim morzu mieszka moc, która przypląwa o świcie każdego dnia i poi sobą rozmiłowane polskie serce. Anteusz odzyskiwał moc utraconą dotknąwszy ziemi. Polska odzyskała moc swoją dotknąwszy morza. Dlatego w pracy jej przeogromnej jest przeogromna miłość i dlatego świat cały patrzy z podziwem.

Źle pracuje ten, co pracuje bez radości, w mrocznym smutku, zimnym, stęchłym i ociekającym mętlem łez. Radość zaś ma tysiąc ramion zamiast dwóch; radość przedłuża dzień, a noc czyni krótszą. Radość dźwiga lekko takie głazy, na które smutek patrzyłby z przerażeniem. Smutek kopie groby, radość bucha w górę kamiennym, wzniosłym, strzelistym krzykiem wież. Naród, co znalazł radość w swoim sercu, jest wielkim Narodem. Radość pieni się w nim, przewala, szumi z krwią, śpiewa i woła rozgłośnie: – „Wyjdźmy na wielkie morze,

wyjdźmy na szeroki świat!” – Więzień, w czterech głuchych ścianach zamknięty, pięści krwawiąc, serce w młot zamieniwszy, wybił okno na świat; słońce wpadło do lochu, złote i śpiewające, błękit wlał się w mroczną ciemnicę, zielona, rozkwiecona wiosna wleciała jak ptak. Więzień wydał okrzyk, w którym radość tak bulgoce jak żywa krew. Radość ogarnęła go całego jak płomień, zwała z niego stęchliznę smętków, przemyła jego zaropiałe, czarno widzące oczy i już go nie opuści nigdy. Przejdzie ponad nim burza, jak ciężki koń przecwałuje jego drogą chmura smutku, zły dzień cieniem ponad nim niekiedy przeleci, lecz nikt już i nigdy nie odbierze mu skarbu radości. Przez polskie okno wdarło się do mrocznej siedziby – morze; radość polska wielka jest, jak ono jest wielkie, pełna tych głosów, którymi ono gada i śpiewa, i woła. Ta radość zmieniła się w pracę, a ta praca, zanurzywszy ręce w fale, wydobyla z nich Gdynię, jak perłę.

Gdynia jest przeto dziwnym miastem, które zostało zbudowane przez dwóch wielkich budowniczych: przez miłość i radość. To będzie na wieki wieków zapisane w jej metryce narodzin. Zapisze to wiatr na morskiej fali. Wieść o tym wyryta jest na każdym głazie, rzuconym w morze. Poniesie ją na krańce ziemi każdy okręt, co wypłynie z tego morskiego ich gniazda.

Jeszcze jest za mało potężna i za mało wspaniała, więc tę Gdynię budują wciąż i wciąż, z radosnym pośpiechem; musi wyglądać tak, jakby ją wieki budowały. Dlatego wszystko, co żyje w tym mieście nowonarodzonym, żyje w ruchu niecierpliwym. Cała Polska pragnie przystroić swoją bramę, przez którą na świat wychodzi; na potężnych buduje ją fundamentach, aby przetrwała przez wszystkie czasy. Słowo: „Gdynia” stało się najpiękniejszym słowem polskiej mowy; jest to słowo żywe, rozszumiane i śpiewające, bo napełnione morzem. Jest to słowo-wicher i słowo-potęga. Jest to miasto-okręt, oddychające burzą, słońcu w twarz patrzące, dlatego – bez lęku i trwogi – na wielkie ważyło się sprawy. Gdańsk, od wieków wierny Rzeczypospolitej, za którą skrwawił się wiele razy i za którą żywym ogniem płonął, oddzielony od Niej został słupem granicznym, choć włóknami serca i wstęgą Wisły złączony z Nią będzie na zawsze. A ten siwy Gdańsk został mianowany przez Kazimierza Jagiellończyka „admiralem Polski” i godność tę nosił z dumą. Któż się waży wziąć ją teraz i ze swoim złączyć imieniem? Patrzcie, patrzcie! Oto Gdynia wyszła z morza, młoda, jasna jak poranek i silna jak burzliwa fala; wzięła brzeg w posiadanie i ona ogłosiła się „admiralem Polski”. Brzeg przypadł do jej stóp i złożył jej hołd; powitały ją admirałską salwą bojowe okręty, żagle klasnęły na wietrze radosnym strzelistym oklaskiem. Wielka ziemia, zboże rodząca, jednym rozmiłowanym okrzykiem zatwierdziła ten tytuł wspaniały i oddała ukochanemu miastu wszystkie swoje bogactwa: złote zboże i czarny węgiel i stokroć od tych bogactw cenniejsze: swoje wielkie serce.

Dlatego to miasto rośnie bujnie i wspaniale.

Piotruś wiedział o tym wszystkim, bo któż o tym nie wie? Patrzył własnymi oczami na miasto, co jak klamra kamienna obejmuje rozlewisko morza i fundamentem wpija się w nadbrzeżne piaski; co się buduje jak twierdza, rozplomienionym, bystrym i czujnym spojrzeniem latarń morskich oblatująca zielony step wodnego rozlewiska. Pilnuje każdej łodzi, co na nie wypłynęła, wodzi spojrzeniem za każdym żaglem, liczy rybaków, czy wszyscy powrócili z wyprawy? Gdy dojrzy burzę na dalekim widnokregu, wszystko, co żywe i znajduje się na wodach, zwołuje do kamiennego gniazda, otoczonego potężnym wałem, gdzie wody są spokojne i przyjazne.

Port jest wielki, szeroki i wspaniały. Wiele trzeba będzie dni, aby go obejrzeć.

Piotruś skierował się ku miastu szeroką aleją, aby gdzieś odpocząć i pomyśleć, co ma począć? Nikt na niego nie zwracał uwagi, wszyscy byli zajęci. Chłopiec zatroskał się. Siedząc w pustej mleczarence policzył swój dobytek; uczynił to trzy razy, jak gdyby w nadziei, że się powiększy przy każdym następnym obliczeniu. Posiadał cztery złote siedemdziesiąt groszy.

Amerykańscy milionerzy nie mieli często całego dolara – pomyślał skwapliwie. – Trzeba

będzie oszczędzać.

Były to znakomite projekty na dalszą przyszłość, najbliższą zaś czarną przyszłością była noc. Spojrzał bystro na gospodynię mleczarni i zbliżył się do niej nieśmiało. Oznajmił jej, że nie jest włóczęgą, że szuka pracy i zapytał o radę, gdzie mógłby się przespać dzisiejszej nocy.

– Mogę spać krótko! – dodał na zakończenie.

Gospodyni słuchała pilnie, jak gdyby się przyglądała każdemu słowu z osobna i jak gdyby odwróciła potem każde i badała jego podszewkę.

– Czy kawaler ma pieniądze? – zapytała roztropnie.

– Mało... – odrzekł Piotruś.

– A ile kawaler zjadł bułek?

– Cztery...

– Trzeba było zjeść dwie. A co jest w tej walizce?

– Dwie koszule i książka.

– To kawaler nie jest hrabia, chyba że to jedwabne koszule?

– Wcale nie, takie sobie, zwyczajne... Czemu pani o to pyta?

– Tak sobie... A czemu to kawaler tak na mnie patrzy? Że mam brodawkę i wąsy? Ładniejsza nie będę!

– Ależ ja wcale nie patrzę, proszę pani! – szybko rzekł Piotruś. – Ja tylko chciałem prosić o radę, gdzie tu można zanoćować...

– Za pieniądze można w hotelu, a bez pieniędzy na piasku.

– Ja o tym wiem, proszę pani...

– O czym wiesz? O niczym nie wiesz! Niech kawaler nie będzie od razu taki mądry! Nie będziesz spał na piasku, tylko tutaj, w mleczarni, ale nie za darmo. Rano mi za to zamieciesz podłogę. A pamiętaj, że jeśli byś co ukradł i uciekł, to cię znajdę na końcu świata.

– Ależ proszę pani! – rzekł Piotruś z oburzeniem.

– Nie obrażaj się, nie obrażaj! Ja tak mówię na wszelki wypadek, bo mi w ostatnim miesiącu zginęło pięć cynowych łyżeczek i jedna solniczka. I co z tego, że mam wąsy, kiedy jestem bez opieki i nikt się nie ujmie za moją krzywdą? Czemu się śmiejesz? Najpierw do mnie z pazurami, a teraz jakies śmieszki. Zapłać teraz za to, co zjadłeś...

– Proszę – mówił Piotruś już udobruchany. – Płacę za mleko i za cztery bułki.

– Jakie cztery? Za dwie bułki!

– Cztery, proszę pani! To pani mówiła, że powinienem był zjeść dwie.

– Co ja mówiłam? Ja nic nie mówiłam! Już byle smarkacz chce się kłócić ze starą kobietą. Ładne czasy!... Zapłać dziesięć groszy i idź się utopić. Czego sterczysz? Walizkę możesz zostawić, a sam przyjdź wieczorem, a rano fora ze dwora! Tu nie hotel! Do kogo ty się uśmiechasz?

– Do pani! – rzekł Piotruś. – Pani jest bardzo dobra...

– Ja jestem dobra? – z niesłychanym zdumieniem krzyknęła gospodyni. – W imię Ojca i Syna... Pierwszy raz w życiu powiedział mi ktoś coś podobnego... Wynoś się czym prędzej!

Wieczorem przywitała go groźnym mruknięciem i patrzyła na niego chmurnie. Piotruś zauważył jednak, że mu przygotowała biedne posłanie w ciemnym kącie. Wychodząc powiedziała kolczastym głosem:

– Tu w garnku jest mleko... Pewnie wypijesz i albo dolejesz wody, albo powiesz, że to kot wypił. Całe szczęście, że nie ma kota. Ale wypij, wypij! Wody nie dolewaj, bo w garnku jest już i tak więcej wody niż mleka. Chleb też możesz zjeść, bo czerstwy. Możesz sobie połamać ze dwa zęby, bo i tak ich masz za wiele. Ja mam tylko trzy. Taka sprawiedliwość na tym świecie! Idź spać, czego sterczysz? Światło kosztuje...

– Dobranoc pani!

– Obejdzie się... Kaszlę przez całą noc, a ten mi będzie życzył dobrej nocy. Głupszy jesteś, niż myślałam. Żebym cię tu rano nie widziała...

- Muszę pozamiatać, proszę pani!
- Siebie wymieć najpierw i swój bagaż! Pchły masz?
- Skądże? – zaśmiał się Piotruś.
- Każdy łże, że nie ma, a każdy jest jak pudel.

Piotruś uśmiechał się jeszcze zasypiając. Spał kamiennym snem po dniu pełnym wrażeń. Zdawało mu się, że morze go ogarnęło i huczy dokoła niego; zapadł na samo jego dno, ciemniejsze od najciemniejszej nocy. Jakaś ogromna rozszrozona burza musiała go wreszcie dźwignąć na powierzchnię, bijąc w niego falami. Otworzył z lękiem oczy i najpierw ujrzał dzień, a potem mleczarkę. To nie morze grzmiało, to ona grzmiała:

- Do południa będziesz spał? Mało ci jeszcze?

Zerwał się czym prędzej i przez chwilę nie mógł pojąć, gdzie się znajduje. Oprzytomniawszy, odział się czym prędzej, porwał swoją walizeczkę i zaczął dziękować. Kobieta jednak przerwała mu szybko głosem grubym i tak zimnym, jak gdyby przez dwa tygodnie leżał na lodzie.

– Idź już, idź, ale nie wracaj, bo miejsca nie ma. Mój syn dzisiaj przyjedzie i będzie tu spał... Już ci mówiłam, że tu nie hotel. Przy końcu ulicy jest druga mleczarnia, dzisiaj możesz ją uszczęśliwić. Tylko uważaj, bo cię obedrą... W trupiarni jest przyjemniej niż w tamtym lokalu. Czemu nie wypiełeś mleka? Szczur się w nim utopił, czy co?

- Pani mówiła, że jest z wodą – zaśmiał się Piotruś.
- Mądry mówi, głupi wierzy... Co ty robisz? Czyś zwariował?

Piotruś chwycił jej rękę, szybko przycisnął ją do ust i wybiegł. Ona patrzyła za nim długo, potem zdziwionym wzrokiem spojrzała na swoją rękę, ogromną i spracowaną, jak gdyby przyglądała się motylowi, co na niej usiadł. Potem przypomniawszy sobie, że jest straszliwie zła i złośliwa, strzepnęła z niej tego motyla i gniewnie mruczając zaczęła rozpałać ogień.

Piotruś udał się w stronę portu, w którym o wschodzie słońca rozpoczął się ruch. Potężne stalowe żurawie chwyciły dziobami ciężary i opuszczały je w przepaściste, zachłanne i nienasycone brzuchy okrętów. Czasem któryś żuraw wydał głos skrzypiący, poczuwszy, że ciężar jest nadmierny. Wielu ludzi uwijało się na kolejowych torach przesuając wagony, dźwigając pękate wory lub podsuwając żurawiom żer pod dzioby. Chłopiec usiadł w oddali na kamiennym progu i patrzył. Rozmyślał, do kogo się zwrócić i kogo zagadnąć. Ujrzał przy okęcie człowieka, który okrzykami dawał robotnikom wskazówki, przynaglał i zachęcał. Podszedł ku niemu i głosem niezmiernie poważnym poprosił o pracę. Tamten spojrzał na niego, jak gdyby nie rozumiejąc w pierwszej chwili, co do niego mówią, potem zmarszczył czoło.

– Skąd ja ci wezmę pracę, drogi chłopcze? – rzekł przyjaźnie. – Czeka na nią wielu, wielu ludzi... Dorosłych i silnych ludzi... – dodał szybko. – A ile ty masz lat, młody człowieku?

- Skończyłem piętnaście... – odrzekł Piotruś z nagłym lękiem.

– Piętnaście lat... Piętnaście lat... Spójrz no, chłopcze, na tego tam, który zarzuca sobie na plecy worek zboża. Widzisz? Widzisz, jak się ugiął? Gdybyś stał bliżej, usłyszałbyś, że i jęknął. Jest to jeden z najsilniejszych robotników. Czy mam ci tłumaczyć dalej?

- Rozumiem, proszę pana... – odpowiedział Piotruś cichym głosem.

– Nie dasz rady, chłopczyno, nie dasz rady... Musisz szukać gdzie indziej. Za godzinę otworzą biura, idź tam, szukaj, może co znajdziesz, ale i tam będzie trudno, tam też...

- Ja myślałem, że w Gdyni...

– Dobrze myślałeś, młody człowieku, ale nie wiedziałeś o tym, że więcej jest ludzi niż pracy. Tu zresztą trzeba najsilniejszych, najbardziej zahartowanych.

Piotruś powłókł się powoli, ze spuszczoną głową, w to miejsce, na którym zostawił w roztargnieniu swoją walizeczkę. Nigdzie jej nie mógł dojrzeć; zaczął szukać gorączkowo, przebiegając na wszystkie strony, zaczął wypytywać blakających się ludzi, lecz każdy wruszał ramionami.

– Trzeba było pilnować! – rzekł mu ktoś niecierpliwie.

Chłopiec usiadł, jakby nagle znudzony. Na serce padła mu cierpka kropla goryczy. Nie mógł tego pojąć, że się ktoś złakomił na jego nieszczęsny majątek, na dwie mizerne koszule i książkę. Ciężko ktoś znieważył dziecięcą słodką ufność i niebieską czystą wiarę, och, jak ciężko ją sponiewierał! Chłopcu nie było żal tych dwóch mizernih koszul; zaboląła go ostrym ukłuciem ciernia świadomość, że obok tej dobroci, która mu w radosnym, jasnym porywie przyjaźni dała te koszule, stąpa krok w krok jakaś złość, milczkiem i podstępnie kradnąca mu jego ubóstwo. W prostym, naiwnym rozmyślaniu plątała się najbardziej bolesna myśl o tym, że ktoś mu uczynił krzywdę tu właśnie, nad morzem. Zdawało mu się, że nikt nie może być zły i podstępny oddychając jasnością i przezystością powietrza, co się jak duch nieprzejrzysty nad czystymi unosi wodami.

Dzień, rozpoczęty w udręce znieważonego serca, włókł się powoli, jak gdyby z ciężkim trudem płynął ku swemu zachodowi, przeciwko fali. Jasny był i błękitny, lecz jakby przesiany mrokiem i zasnuty srebrnym mglistym oparem. Piotr przebrnął przez ten dzień jak przez rozjaśnioną wodę, która ukryła kamieniste, ostre, śliskie dno. Otrząsnął się ze smutku jak ptak po deszczu i rozpoczął wędrówkę żmudną i błędną, a coraz cięższą, bo po każdym kroku zielona nadzieja więdła i marniała jak kwiat w spiekocie. Słuchano go wszędzie uprzejmie, patrzono na niego z nieudawanym współczuciem i żegnano go serdecznym życzeniem, aby znalazł pracę gdzie indziej. Zlepił ułamki wielu usłyszanych słów i ułożył z nich szorstką uczciwą prawdę: – „Morzu trzeba ludzi twardych i mocnych”. – Tak, tak... Morze nie jest uśmiechniętą sadzawką, po której mały chłopiec goni oddechem papierowe okręciki; kto staje naprzeciwko niego twarzą w twarz, musi czuć w sobie hardość siły, upór kamienia i nieustraszone mieć spojrzenie; krew w jego żyłach krążyć musi potężnym nurtem, a splot mięśni musi przypominać sprężystą twardość okrętowych lin. Piotruś zaczął pojmować, że ten złoty uśmiech, którym się morze uśmiecha w tej chwili, senne przed zachodem i jak gdyby słodko znudzone, pojawia się na nim rzadko. Prawdziwa twarz morza jest inna: ciemna, mroczna i groźna, a jego serce jest chłodne, niedostępne, bo utopione w głębokościach. Objawiło mu się prawdziwie w owej chwili, w której ujrzał je po raz pierwszy, kiedy było gniewne, rozszalone, zjeżone i bluzgające pianą.

Dzień się dopalał i szafranowym kolorem napełnił niebo; godzina za godziną biegły jak fala za falą, a Piotr wciąż jeszcze szedł upartym krokiem i pytał niezmiennie: – „Czy nie mógłbym się na co przydać?” – Resztę dopowiadał spojrzeniem jasnym i uczciwym. W przerwach wędrówki przysiadł na byle kamieniu i gryzł suchy chleb. Czynił to oszczędnie i roztropnie, jak rozbitek na skalistej bezludnej wyspie. Nie upadał na duchu. Troska musnęła zaledwie powierzchnię jego serca, cień jej musnął zaledwie jego oczy. Nie udało się dzisiaj, uda się może jutro; w żywym mieście, aż drżącym w zachwycie pracy, musi się przecie znaleźć miejsce dla takiej jak on drobiny; gdzieś się może otworzy jakaś szczelina, przez którą się przedostanie do wnętrza rozplamionej kuźni.

Dzień mijał za dniem, a on wciąż szukał. Sypiał, gdzie się dało, na dworcu kolejowym, w pustym składzie, w nie dokończonym baraku; żywił się okruszynami jak ptak. Ręka jego drżała cokolwiek, ile razy liczył swoje kapitały. Przez całą godzinę krążył koło sklepu z pieczywem, zanim kupił chleb, mętą sycąc się nadzieją, że może oszukany głód przeminie. Musi czekać. W kilku miejscach dobrzy ludzie obiecali mu, że będą o nim pamiętać. Wierzył bardziej uśmiechowi, którym złocono obietnicę, niż samej obietnicy. Tymczasem polował na każdą przygodną pracę, na każdy jej strzęp. Nie miał dość potężnych kapitałów potrzebnych do zakupienia szcotek i czernidła, zauważył bowiem, że czyszczenie butów na piaszczystym gruncie Gdyni jest solidnym przedsięwzięciem; szukał więc łapczywie pracy nie wymagającej większych wkładów ponad uprzejmość i tę mizerną resztkę sił, które żywiły się suchym chlebem. Czasem udało mu się zanieść komuś walizkę, wskazać drogę lub zanieść list. Były to dni szczęśliwe, w których zalekłe serce chłopięce otwierało się jak kielich

kwiatu, aby schwytać kropelkę rosy.

– Nie zginę, nie zginę! – mówił do siebie wprawdzie, ale jak gdyby do kogoś innego, co osłabł i chwiało się.

Gdynia zaroila się: morze zwoływało rozgłośnym szumem ludzi z całej Polski; skwarne lato wędrowało ku chłodnemu morzu. Długie gąsienice pociągów wijąc się zmierzały ku brzegom. Na wodach bieleły się białe motyle żagli, pełzały wielkie czarne owady łodzi, ciężkim oddechem sapały kutry. Ludzka fala biegła przeciwko fali morza, roztrącając ją piersiami.

Piotruś krążył w tym wirze, lecz jak gdyby senny. Bardzo był znużony; zdawało mu się, że w tym ludzkim natłoku nadarzy się więcej sposobności do zarobienia kilku groszy, szybko jednak zauważył, że go zawsze ubiegł ktoś silniejszy, ktoś natrętny, rzucający ludziom mnóstwo słów pod nogi. W jego twarzy czy w jego postaci musiało być coś takiego, co mu odbierało nawet tę okruszynę przygodnej pracy; zdarzała się często rzecz niepojęta: podróżny już mu podawał walizkę, nagle jednak cofał ją z wolna z zawstydzonym wahaniem i uśmiechnawszy się do niego przyjaźnie wołał skinieniem głowy jakiegoś dorosłego człowieka, który rzucał się szybko na zdobycz. Piotruś przejrzał się w szybie i ujrzał widmo: blade, wynędzniałe, niewyspane widmo. Wyglądał tak, jakby wstał po ciężkiej chorobie, a śmierć ułaskawiła go, mało dbając o to przygasłe życie.

Rozumiem – pomyślał. – To z liłości... Jeżeli umrę, to tylko dlatego, że się nade mną zbyt litowano.

Lato gorzało jak pożar, a dni gotowały się w upale. Znowu rozpoczął wędrówkę, złudzony zwiędłym zapachem obietnic. Nie wszędzie z nim mówiono, a tam, gdzie go dopuszczono do rozmowy, ponowiono jedynie obietnice.

– Pan rozumie, w tej chwili... Może później... Może kiedyś...

Piotr rozumiał. Nie czuł do nikogo żalu, żadnych do nikogo nie rościł pretensji. Wiedział, że oszczędzano jego młodość i bezbronność i dlatego skraplano słowa odmowy słodyczą, miękczano je w ustach, aby nie były zbyt twarde. Cóż komu po nim, po bladym, wynędzniałym niedorostku? Rozumiał, dobrze rozumiał. Nakazał sobie spokój i uciszał lęk serca. Wiedział o tym dokładnie, że jego dzieciństwo, goniące marzenia po dalekich morzach, z każdym dniem, z każdą godziną dojrzeją i poważnieją. Jednym krokiem przekroczył z jasności w mrok, ze snu w rzeczywistość; skoczył z różanego obłoku na ziemię, twardą i kamienistą; jeśli się rozplącze jak dziecko, położy się na niej i zemrze. Tego mu uczynić nie wolno. Nie jest dzieckiem, a o łzach wie, że drążą skałę i trują duszę; maleńkie kropelki, jak rosa zjawiające się w oczach, zmieniają się w ciężkie ołowiane kule, gdy zaczynają padać na serce. Gdy żegnał Modlewiczów i dziewczyna zatkała w kąciku, stary robotnik, roztropny i mądry, uciszył to łkanie groźnym krzykiem. Rozumiał, że tego, co się wybiera w drogę, nie wolno obarczać ciężarem łez. Łza waży więcej niż kamień. Nie będzie płakał. I cóż z tego, że onegdaj spał na ciężarowym wozie, a wczoraj w składzie desek? Są przecież ludzie, którzy śpią na gołej ziemi. Kąpie się co dnia w morzu, a potem dosypia na miękkim, przytulnym piasku. I cóż z tego, że żywi się czarnym chlebem? Są przecie ludzie widzący jedynie czarność, ale nie widzący chleba. Jakoś żyje i jeszcze posiada parę groszy. Policzył je pilnie. Dwadzieścia groszy... Można za to kupić dwa głodne dni.

Ponieważ zbliżała się godzina odjazdu pociągu, Piotruś podniósł się z wysiłkiem, aby stanąć u drzwi wielkiego hotelu, tam bowiem może się nadarzyć sposobność jakiegoś zarobku; może ktoś będzie wyjeżdżał i pośle go po gazety lub po kwiaty.

Stanął przed hotelem i patrzył w jego drzwi. Wyniesiono bagaże i wkładano je do samochodu; potem wyszła jakaś pani, a za nią chłopak opalony na czekoladę. Piotr ujrzawszy go chciał uciec, ale nie mógł. Coś mu zabulgotało w sercu, a przed oczyma mignął błyskawicznie zmacony obraz, na którym zawirowało sto śmiesznych postaci i jakiś pokręconie wyolbrzymiony budynek: szkoła. Opalony chłopak spojrzał bystro i jakby

własnemu nie dowierzając spojrzeniu, zbliżał się powoli.

– Piotruś! – zakrzyknął radośnie.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz zdławił słowo, jak gdyby radość, która miała się w nim zapalić, mogła być obrazą dla tego biedaczyny, co stał przed nim, blady, mizerny, nic a nic niepodobny do tego śmiałka, co wyruszył w świat na wielką przygodę.

– Zygmsiu... – powiedział Piotr cicho, a tak czule, jak gdyby to imię najpierw odlał w gorącej formie swego serca. – Zygmsiu...

Zygmunt zaczął mówić szybko, patrząc jedynie w oczy przyjaciela; bał się spojrzeć na sponiewierane jego ubranko, wymięte na twardych legowiskach, na owe słynne, wspaniałe niedawno buty, które zgasły jak wszelka świetność tego świata.

– Co się z tobą dzieje, mów prędko bo odjeżdżam. Zaraz, mam, zaraz, w tej chwili... Piotrusiu! Czy ty jesteś chory?

Piotr ogromnym wysiłkiem zebrał w sobie wszystkie siły, wewnętrznym nakazem rzucił całą swoją krew z serca ku twarzy i z jakichś ciemnych zakamarków wydobył złudę uśmiechu. Szkoła nie dowie się o tym nigdy, że jej bohater zapadł w słabość jak w grzęzawisko, że się przewrócił na samym progu. O, nie!

– Nie jestem chory – odrzekł jasnym głosem. – Zmęczony jestem pływaniem. Cieszę się, że cię widzę... O, jak bardzo się cieszę!

Zdawało się, że ktoś mu w tej chwili szepnął coś do ucha, a on przez króciutką chwilę nad tym rozmyśla. Nachylił się szybko i zaczął mówić przejmującym szeptem:

– Matka się niecierpliwi... Zygmsiu! Mam prośbę, wielką, największą prośbę. Drogi mój! Musisz ją spełnić, musisz spełnić!

– Co takiego?

– Zależy mi na tym niezmiernie. Byłeś u mnie w Warszawie przy ulicy Dobrej?

– Oczywiście, że byłem!

– Tak, tak... Jutro będziesz w Warszawie... Zygmsiu! Musisz zaraz jutro tam pójść do tych Modlewiczów, u których mieszkałem.

– Pójdę. I co dalej?

– Powiesz im... Powiesz im, że mnie widziałeś... I że jest mi dobrze... I że mi się świetnie powodzi! Aby byli spokojni... Powiesz im to?

Zygmunt spojrzał mu w oczy.

– Piotrze! – rzekł drgającym głosem. – Ja nigdy nie kłamałem...

– Musisz im tak powiedzieć – prosił Piotr gorąco. – To są biedni ludzie, którzy mnie kochają. To bardzo biedni ludzie! O jedną zgryzotę będą mieli mniej.

– Zygmsiu! Spóźnimy się! – zawołała matka.

Zygmunt objął Piotrusia i szepnął szybko.

– Powiem... Powiem... A to weź... To drobnostka.

– Pieniądze?

– Niewiele, niewiele! Weź to, mój kochany.

Piotruś odsunął miękko i łagodnie jego rękę.

– Nie, mój drogi... Powiedziałem ci, że mi się świetnie powodzi, a ty masz to poświadczyć. Rozumiesz?

– Rozumiem – szepnął przyjaciel.

V

Piotr nie mógł usnąć. Wprosił się na noc do ciasnej drewnianej budki stróża, pilnującego nie dokończonych budowli. Pół siedząc, pół leżąc na jakimś łachmanie zapadał w niespokojny sen, z którego wciąż się budził; miał wrażenie, że ma w głowie rój brzękliwych owadów,

tlukących się po czaszce. Było mu zimno, nocny chłód bowiem, wilgocią opity, sączył się jak woda przez wszystkie szpary drewnianych ścianek. Buda zasnuta była cierpką, gryzącą wonią fajki, do której wiecznie przyczepiony był chudy jak szkielet stróż. Chłopcu uczyniło się mdło. Nie zdawał sobie wyraźnie sprawy, czy to nieznośny sprawia zapach, czy głód? Od rana nie miał w ustach nawet kęska chleba; od czasu do czasu napełniał żołądek strawą najlichszą i oszukańczą: czystą wodą. Onegdaj miał dzień szczęśliwszy, znalazł bowiem w porcie dwa nadgniłe pomidory, napełnione soczystą niebiańską rozkoszą. Szczęście jednakże nie lubi powrotów. Na suchym, czarnym pniu dnia dzisiejszego żaden nie dojrzał owoc; spadło z niego dwanaście uschniętych liści: dwanaście godzin. Każda następna była gorsza, cięższa i bardziej smutna. I bardziej głodna. Głód spał w chłopcu jak wychudły pies; budził się od czasu do czasu i albo warczał, albo zaczynał pazurami drzeć wnętrzości; wtedy ból, nagły i rwący, ogarniał całe ciało, a głowę pokrywał ciężkim mrokiem. Znowu usypiał i znowu się budził. Może go drażni ten straszliwy zapach?

Piotr dźwignął się z ziemi po północy i wyszedł z budy opierając się o ściany. Mrok owionął go natychmiast chłodem, ogarnął go i pił zachłannie tę odrobinę ciepła, którą miał w sobie. Chłopiec otrząsnął się jak człowiek, co w chłodnej zanurzył się wodzie; poczuł, że spada z niego odurzenie i że brzęczenie w głowie powoli ucicha. Stróż wyszedł spoza węgła i zapytał:

- Pałac ci się nie podoba?
- Duszno – odrzekł – pójdę nad morze.
- Z Panem Bogiem!

Noc była pogodna i gadała z wielką wodą. Gwiazdy tak drżały, jak gdyby chciały wyrwać się z pułapu nieba i polecieć. Wielki Wóz, ugrzęzły w czerności, godził dyszlem w brzuch małej chmury, podobnej do żółwia. Mrok na piaskach leżący był rzadki, a daleko nad morzem, zbity w nieprzenikniony тумan, czarny był jak zgryzota. Musiał swoim ciężarem ugniatać wody, bo czasem westchnęły głębokim westchnieniem. Nad portem okrągłe lampy rozpryskiwały białe światło jak rozpylacze. Ostry gwizd lokomotywy wbił się jak ostry sztylet, w miękkie ciało nocy.

Piotr szedł przez trzęsawisko nocy nie widząc, dokąd idzie? Gdy ujrzał przed sobą zarys ścieżki wijącej się jak żółty robak, pręgowany smugami cieniów, wszedł na nią. Potknął się kilkakrotnie, wreszcie usiadł na jakiejś szkarpie. Widział stąd dwa morza: jedno cicho gadające pluskliwym szmerem i drugie ponad nim, bezdźwięczne, głuchonieme „mare tenebrarum”, morze ciemności. Czuł jakąś leniwą, rozbrojoną niemoc; rozmyślał z trudem, jakby w nim wszystko usypiało i jak gdyby każda myśl pełzała z bolesnym trudem. Pragnął usnąć, lecz nie mógł; słaby wiatr z ciemnego morza z cichym szelestem wiejący zwiewał z jego oczu sen, jak mgły. Było tu cokolwiek lepiej niż w dusznej budzie, lecz było zimniej. Piotr poczuł dreszcz, który nim wstrząsnął lekko, jak gdyby go chciał obudzić z bolesnej zadumy. A on niczego nie pragnął, tylko ukazania się słońca. Zaczął się bać złowrogiej ciemności, z której wypełzały przywidzenia i która tajemniczymi gadała głosami; zdawało mu się, że się ktoś w wilgotnym mroku tajemnie przeciw niemu zmawia, że go ktoś okrąża, czając się jak dziki zwierz na kosmatych skradających się łapach. Nagle przechylił w tył głowę i serce w nim na moment zamarło: ktoś dotknął jego twarzy mokrą ręką. Chwycił ją w przerażeniu i dotknął zroszonej gałęzi. Odetchnął głęboko i znowu znieruchomiał.

Nie wiedział, czy spał, czy czuwał w nieświadomości, bo oczy miał wciąż otwarte, jakby uparcie czegoś wypatrujące. Coś się z nim dzieje, ale on nie wie co. Ktoś nad nim płacze. Słyszy wyraźnie cichy rozżalony szloch. To ta dziewczyna z miękkim sercem, córka Modlewiczów. Dobrze, dobrze dziewczynisko... Spojrzał przytomniej, ale nikogo przy nim nie było; ujrzał natomiast zmętniałą na niebie siność i jaśniejącą smugę tam, gdzie niebo dotyka powierzchni morza. Już świta – pomyślał cieniem myśli.

Rzeźwy wiatr poranny gasił gwiazdy i biegł po wodzie, jakby ją zamiatał; woda błyszczała

sinym mętnym połyskiem stali; mrok nasiąkał chwiejnym, niepewnym światłem, jak ogromna gąbka. Fale zaczęły się łuszczyć srebrzystą łuską, potem zmieniały kolory jak kameleon. Niebo pękło jak niezmierna czara, z której polały się na świat perlisterne strumienie: słodkie mleko dnia.

Piotr usiłował podnieść się, ale nie mógł; ta noc na piaszczystej wydmy wypła z niego mizerną resztę sił. Głód już go nie szarpał, lecz morzył go mdłą, cikliwą sennością. Siedział przeto nieruchomo, bezwolnym spojrzeniem ogarniając morze strojące się w pawie pióra, w modrość i błękit, w czerwień i złoto, w rozdygotane tęcze. Wyglądało tak jak drogocenny, kolorami grający dywan, ciężki od wilgoci. O, jakże jest piękne, jak cudownie piękne!... Takie piękne, a takie nielitościwe. Trzeba mu siłą wydzierać z głębiny każdy kęs, każdą muszelkę. Trzeba walczyć, niezmordowanie walczyć. A on tu ginie w nadbrzeźnych zaroślach, bo nie mógł, przecie, nikły chłopczyzna zdobyć laski morza. Nie zdobył jej wczoraj, ale zdobyć może jutro, więc dlaczego ma ginąć? Piętnaście młodych jasnych lat krzyknęło w nim nagle ostrym krzykiem buntu. Zmartwiało w mroku, ożyło w słonecznym słodkim ciepłe; serce Piotra uderzyło silniej, oczy spojrzwały przytomniej, jakby światłem obmyte. Jedna myśl wydosłała się z zamętu i płataniny, a ta jedna myśl wołała o ratunek. Szarpnął się czujny głód.

– Byle co zjeść, byle co zjeść... – szepnął Piotr.

Tutaj niczego nie znajdzie; trzeba gdzieś pójść, trzeba wyrwać okruszynę chleba choćby z bruku, wygrzebać ją choćby spod ziemi. Rozejrzał się gorączkowym spojrzeniem jak Beduin na pustyni szukając oazy. Na lewo było miasto już dawno obudzone i już walczące z morzem o życie; tam już wydeptał każdy kamień bruku i zebrał wszystkie porzucone kłosa na ściernisku. Na prawo, wśród zieleni wzgórza, mieszkają też ludzie, spokojniejsi niż w mieście, mający więcej czasu na przyjrzenie się głodnemu człowiekowi. Jeden dom, drugi, trzeci... A tam... Jakaś myśl gwałtem zaczęła się wciskać w mózg chłopca. Zaraz, zaraz... Jak to było? Jakiś malarz opowiadał mu dziwne rzeczy... Jakiś dom...

Piotr podniósł się szybko, bo już wiedział o wszystkim; powstawszy zatoczył się, jak człowiek bardzo chory, zmógł się jednak i zaczął iść z upartą, bolesną cierpliwością krętym strumykiem ścieżki. Na czole czuł zimne krople potu, a na ustach suchość. Zdobywał wzgórze przy takim łomotaniu serca, jak żołnierz przy dudnieniu bębna. Już niedaleko, już niedaleko... Dojdzie, musi dojść! Tak, to znajoma sosna. Do pnia przybita tablica z napisem: „Zatoka stu tysięcy diabłów”. Zdaje się, że jest chyba źle przybita, bo chwieje się gwałtownie, chociaż nie ma wiatru. Dalej nie trzeba już iść... Oparł się rękami o sosnę i chwycił otwartymi ustami powietrze, bo musi nabrać oddechu, aby krzyknąć. Lęka się, lecz krzyknie. Cóż mu się stanie? O, jak to drzewo słania się jak zaczarowane... I ziemia dziwne wykonuje ruchy. Czy morze zdobyło ziemię i ciska nią po fali?

– „Stella”! Ahoj! – zakrzyknął.

Nikt nie odpowiada. Krzyk był mdły i opadł niedaleko, jak zwiędły liść. Piotr zaczerpnął powietrza i nowy krzyk rzucił tak jak kamień w ścianę martwego, ponurego domu.

– „Stella”! Ahoj!

Dom zaczął się chwiać i kołysać, jakby prawdziwie był rozchwanianym okrętem. Drzwi otwarły się ze zgryźliwą niechęcią.

– Ahoj, szkuner! – krzyknął stary człowiek głosem suchym jak pieprz, pilnie patrząc zmrużonym spojrzeniem.

– Głód na... Głód... – oznajmił Piotr wołaniem, które zapadło się w jęk.

Usiłował objąć pień drzewa, lecz go nie dosięgnął i złamał się nagle jakby trafiony kulą w pierś, zwinął się bezsilnie i padł twarzą na piasek.

Stary człowiek z dziwaczного domu rzucił w jego wnętrze ostry krzyk, jak gdyby rzucił nożem, potem przebiegł, wielkie czyniąc susy, przez trawę ku leżącemu chłopcu. Ukłakł nad nim i ostrożnie go odwrócił. Spojrzał bystro w martwoblada twarz i uśmiechnął się jakby tkliwie:

– Chłopiec, co miał dwie koszule i książkę o morzu... – powiedział cicho. – Wyrzuciło cię morze na brzeg, foko niezdarna! Poniesiemy cię, biedaczyno, bo sam nie zajdziesz.

Westchnąwszy podłożył pod niego dłonie, chude ręce i dźwignął go z trudem.

– Taki głodny, a taki ciężki jak kłoc – mrucał. Idąc przechylił się mocno w tył, a cienkie nogi wbijał w ziemię jak patyki, aby nie stracić równowagi; przycisnął Piotra do piersi i gadał do siebie:

– Musiałeś być bardzo głodny, boś był hardy... Ładny jesteś, tylko głupi... Czemu nie przyszedłeś tu dawniej? Bałeś się strzelby? Nie nabita, nie nabita... Otwierasz oczy? Nie jeszcze? Zaraz otworzysz!

Wydychiwał ze starych piersi każde słowo z wielkim trudem, ale stanąwszy przy schodkach, wiodących ku drzwiom, krzyknął gromko:

– Fregata! Pomóż!

W drzwiach ukazała się kobieta, taka chyba odwieczna jak morze i tak jak ono pomarszczona, ta sama, która oznajmiała piskliwym jak piszczałka głosem pojawienie się „człowieka za burtą”. Jej niepomierne długa twarz patrzyła wylupiastymi oczami ryby; cienki nos sterczał na niej chwiejąc się przy nagłym ruchu, jak gdyby należał do innej twarzy, a do tej był niezdarnie przyszyty cienką nicią. Spod czerwonego, jaskrawego zawoju wymykały się długie kosmyki siwych włosów; zawój ten gorzał na siwiźnie, jak jaskrawy ogień na popielisku. Cały jej strój był jaskrawy i krzychał rozdzierającym krzykiem kolorów. W jednym uchu miała kolczyk tak przylegający do koniuszka ucha, jak złoty gwóźdź do ściany. Mogło się zdawać, że kobieta jest głucha, a ktoś wbił jej ten kolczyk w ucho jak ostre słowo, aby je usłyszała. Kiedy stanęła we drzwiach, w jaskrawej światłości słońca, wszystkie barwy jej stroju zagotowały się jak w ukropie i stały się gorące, zawój zaś na głowie buchnął krwawą czerwienią, tak że rumiana luna połała się na jej bladą twarz. Najpierw otwarła usta, a potem wydobyła z nich pisk tak cienki jak nić.

– Czy to trup?

– Zaraz będzie tu damski trup, skoro tylko będę miał wolne ręce. Pomóż go wnieść!

– Muszę najpierw wiedzieć! Jeżeli to trup, ja go nie dotknę.

– Dotkniesz, dotkniesz, bo inaczej ręka boska cię dotknie. Żyje, tylko zemdlął. Chwyć go za nogi! Prędeży!

– Za nogi go nie wezmę, bo się może nagle obudzić i może mnie kopnąć. Niech go pan zwróci głową do mnie... Tak! Ale coś on nie bardzo dycha... Gdzie go położymy?

– Na moim łóżku! – wrzasnął stary człowiek.

Kobieta zatrzymała się w pochodzie.

– Na pańskim łóżku, kapitanie?

– Na moim łóżku, stara Fregato! Ruszajże prędeży!

Dama tak dziwnie nazwana, wzruszyła jednym ramieniem, na drugim bowiem leżała głowa Piotra.

Ułożyli go na wąskim twardym łóżku, ciężko oddychając. Stary człowiek zaczął jednak natychmiast wydawać polecenia szybkim gradem słów, jak gdyby wydawał najtreściwszą komendę:

– Skronie natrzeć! Zdjąć bluzę! Szklanekę ciepłego mleka na wpół z wodą!

– Tak, panie! – odrzekła Fregata i poniosła gdzieś w mroki domu wrzask swoich kolorów. Zdawało się, że w wąskiej długiej izbie wszystko zgasło.

Powróciła szybko i zaczęła cucić Piotra.

– Pij, pij! – mrucał cicho stary człowiek. – Ale powoli... Żołądek nie jest taki zachłanny jak człowiek... Żołądek wie, ile można... Dość tego octu, czyś oszalała, babo? Skórę mu zedrzesz z głowy...

Piotr odetchnął głęboko i powieki zaczęły mu drgać.

– Oho! – rzekł starzec. – Wracamy na świat... Hej, Fregata!

- Słucham, panie.
- Precz z pokładu! Precz, czym prędzej...
- Czemu, panie?

– Czemu? Bo jeśli ciebie niespodzianie zobaczy, przerazi się i zemdleje po raz drugi. Młody chłopak nie wytrzyma takiego widoku. Odejdź, a ja tymczasem zasłonię mu ręką oczy.

Barwna Fregata usiłowała wznieść okrągłe oczy ku niebu, ponieważ jednak nie mogło jej się to udać, wzruszyła obydwoma ramionami i pozęgłowała do jakiejś mrocznej zatoki.

Chłopiec otworzył oczy, jakby się budził z ciężkiego snu. Nie pojmował, co się z nim dzieje, ani gdzie jest, czuł tylko z zachwytem jakąś słodycz na wargach. Jakieś ciepłe szczęście wlał mu ktoś w spieczone usta, jakiś czarodziejski napój, jest mu bowiem dobrze. Widzi przed sobą ścianę, a po niej łązi niezdarne ogromna pszczoła. Nie, to nie pszczoła... To jasnożółta, złocista plama słońca. A niedawno był mrok, wielki, nieprzejrzysty mrok; po powietrzu zaczęły wirować ogromne czarne koła, jak gdyby kto w błękitny jego staw cisnął kamień; potem się te koła zaczęły zwierać, płatać, rozplýwać, aż się rozplýnęły w rozlewisko czarne jak smoła. Gdzie to było? To było w zatoce... jakiejś śmiesznej, dziwnej zatoce. Ach! W „Zatoce stu tysięcy diabłów”!... Potem ukazał się stary człowiek...

Wspomnienia, latające jak niespokojne ptaki, nagle znieruchomiały, obłoki skamieniały, świat przestał wirować i stanął nagle zakrzepły. Ucichły wszystkie szумы, brzęczenia i takie cieniutkie, cieniutkie głosy, jakby szklane. Na tej ciszy wyrastał jeden tylko głos: czyjś oddech. Ktoś tu jest... Piotr uniósł głowę i tuż nad sobą ujrzął dwoje oczu wyblakłych, jak na deszczach wypłówiały jesienny błękit. Z tego błękitu sączył się ledwie widocznym promyczkiem spokojny uśmiech. Uśmiech ten zmienił się w głos.

– Nie ruszaj się, chłopcze! Wypij to, a potem śpij. Sen jest najmędrszym doktorem na świecie.

Drżąca ręka uniosła jego głowę, a druga zbliżała do jego ust kubek. Piotr pił i pił tak chciwie, jakby w kubku znajdowała się słodycz wszystkich słodyczy. Było mu niezmiernie dobrze. Sprawiała to ta drżąca sucha ręka, więc ją ujął pieszczotliwym ruchem i przytulił do piersi. W tej chwili zasnął nie wypuszczając ręki błogosławionej.

Fregata, ukazawszy się na horyzoncie, w pełnym biegu rzuciła kotwicę zdumienia i stanęła nieruchoma, wrośnięta jak słup w morską ciszę: oto kapitan Baren, co ma wypłóviałe oczy, bo mu z nich wszystek blask wyżarła sól morza, i co ma chrapliwy głos starego żurawia, bo chciał przekrzyczeć wiatr, siedzi bez drgnienia, oparłszy głowę, siwą, steraną głowę na lewej ręce, a prawa uwięziona jest w ręce chłopca. Kobiety tej nie mogło zdumieć byle co. Raz ją śmiertelnie zdumiała nieprawdopodobna historia, kiedy przed wielu, wielu laty oświadczył się jej przystojny młodzieniec i pragnął ją pojąć za żonę. Nie zwracał uwagi na jej urodę i wdzięcznie ją prosił. Powiedziała mu: – „Czy jesteś szalony, dobry człowieku?” – „Być może – odrzekł – ale jestem też i ślepy”. – W tej chwili zdumiała się po raz drugi; ślepy młodzieniec był mizernym zdarzeniem wobec tego, na które patrzyła. Szybko przyszło jej na myśl, że jeśli kapitan ją spostrzeże, wtedy po raz pierwszy naładuje swój zardzewiały karabin i roztrzaska jej głowę na drobne łupiny, których nikt już skleić nie potrafi. Wstrzymawszy oddech zawróciła cichutko prawym halsiem, pilnie bacząc, aby nawet nie zaszeleścić kolorową kiecką.

Stary człowiek siedział bez ruchu i patrzył w różowiejącą twarz chłopca, który oddychał równo. Ile on może mieć lat? Może piętnaście, może szesnaście... A gdzie się podziały te dwie koszule i książka o morzu? Sprzedał ją zapewne, gdy go głód przycisnął. Potem już mu zabrakło sił i przyczołgał się do „Stelli”. Znał hasło. Ktoś go musiał o nim pouczyć, zapewne jakiś taki sam biedak, bo znali je sami biedacy. Niechże Bóg pobłogosławi tego, co szepnął nędzy, gdzie pośród piasków i wydm można znaleźć kawałek chleba. Kapitan poczuł jakieś ciepło w sercu, o którym mniemał, że jest zimne i nieczułe, jak gdyby było uszyte ze starego żagla, stwardniałego jak skóra na wichrach, na deszczach i w upale słońca. Ciepło to,

rozkoszne ciepło, musiało wędrować od tego chłopczyny poprzez rękę; sprawia mu ono taką rozkosz, że nie wysunie ręki z uścisku, chociażby miał tu siedzieć przez długie godziny. Kapitan grzebie we wspomnieniach i nie może sobie przypomnieć, kto i kiedy zbliżył się do niego z taką ufnością, słodką, niewinną i bezbronną.

– O, chłopcze – myślał – bardzo pocieszyłeś starca... Bardzo uradowałeś śmiesznego dziwaka, co uganiał za tobą ze strzelbą. Gdybyś wiedział wszystko o mnie, roześmiałbyś się jasnym śmiechem i podałbyś mi od razu rękę. Cóż ty jednak mogłeś wiedzieć? Jestem starym szpargałem, na którym zapisano oszalałe historie. Biednym jestem człowiekiem... Szaleńcem, którego opętało morze... Opowiem ci o wszystkim, gdy się obudzisz i ja, stary człowiek, będę cię błagał cichutko, abys się do mnie uśmiechnął i jeszcze kiedy dotknął mojej ręki! Nie wiedziałem, że tyle to sprawia rozkoszy, nie wiedziałem...

W wyblakłych jego oczach zaświtało rozczulenie. Co to się z nim dzieje? Ten śpiący chłopak stał mu się nagle kimś bliskim i drogim; nie uląkł się kolczastej, niecierpliwiej jego starości, przyszedł do niego jak do kogoś, komu się wierzy, że nie uczyni krzywdy. Ci wszyscy, co dotąd tutaj byli, wołali o chleb głosem ochrypłym, czarnym krzykiem; brali z pomrukiem i odchodzili z pomrukiem, zwaliści, rozrośli i chmurni. Wiedzieli o tym, że istnieje taki dziwak, który ze swego pokładu rzuca chleb rozbitkom. Takiego jednak jak ten jeszcze tu nie było. To pierwsze, jakieś bardzo nieszczęśliwe dziecko, zielony liść oderwany od gałęzi i zanieiony na jałowy brzeg morza; promień zabłąkany, co wpadł przez Boże zrządzenie do mrocznego lochu starości i w tej chwili ogrzewa zziębniętą, drżącą, niemocną rękę.

Chłopiec szepnął coś przez sen.

Kapitan nachylił się i nasłuchiwał czujnie.

– „Stella”, ahój! – szeptał Piotr.

Gdyby usłyszał największą tajemnicę, stary człowiek nie byłby głębiej wzruszony.

– Jesteś na jej pokładzie – odpowiedział mu bezdźwięcznie. – I jesteś bezpieczny... Kapitan jej jest narwany, ale nie uczyni nikomu krzywdy. Śpij, mały, śpij! Jesteś rozbitkiem i wedle prawa morza należy ci się opieka... A wedle mojego prawa należy ci się więcej jeszcze... Ach!

Piotr otworzył oczy. Na twarzy miał rumieńce, a w oczach blask. Nie poczuł, że stary człowiek leciutko, miękko, kocim ruchem cofnął swoją rękę. Przez krótką chwilę zbierał myśli, o czymś gwałtownie sobie przypominał, a potem, z bliska ujrawszy chwajne wspomnienie niedawnych zdarzeń, gwałtownie podniósł się z łóżka. Rzucił dookoła szybkim spojrzeniem i spotkał się z wejrzeniem starego człowieka.

– Gdzie ja jestem, proszę pana? – zapytał niepewnie.

– W moim domu – odrzekł kapitan ściszym głosem. – Na pokładzie „Stelli”.

– Czy ja tu spałem?

– Owszem, spałeś, chłopcze. Jak się czujesz?

– Doskonale... Proszę pana... Czy ja... czy ja zemdlałem?

– Uczyniłeś to zapewne dla rozrywki. Przezornie jednak upadłeś na miękki piasek.

– A kto mnie tutaj przyniósł?

– Nie wiem – odparł cicho kapitan. – Jacyś ludzie...

– Jacyś ludzie, jacyś ludzie... – powtarzał Piotr z jękającym się namysłem. – Ale ja byłem bardzo głodny, a teraz nie jestem głodny. Czy to pan mnie nakarmił?

– Być może... Nie pamiętam...

Piotr przyjrzał mu się uważnie, potem jak gdyby pchnięty przez kogoś, co za nim stał, poskoczył ku starcowi, dziecinny ruchem objął go za szyję i ucałował.

Murowana „Stella” musiała wpaść w jakiś zawrotny wir, bo się zakreśliła gwałtownie, zardzewiały kompas stracił czucie i pomylił wszystkie strony świata, a stary kapitan stracił głowę. Chciał krzyknąć, ale nie mógł, tylko ręce przed siebie wyciągnął, jak gdyby chciał

powstrzymać cyklon, co się na niego walił z furją i szaleństwem. Zdawał sobie dokładnie sprawę, że chciał krzyknąć najbardziej krwawym głosem: – „Jak śmiesz?!” – potem chwycić bezczelnego wyrostka za kołnierz i rzucić go w morze. Nie mógł tego pojąć jedynie, dlaczego tego nie uczynił? Po prostu dlatego, że mu sił zabrakło; serce w nim omdlało, nieznanemu skurcz złapał go za gardło, a nogi pod nim drżały. Przed oczami zaczęły latać jakieś jaskrawe światła, a w ich opętańczych błyskach widać było jedynie dwoje oczu młodych i jasnych, wpatrzonych w niego z dziecinnym zachwytem. To uparte spojrzenie wyprawia z nim czary; zdaje mu się, że stara, pożółkła, pomarszczona skóra spada z niego, a ten straszny chłopiec widzi jego serce: obnażoną największą tajemnicę człowieka. A jeśli je widzi, dlaczego nie ucieka z krzykiem jak ten, co ujrzał w wodzie czarną mątwę? A on nie ucieka! Jakże to? Czyżby to serce nie było takie straszne, choć stare, zużyte, wymęczone, z bliznami wielu ran, zawodów, zgryzot i cierpień?

Stary człowiek, ochłonawszy, spojrzał podejrzliwie z ukosa. Piotr stał przed nim, zawstydzony cokolwiek swoim chłopięcym porywem, ale uśmiechnięty; przeto i on starał się uśmiechnąć w nagłym roztkliwieniu. Skurczył aż boleśnie swoją pomarszczoną twarz i ten dziwny uśmiech spletał z tamtym jasnym i młodym uśmiechem, związał je razem w mocny, kunsztownie spletały marynarski węzeł i poczuł lekkość na duszy. Przedziwna ta historia odbyła się z oszalamiającą szybkością. Kapitanowi zdawało się, że jego ostatnie słowa jeszcze szeleszczą jak opadające liście. Wzruszenia ludzkiego serca są szybsze niż myśl. Wzruszenie zrywa się z błyskawiczną nagłością wichru. Radość bucha z triumfalną szybkością z nagłą otwartej fontanny, smutek spada ostrym, zawrotnym atakiem jastrzębia.

– Dziękuję panu – rzekł Piotr. – Bardzo panu dziękuję.

Kapitanowi zdawało się, że chłopiec uczynił taki ruch, jak gdyby szukał drzwi, przez które odejdzie. Nigdy nie bał się niczego, a tego się przeraził, więc zaczął mówić czym prędzej:

– Siadaj! Kto cię nauczył, jak się woła w zatoce?

Piotr uśmiechał się.

– Kiedy pan mnie chciał zastrzelić... – zaczął wesoło.

– To nieprawda! – krzyknął kapitan zapalczywie. – Zdawało ci się... Byłeś pijany!

– Ja pijany? – zdumiał się Piotr.

– Oczywiście, że nie... Więc ci się przywidziało!... Wszystko jedno... Kto ci powiedział?

– Jeden malarz. Spotkałem go niedaleko stąd, na ścieżce.

– Aha! – mruknął kapitan. – Znam go. Maluje mewy wielkości gęsi, a słońce w musztardowym sosie. Czemu nie przyszedłeś prędzej?

Piotr nakrył oczy powiekami i nic nie odpowiedział. Stary człowiek wyczytał w tym milczeniu zawiłą historię i rzekł prędko:

– Siadaj, siadaj! Fregata zaraz przyniesie jedzenie.

– Ja już chyba pójdę, proszę pana – odrzekł Piotr nieśmiało.

– Dokąd? – zapytał stary człowiek.

– Nie wiem...

– O tym jeszcze pogadamy. Fregata, ahoy! Nie przychodzi baba, a musi być blisko, bo pewnie podsłuchuje. Pamiętaj, chłopcze, że to zacna kobieta, chociaż umarli będą pierzchać z krzykiem, kiedy się zjawi na sądzie ostatecznym. Bywało tak, że rekin uciekał na jej widok w przerażeniu, chociaż ma krótki wzrok. Ale to dobra kobieta...

– Jakie dziwne imię! – rzekł Piotr.

– Ona nazywa się Katarzyna, ale tak ją nazwano przed wielu laty i tak pozostało. Ma nos dziwnie podobny do dziobu okrętu. Już nadpływa... Dawaj jeść!

Fregata spojrzała bacznie na kapitana, potem równie bacznie na Piotra.

– Dla jednego, czy dla dwóch? – zapytała.

– Dla trzech! – krzyknął kapitan. – On sam zje za dwóch.

– Nie ma tyle.

- Znajdzie się. Ty będziesz dzisiaj pościć.
 - Panie kapitanie – mówił Piotr szybko. – To niemożliwe! Ja zjem byle co, a pani niech zje, co miała zjeść. Fregata zbliżyła się ku niemu i rzekła:
 - Jak ci na imię, mały?
 - Piotr.
 - Piotrze, masz dobre serce. Może dlatego chciano cię zastrzelić... Ale nie bój się! Gdyby ci kto chciał wyrządzić krzywdę, to mu kark skręcę, chociażby był kapitanem. Ja mam prawie siedemdziesiąt lat, ale są tu starsi ode mnie.
 - Piotrze! – ryknął kapitan. – Podaj mi strzelbę! Prędko, bo baba ucieknie!
- A chłopiec po raz pierwszy od wielu tygodni zaśmiał się głośno, bo mu się nagle wydało, że jest w teatrze.

VI

Osobliwy ten dom, zewnątrz przypominający okręt, od wnętrza bardziej jeszcze był do niego podobny; zatłoczony wszelkim marynarskim sprzętem, ciasny był i niewygodny, a szczupłe izdebki przypominały ciasne pomieszczenia na lichym statku. Największą była „kajuta kapitańska”, małe muzeum okrętowych przyrządów, map i dziwnych, nieznanego użytku przedmiotów. Okrywała to wszystko gruba warstwa kurzu, świadcząca o pogardzie Fregaty dla cudaczných gratów. Ona sama rezydowała w kambuzie, w szczupłej kuchence, skąd wiały na cały dom zawiesziste wonie, gęste i przesycone korzeniami, tak że kapitan mógł najprostszym sposobem, jedynie przez pociągnięcie nosem, dowiedzieć się nieomylnie, czy Fregata pitrasi baranię, czy też innego zwierzaka. Przywoływał ją głosem dzwonu zawieszzonego na sznurku, równie często jednak rzucaniem jakiegoś ciężkiego przedmiotu w drzwi wiodące do jej apartamentów; zależało to od nastroju starego człowieka i od stanu wzniesłego ducha kolorowej Fregaty, która czasem wiodła z kapitanem homeryckie boje. Fregata była czarną chmurą, a kapitan piorunem. Ponieważ kapitan często wykrzykiwał, że do końca życia nie przemówi słowa do „największej czarownicy, jaką widziano kiedykolwiek na wszystkich morzach i na wszystkich lądach”, wtedy zamiast łagodnych słów używał przedmiotów ciężkich, ostrych, brzęklych lub też bezmyślnie tępych, jakim jest stary but. Po przejściu cyklonu, gdy gniewy ukończyły się jak ocean, znowu rozbrzmiewał czysty głos dzwonu. Fregata wtaczała się chmurna i groźna i mówiła nieodmiennie:

- Diabeł nie wytrzymałby przy panu!
- Musisz być starszą ciotką diabła – odpowiadał kapitan – jeśli wytrzymałaś tyle lat.

Bujne były jej losy. Urodziła się na takim wiślanym galarze, na którym w małym domeczku gnieźdzą się ludzie żyjący na wodzie. Może dlatego miała takie rybnie oczy. Pierwsze jej spojrzenie padło na wodę, woda ją usypiała do snu i woda swoim szmerem uczyła ją pierwszych dźwięków. Bała się lądu, ulic miasta i ludzkiego natłoku. Gdy miała lat dwadzieścia, wywędrowała ze swoim bratem do Brazylii; brata zabiło ścinane drzewo. Katarzyna poszła w świat, przed siebie. Posługiwała w marynarskich tawernach, żyjąc ochłapami, zawsze milcząca, rybimi oczami tępo wodząc po ludzkich twarzach. Nie skarżyła się nigdy i odchodziła bez jednego słowa, kiedy ją odprawiano z piekielnie ciężkiej służby. Powiedział jej raz właściciel obskurnego szynku, w którym podawała piwo i wódkę:

- Do roboty jesteś dobra, goście jednak nie chcą patrzeć na twoją twarz.

Przewędrowała połowę świata, zawsze na dłużej osiadając w wielkich portach. Biedną jej duszę ciągnęła woda; musiała wciąż patrzeć na wodę i słyszeć ją wciąż. Woląca najcięższą pracę nad morzem niż najlżejszą w głębi lądu. Nauczyła się wielu języków, z których żaden nie był podobny do prawdziwego; lepiła zdania z najdziwaczniejszych słów hiszpańskich i portugalskich, angielskich i francuskich. Nie nadużywała ich zbyt, nie miała bowiem z kim

mówić. Gadała najczęściej sama z sobą, po polsku. Jak skąpiec, co w nocy dotyka swoich złotych dukatów i z drzeniem je liczy i liczy, tak ona otwierała co nocy szkatułę serca, w której złotym blaskiem świeciły słowa jej ojczystej mowy i liczyła je skrupulatnie. Były to słowa zwyczajne, proste i nieozdobne; te najpiękniejsze, strojne jak na niedzielę, świetne, błękitne i jasne, ukryte były w małej okutej książce do nabożeństwa. Ogród Semiramidy nie barwił się tak, jak ten ogródek biednego serca, w którym litanie rosły wysoko jak lilie, antyfony jak pachnące macierzanki. „Święty Boże” szumiało szmerem dębów, a słowa żałobne czerniły się jak cyprysy. Ten malutki „skarb pokornych” wędrował z nią dookoła świata, bo wiatr nieprzyjazny gnał ją wciąż dalej i dalej. Po latach znali ją wszyscy wędrownicy po dalekich morzach, kto ją bowiem raz ujrzał, ten nigdy nie zapomniał smutnej jej urody, ostrego nosa i wyłupiastych oczu. Ktoś ją nazwał Fregatą i Fregatą pozostała. Ponieważ połowę życia przeżyła na płonących ziemiach, pod jaskrawym i aż białym od upałów niebem, przywykła do barwnych strojów. Była to jej jedyna kolorowa namiętność.

Po latach czarnej pracy, przez wszystkie biedy i nędze oblane łzami morza i wielu łzami jej dziwacznych oczu, przyżeglowała biedna Fregata do Aleksandrii. Założyła tam sklepik, w którym sprzedawała ciastka, tłustsze niż Tłusty Czwartek i słodsze niż zgniłe daktyle. Miały one tę właściwość, że kupione za marne pieniądze leżały w żołądku przez kilka dni. Nigdy jednak nikogo nie przyprawiły o śmierć. Dnia jednego złakomił się na nie wynędziały kundel o złodziejskich oczach; musiał być tak przeraźliwie wygłodniały, że mu było wszystko jedno; mając do wyboru albo śmierć, albo ciastka Fregaty, wybrał ciastko. Protest Fregaty przeciwko tej haniebnej napaści wytrysnął w niezrozumiałym dla arabskiego kundla okrzyku: – „A, pódziesz, psiawiaro!” – Słowa te poleciały za psem jak kamienie, po drodze jednak uderzyły w jakiegoś oficera marynarki przechodzącego ulicą. Był to człowiek starszy, pomazany już srebrem siwizny. Przystanął nagle i spojrzał na Fregatę.

– Czy to pani powiedziała te słowa? – zapytał po polsku.

Jej serce zaczęło wyprawiać dziwne harce; zaczęła je uciszać ręką, aby nie wyskoczyło, a dopiero po długiej chwili zaczęła mówić.

Kapitan usiadł przy niej i słuchał. Musiał być człowiekiem wielkiego hartu i niebywałej siły, jeśli zdołał wytrzymać ten orkan wymowy. Wszystko, co w tej kobiecie drzemało przez lat trzydzieści, obudziło się i krzyknęło; słowa, jak ptaki więzione przez lat trzydzieści w ciasnej klateczce, wyfrunęły z trzepotem skrzydeł i z tysiącem głosów; otwarła się czarna chmura i sypnęła gradem. Wielkie oczy Fregaty spłynęły łzami i wyglądały jak dwa okrągłe stawy. Kapitan słuchał z zajęciem i czasem ogarniał ją ciekawym spojrzeniem; nie można było niczego wyczytać z jego na miedź spalonej twarzy, patrzącej srogo i przenikliwie. Musiał zajrzeć aż na dno sponiewieranego serca tej kobiety tułającej się ponad wszystkimi wodami świata. Sam tułacz bez domu, żeglarz nieukojoony, rozumiał gorzkość każdego jej słowa.

– Wracam do Polski – rzekł twardo. – Jestem sam. Potrzeba mi kogoś do prowadzenia domu. Pojedzie pani ze mną?

Fregata spojrzała na obcego człowieka, pilnie szukając anielskich skrzydeł u jego ramion. Potem zapytała cicho:

– Czy w Polsce jest morze?

Kapitan wzruszył ramionami.

– Włóczy się baba po wszystkich portach świata, a tego nie wie? Jest morze! Dlatego ja tam jadę – dodał cicho.

– Jestem stara... Na co się panu przydam?

– Mówiłem już. Będzie pani gospodynią.

Fregata zaśmiała się, szczęśliwa.

– Będę też od domu odstraszała złodziejów... Samą gębą, panie kapitanie!

– To nie ulega wątpliwości, za to jednak nie będzie żadnej osobnej dopłaty.

W ten sposób kolorowa Fregata dostała się do ostatniego swojego portu.

Opowiadała o swoich dziejach, pachnących morzem i zjeleżałym tłuszczem ciastek, zasłuchanemu Piotrowi, który stał się pasażerem „Stelli”, co usiadła na piaszczystej mieliźnie. Został niemal gwałtem zatrzymany na jej pokładzie, chociaż nie bardzo się bronił. Otrzymał na mieszkanie izdebkę podobną do ciasnej kajuty, z okrągłym okienkiem. Sypiał na twardym, wąskim, drewnianym łóżku, w którym nie można sobie było pozwolić na szerokie, bujne sny, wymagające szerokich i gwałtownych ruchów. Chłopak błogosławił to łóżko i ten nad głową dach, po którym kapitan chodził długo w noc miarowym krokiem. Błogosławił i tych dwoje ludzi, starych, dziwacznych i groźnie ku sobie pokrzykujących.

Właściwie było ich, poza nim, troje w tym domu; była tu jeszcze osoba najważniejsza, najbardziej dostojna, zawsze obecna, każdym niemal wspomiana słowem: morze. Te dwie dusze, osmagane przez wiatry wszystkich mórz, dobrowolnie oddały mu się w niewolę; każda z nich wielbiła je na swój sposób, oddawała mu bałwochwalczą cześć, ofiarowała mu całe swoje życie. Wielka woda zagarnęła te dwie łupiny ludzkie, tak pomarszczone jak łupiny orzecha; oczarowała tych dwoje i szumem napełniała puste, smutne dni gasnącego życia. Kobieta tuliła się jedynie do tego morza przez całe swoje życie, odprawiała do niego serdeczne jakieś nabożeństwo, wzdychała do niego cichą swoją, w wielu zgryzotach wypływała duszą. Kapitan, człowiek silny, mężczyzna, kochał je twardą miłością. Piotr nie znał jego życia, czuł jednak, że w sercu tego dziwaka tkwi ta miłość morza jak gwóźdź wbity w dębowe drzewo. Oboje ci ludzie mogli się wydawać śmieszni na pierwsze spojrzenie; jest w nich jednak coś przedziwnie pięknego; coś wzruszającego błyska w ich dziecinnej komedii, aby pokraczny dom wyobrażać sobie jako okręt, którego pilnują tak czujnie, jak gdyby lada chwila miał go napaść nielitościwy chiński korsarz. Ta śmieszna zabawa jest wstrząsającą złudą; szaleństwo morza tak ich ogarnęło, że nigdy nie wyjdą na twardej ląd rzeczywistości. Miłość ich do tego morza jest tak wierna, że chociaż morze rzuciło ich na brzeg, jak na nic niezdatne szczątki łodzi, oni nigdy morza kochać nie przestaną. Ten śmieszny stary żeglarz, co tam na dachu wachtę swoją w tej chwili odprawia, umarłby zapewne jutro, gdyby mu kazano odejść znad morza i zamieszkać na głębokim lądzie. Jak rzucona na piasek ryba. Człowiek ten jest szorstki i gwałtowny, często zjeżony jak burza. Morze chyba – nikt inny – nauczyło go srogości. Ta kobieta zapala się czasem płomykiem niecierpliwości i namiętnie szuka okazji do rozkrzyczanej zwady. Mój Boże! W wielkich portach uczyła się wytwornych manier, wśród zbiegowiska marynarzy z całego świata, wśród najtwardszych ludzi. Jednak na dnie tych ludzi-okrętów ukryty jest dziwny ładunek: tkliwość. Są to serdecznie dobrzy ludzie, Kapitan umie czasem tak spojrzeć spojrzeniem ślicznym, że wyblakłe jego oczy promienieją jak wody wysrebrzone uśmiechem lekkiego wiatru. Krzyczy, huczy, szemrze i mruży, a potem wyjmuje z zanadru słowo tak złote jak dukat i mówi: – „Masz, weźmij je, tylko nie powiadaj nikomu!” – Rzuci butem w drzwi kambuza Fregaty, a jemu powiada cicho: – „Szanuj ją, to zacna kobieta!”

Piotr wie, że oboje są zacy. Wydobyli go z toni jak rozbitka i mają o niego staranie. Fregata udaje się często do miasta po zakupy, okrywając płomienie swego turbanu czarną chustą, aby nie przerażać ludzi i nie podpalić po drodze drewnianej jakiejś budy. Gdy wraca, kapitan wedle regulaminu urządza dokładną rewizję koszyka; liczy nawet ziarnka pieprzu. Piotr słyszy ze swojej kajuty cały przebieg tej celnej rewizji.

– To jest mięso? – krzyczy kapitan. – Same kości! Gdzie mięso? To glina, a nie chleb... Gdzie ty masz oczy, piekielna babo?

– Większe mam oczy, niż niektórzy, którym się zdaje, że widzą! – woła Fregata.

– A to co za ziele?

– Ludzie mówią, że kapusta. Ananasa nie będzie.

– Kapustę będziesz jadła? W tym wieku? Możliwe, możliwe... Ty mogłabyś jeść gwóźdź i szkło! A to co?

Fregata, chwytając zawsze w lot każde słowo kapitana jak mewa roztrzepaną rybę, długo nie odpowiadała.

– Banany... – odrzekła wreszcie takim drżącym głosem, jakim zbrodniarz przyznaje się do zbrodni.

Kapitan nabił działo straszliwym nabojem i wystrzelił ze świstem.

– Banany?! Czyś ty straciła rozum? Czy ja kradnę pieniądze? Czy ja fałszuję banknoty? Precz z pokładu! O, nakrapiana żmijo! Wracaj i oddaj banany! Ach, ty zmurszała Fregato, ty, ty...

– To dla Piotrusia... – rzekła cicho Fregata.

– Czemuś tego nie powiedziała od razu? Baba stara jak świat, a rozsądnie nie powie jednego słowa.

Wypuścił z głosu wszystkie świszczące wiatry i przemawiał łagodnie.

– Dla Piotrusia wolno... Niech się chłopczyzna odżywi, a lepiej, żeby jadł banany niż te okropności, które ty gotujesz. Trułaś uczciwych ludzi przez tyle lat, że nie możesz od tego odwyknąć. Dobrze, że kupiłaś banany, bardzo dobrze! Zdarzyło się, że i oślica raz jeden przemówiła ludzkim głosem, a tobie raz się zdarzył ludzki pomysł. Czemu się śmiejesz? Marsz do kambuza!

– Z całą przyjemnością! – rzekła Fregata.

Wszyscy morscy ludzie wiedzieli o tym domu i uśmiechali się dobrotliwie, ile razy kto o nim wspomniał; wiedzieli o tym, że tego starego kapitana i jego gospodynię przygnała tutaj tęsknota za morzem i nikt się jej nie dziwił. Musieli widzieć i słyszeć morze, więc niech patrzą i słuchają. Zdarzało się, że tylko młodzi marynarze opowiadali kpiąco o mieszkańcach fałszywej „Stelli”; opowiadali, bo jeszcze nie rozumieli. Powiedział raz młodym ludziom siwy jeden kapitan, co wiele opłynął mórz, a teraz niewielkim dowodził stateczkiem:

– Wierzcie mi, że kiedy już nie będę mógł dojrzeć kompasu i będę musiał zejść na ląd, nie odejdę daleko. Osiadę na wybrzeżu i będę przynajmniej słyszał morze. Nie umiałbym oddychać innym powietrzem, czułbym się w mieście jak w więzieniu. Kapitan Baren przez całe życie był na morzu i nigdy stąd nie odejdzie.

– Dobrze! Czemu jednak biega ze strzelbą i grozi każdemu przechodniowi?

– To jego sprawa. Być może, że poluje na tych, którym się to jego dziwactwo nie podoba, więc wam nie radzę zbliżać się do jego domu. To wam tylko powiem, że człowiek morza, co wiele razy opłynął kulę ziemską, umierał z febry, kostniał na zimnie, widział nie raz jeden śmierć siedzącą na rufie, walczył z cyklonem i poznał wszystkie straszne tajemnice morza, staje się innym człowiekiem, do żadnego niepodobnym. Kto wie, jaki strach widział kapitan Baren, jaka trwoga zbudziła go okropnym krzykiem, kiedy spał, że się jeszcze dzisiaj chce bronić tą śmieszną strzelbiną? Co wam to szkodzi? Jest to człowiek dziwny, ale dobry. Nie uczynił nikomu krzywdy, często nakarmił biedaka. Niech sobie przeto żyje, jak mu się podoba. Widziałem różne dziwolągi wśród tych, których poraziło południowe słońce. Nikomu na świecie na myśl nie przyjdzie, aby się nimi zajmować. Zostawcie w spokoju tego biednego człowieka.

Powoli istotnie przestano się nim zajmować. Dom jego stał na uboczu, ukryty wśród zieleni, więc mało kto przechodził tamtędy. Sam kapitan pokazywał się rzadko, a „na ląd” posyłał Fregatę po okrętowy prowiant. Obchodziło go to tylko, co się odbywa na morzu, które miał przed oczami i które codziennie ogarniał lunetą. Musiało stać się coś bardzo ważnego, aby kapitan zeszedł do portu. Takim zdarzeniem było zjawienie się na wodach nowego polskiego okrętu, co, zbudowany we Francji czy w Anglii, wpływał dumnie na swoje wody. Wtedy kapitan Baren, uroczysty i dostojny, zjawiał się w porcie. Uśmiechano się do niego życzliwie i salutowano go; on oddawał honory sprężystym ruchem i w milczeniu przyglądał się z dala okrętowi długim badawczym spojrzeniem. Wtedy zmarszczki sędziwej twarzy zaczynały drgać i drżały jego usta. Zblakłe oczy napełniały się na chwilę blaskiem. Potem

salutował okręt, odwracał się i odchodził. Ci, co na to patrzyli, czuli, że stary kapitan miał swój jasny dzień. Bystre marynarskie oczy umiały dojrzeć blask w jego oczach.

– Stary jest szczęśliwy! – mówił młody oficer.

– Któż nie byłby szczęśliwy? – odpowiedziano mu wzruszonym pytaniem.

Nikt jednak nie wiedział, co się naprawdę dzieje w sercu tego dziwaka; nie wiedział, że tę miłość, którą kapitan zbierał z fal najdalszych mórz, pełną zachwyty miłość strasznej i zarówno błogosławionej wielkiej wody, przyniósł ze sobą tutaj, na piaszczyste wybrzeże i całą ją ofiarował temu morzu maleńkiemu, którym oddycha jego ojczyzna. Zapomniał o dyszących głębiach, o morzach turkusowych i błękitnych, o spienionych kipieliach z hukiem przewalających się przez koralowe atole, o czarnych malstromach wirujących w piekielnym obłędzie, o oceanach niezmiernych jak wieczność, o srebrnych ciszach dokoła szmaragdowych wysp, o burzach szturmujących niebo i tak orzących morze, jak gdyby chciały odsłonić zębra ziemi na dnie otchłani – o wszystkim zapomniał. Korzył się przed tym w niewysłowionym uwielbieniu, a teraz uwielbia, teraz kocha rozżarzoną, jasną najwierniejszą miłością to morze polskie, szare jak świeżo zorana rola, malutkie jak skarb, co się na sercu zmieści, ubogie, bo w nim Bóg nie zatopił ani rajskich wysp, ani świetnych koralowych ogrodów, ani zaczarowanych lasów, tylko jasnozłote bursztynowe serce. Polska kocha to morze, jak matka kocha wymodlone gorącą modlitwą dziecko i on je tak kochał. Surowy, twardy żeglarz, wojownik, co zwalczył sto burz, włóczęga, co widział niewypowiedzianą wspaniałość świata, dnia jednego roztkliwił się i rozrzewnił. Ogarnął wzruszonym spojrzeniem małość polskiego morza i wyciągnął ku niemu ręce, jak gdyby je chciał objąć. Cóż z tego bowiem, że są morza niezmierne, potężne, burzami dyszące i grzmiące wściekłością, napelnione niezmiernym bogactwem, kiedy to małe morze, które wydłużone ramię Helu tak miłośnie ogarnęło, jak gdyby je chciało do piersi przycisnąć – jest nasze!

Pyszni się serce starego żeglarza. Dumne jest jego spojrzenie. Szczęśliwa jest jego dusza, biała jak żagiel. Wiatry goniliły po cudzych wodach, ale ostatni wiatr, ten najbardziej przyjazny, mocny jak tęsknota, gorący jak miłość, przygnał go tutaj, aby zanim jego oczy zagasną, ujrzął najpiękniejsze morze świata: swoje morze. Tym mu jest droższe, że wygląda jak zgrzebne zmoczone płótno. Tym mu jest bliższe, że było długo dalekie. Tym jest cenniejsze, że trzeba je dopiero przeorać, jak zaniedbany ugór ciężkim, pracowitym pługiem i trzeba na nim siać łodzie i okręty. Kapitan Baren drgnął na pierwszą wieść o tym, że polska fala o polską uderzyła ziemię. Gdy usłyszał o tym morzu, coś nim targnęło, chociaż wśród nieruchomej i tępej płynął ciszy. Tej chwili poczęło się to jego wzruszające dziwactwo, aby się samemu mianować stróżem tego morza. Już był zbyt sędziwy i zbyt zmęczony, aby mu służył. Gdy się jednak zjawiał na pustej, smutnej wydmie polskiego wybrzeża, zgłosił się natychmiast, aby opowiedzieć o wszystkich tajemnicach wielkiej wody tym, którzy ją mieli ujarzmić. Słowa jego były jasne i mądre, słuchano go pilnie i pytano o radę. Potem odszedł uśmiechnięty; wiedział już, że potężne ręce ujmą wiosła, a straszliwy, odwieczną tęsknotą żywiony wiatr napelni polskie żagle. Miłość, wielka, nieprzebrana miłość, powiała od szerokiej, rozległej ziemi ku temu wyśnionemu morzu. Odszedł spokojny na swoje pustkowie i patrzył zachłannym, badawczym spojrzeniem. Wszystko w porządku! Polska zakochała się w morzu. Młodość garnęła się ku niemu, biegła ku niemu z okrzykiem, jak nieszczęśni greccy żołnierze, co po długich, długich strasznych dniach wędrówki znad rzeki Tygrys ujrzeli fale i biegli ku nim w szaleństwie radości wołając: „Thalassa! Thalassa!” – „Morze! Morze!” Ta bujna, silna, jasnooka młodość była pierwszą polską burzą na polskim morzu; ona je przeorała, ona je piersiami własnymi roztrąci, ona mu zbuduje kamienne łoże i granitowe granice. I ona odda za nie życie. On, stary i bezsilny, będzie je tylko kochał i tym kochaniem będzie podsyczał ogień. I to jest całe jego dziwactwo.

Już i w najmłodszych, ledwie rozwitych pąkach krąży miłość morza. Oto ten malec

Piotruś, co śpi w swojej koi, z daleka tu przywędrował, aby oddać serce morzu, pokłonić mu się i błagać o pozwolenie, aby mu mógł służyć. Straszna jest siła morza, skoro cichym swoim szmerem zwołuje ludzi z dalekiej ziemi. Piotr wszystko opowiedział kapitanowi. I o pocztowych markach, i o awanturnych ksiązkach, w których piraci zakopali skarby w zaczarowanym lesie wielkiej przygody. Do północy opowiadał o swojej doli i niedoli. Kapitan siedział milczący, a chłopiec wyznawał uczciwie, co go tutaj przywiodło. W kajucie było mroczno. Piotr nie mógł przeto widzieć, co się dzieje na zmarszczonym pergaminie twarzy pana kapitana. Gdyby było jaśniej, ujrzałby spojrzenie miękkie i dobre, a czasem uśmiech przedziwnej słodyczy. Ten mały chłopczyzna, jak szary pajak, snuje przecie jego własną opowieść. Urywaniem drżącym słowem opowiada „życie i myśli kapitana Barena”. Jakże podobna jest młodość do młodości! Jak fala do fali, jak promień do promienia, jak pisklę do pisklęcia... Potem dopiero ostatni dzień młodości ucałuje jakiś nowy dzień pocałunkiem pożegnania i ten nowy skręca nagle z północy na wschód lub z zachodu na południe.

Piotr opowiada, a kapitan słucha. Piotr doznał już do owego głodnego dnia w ostatnich słowach swojej opowieści, ale kapitan słucha dalej. Któż to szmerze cichutkim głosem? Chłopiec zamilkł i zadumał się, a stary człowiek słyszy, najwyraźniej słyszy: to z mroku wypełzło wspomnienie wyblakłe i siwe. To ono mówi.

Kapitan Baren nazywał się naprawdę Ciemiędzycki. Śmierć uwzięła się na jego rodzinę mieszkającą we Lwowie; najpierw umarła jego matka, ojciec w dwa lata później. Pozostał on tylko, dwunastoletni chłopiec, bystry i inteligentny. Po śmierci rodziców zabrała go do siebie siostra jego matki, zamężna za Anglikiem, panem Baren, inżynierem wiertniczym, który szukał naftę na Podkarpaciu. Był on jednym z pierwszych cudzoziemców, których zwabiła w te dalekie strony woń bezcennej naftę. Inżynier Baren, spokojny, roztropny Anglik, chętnie przysparzał chłopca, Barenowi bowiem nie mieli dzieci. Po kilku miesiącach inżyniera odwołano do Anglii, dokąd mały Polak pojechał z radością. Przez kanał płynęli podczas piekielnej niepogody, która rozsrożyła te złe wody i pomiałała okrętem. Chłopak patrzył jednak bez trwogi na gniew morza. Wicher deszczem siekający zmiotł wszystkich z pokładu do kajut, jego zaś trzeba było sprowadzić tam siłą. Nie mógł potem zapomnieć tego rozchybotanego widoku i tej chwili, kiedy widnokrąg tańczył, a francuska ziemia, w rozpyleniach deszczu ledwie widoczna, coraz to inne przybierała położenie. Burzliwe, wiatrem biczowane morze poraziło swoją grozą chłopięcą wyobraźnię; straszliwa jego wspaniałość ogarnęła go i stała się burzliwym, wciąż żywym źródłem jego tęsknot. Myślał o nim i w domu, i w szkole, dokąd go oddano pod nazwiskiem Baren. Pan Baren usynowił go i chłopiec zwał się teraz Ciemiędzycki-Baren, lecz ponieważ zgniecenie zębami garści orzechów było dla każdego Anglika stokroć łatwiejsze niż wymówienie jego polskiego nazwiska, używał jedynie angielskiego dodatku. Na jego gorące prośby oddano go szybko do szkoły morskiej, najlepszej na świecie. Jego przybrany ojciec miał wątpliwości, czy można będzie z Polaka uczynić dobrego marynarza. Młody Baren rozprosił je szybko. Uczył się z zawzięciem i świetnie. Kochał morze. Na szkolnym statku angielskim był uczniowską znakomitością i prędko przystrojono rękawy marynarskiej jego kurtki złotymi naszywkami.

Młody porucznik Baren nigdy nie zapomniał o tym, że jest Polakiem. Po polsku rozmawiał z ciotką, wyszukiwał Polaków, z trudem zdobywał polskie książki. Gdy odbywał dalekie obowiązkowe podróże, nie rozstawał się z nimi nigdy, jak Fregata ze swoją książką do nabożeństwa. Pozostał sam, kiedy w pogoni za naftą przybrani jego rodzice wywędrowali do Persji. Wtedy to zdarzyło się coś, co go na całe życie wyгнаło na wędrówkę po oceanach. Gdy w roku 1884 zasłyszał, że Polak Szolc-Rogoziniński zamierza wyprawę na okręcie „Łucja-Małgorzata” do Kamerunu, uczynił wszystko, aby się do niej przyłączyć. Angielski marynarz był wciąż polskim chłopcem tęskniącym za przygodą; chłopiec miał już rok dwudziesty, a wtedy przygoda woła najdonośniej. „Łucja-Małgorzata”, niewielki żaglowiec, olbrzymie miał

zamysły. Śmiały Rogoziński, jeden z tych Polaków, co morzu zaprzysięgli duszę, pragnął na kameruńskim wybrzeżu założyć wolną, niezależną kolonię polską. Na tym skrawku ziemi miał się schronić przed uciskiem i wolnym powietrzem oddychać każdy Polak, którego by nie zatrwożyła piekielna praca dla kolonii, którą kiedyś kwitnąca i wspaniała odda wolnej Polsce. Porucznik Baren popłynął na „Łucji-Małgorzacie” jako zwykły marynarz, więc się jego nazwiska trudno doszukać wśród tych, które zostaną po tej wyprawie na zawsze zapisane w polskich księgach żeglarskich, a przeto: Rogozińskiego, co miał śmiałą twarz wikinga, jasno patrzącą, lekkim okoloną zarostem, Leopolda Janikowskiego ze smutnym spojrzeniem albo Klemensa Tomczaka, który nigdy nie powrócił do ojczyzny, zabiła go bowiem zjadliwa kameruńska gorączka. Rogoziński, szlachetny pionier polski, uczynił to, co zawsze jego czyniła ojczyzna: sercem zdobywał serca przyszedłszy w imię miłości i braterstwa. Baren patrzył ze wzruszeniem, jak odwieczna polska racja stanu umie zdobywać bez miecza i jak rządzi dzikim skrawkiem ziemi. Odchodził stąd z goryczą w rozżalonym sercu, gdy polscy nieustraszeni zdobywcy musieli ją oddać potężnej Anglii.

Odплыł z portu Victoria na szeroki świat. Jego dyplomy otwały mu drogę i po niewielu latach kapitan Baren, tysiącem wiatrów owiany, żeglował po południowych morzach. Mało kto wiedział, że ten znakomity marynarz o surowym wyrazie twarzy jest Polakiem. Młodzi oficerowie nadaremnie usiłowali odczytać tytuły książek, których zawsze było pełno w jego kajucie, a sternik opowiadał po cichu załodze, że czasem nocą, gdy księżyc srebrzy morze, można słyszeć, jak kapitan Baren przemawia sam do siebie jakąś miękką, pełną słodczy mową. Nikt jej nie rozumiał i nikt nie słyszał jej nigdy. Razu jednego zdarzyła się rzecz dziwna. W Honolulu kapitan wyszedł na ląd i wtedy zagadnął go dziwaczną angielszczyzną jakiś młody oberwaniec, beztroski włóczęga; zdaje się, że poprosił kapitana o papierosa. Kapitan odezwał się szorstko i chciał przejść, lecz spotkał się z uśmiechem obiężyświata. Zatrzymał się bez powodu i zaczął z nim rozmawiać urywanymi zdaniami. Tamten odpowiadał z głośnym śmiechem. Nagle stało się coś tak dziwnego, że marynarze spojrzeli na siebie z największym zdumieniem; wytworny, powściągliwy i elegancki kapitan Baren objął włóczęgę porywczym ruchem i ścisnął go, jak gdyby ujrzał straconego brata. Z tamtym też stało się coś niepojętego; śmiech jego przestał śpiewać jak nagle zdławiony ptak, a jego oczy stały się wilgotne. Nikt jeszcze i nigdy nie widział płaczącego włóczęgi nad wodami Waikiki, w ziemskim raju. Zaczęli mówić gorączkowo nieznanym językiem, pełnym szeptów, miękkich i słodkich, tym samym językiem, którym kapitan czasem gadał z morzem. Patrzone ze zdumieniem, jak kapitan ująwszy spotkanego kapcana pod rękę zaprowadził go do wyłoczonego i marmurami połyskującego hotelu. Włóczęga zjawił się nazajutrz na okręcie, wybornie odziany i szczęśliwy. Zamknęli się z kapitanem w kajucie i rozmawiali bez końca. Gdy okręt odpływał, kapitan stał bez ruchu przy burcie i uśmiechał się, a tamten, na brzegu, ocierał oczy.

Nikt nie śmiał pytać, kim był ten człowiek. Kapitan powiedział sam przy obiedzie:

– Nie dziwcie się, panowie, to był Polak...

Zrozumiano z tego, że kapitan Baren z nieznanых powodów kocha Polaków.

Kompanie okrętowe staczały boje o kapitana Barena. Na południowych morzach wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich, jak gdyby w jednym porcie rzucano wiadomość na wodę, a wiatr ją niósł przez tysiące mil. O Barenie wiedziano, że należy do najświetniejszych marynarzy i że ma niewypowiedziane szczęście do ludzi. Każda załoga uwielbiała go jawnie. Był człowiekiem surowym i ciężkim w służbie, wymagającym i twardym; najgroźniejszym czasem rozkazem było spojrzenie jego bladych oczu. Proste jednak marynarskie dusze wiedziały o tym, że na okręcie kapitana Barena nie było nigdy i nie będzie niesprawiedliwości i że kapitan skoczy sam pierwszy w morze, aby ratować zmytego falą najmizerniejszego spośród nich. Marynarz chory wiedział o tym, że kapitan zajrzy do niego dziesięć razy w ciągu nocy, ujmie go za rękę, przemówi do niego ciepłym głosem albo zimną dłoń położy mu

na rozpalonym czole. Marynarz smutny, na którego nagle zły wiatr przywiał jakąś tęsknotę, wiedział o tym, że go kapitan Baren pocieszy i zapewni, że jakaś matka czy żona, na innym krańcu świata czekająca, jest zdrowa. Kapitan nie mógł tego wiedzieć, lecz marynarz musiał usłyszeć to słowo łaskawe i dobre, które gładzi serce.

Przez lat trzydzieści kilka morze patrzyło zielonymi oczami na tego kapitana; jak gdyby czuło, że jego dusza w jego niezmiernej rozplynęła się duszy, obdarowało go swoją łaską. Baren należał do legendarnie szczęśliwych marynarzy. Przebył setki burz, setki razy gnał go cyklon na zatracenie, a otchłań otwierała paszczę, aby połknąć białą łupinę, na której grzmiał szorstki, słońścią wichrów przeżarty głos kapitana. Setki razy koralowe rafy szczyrzyły zęby, ostre jak zęby rekina, aby poszarpać w kawały miedziane dno jego okrętu. Kapitan Baren umiał uciekać przed cyklonem, jak goniony mądry zwierz; ze zwinnością ogromnej sprężystej ryby wił się wśród fal, które jeżyły grzywy jak niezmierne lwy. Czasem burza zmiotła mu z pokładu wszystko, co można było złamać i unieść, a on wpędzał ostatnim tchem pudło okrętu, jak ogromną trumnę, w zacisze obwarowane szańcem raf, przemknąwszy się przez bramę śmierci, wąską, straszną i okropną. Wtedy ocierał pot z czoła, uśmiechał się do swoich ludzi bolesnym uśmiechem i szeptał sam do siebie dla nikogo niezrozumiałe słowa.

– On musi mieć swojego Boga – mówili marynarze – który rozumie jego mowę.

Gdy odpoczywał przytuliwszy okręt do ślicznej wyspy, leżącej jak wieloryb na srebrnych wodach, odwiedzili go jacyś ludzie. Gadali z nim długo, odchodzili i wracali. Kapitan chodził zamyślony i coś rozważał. Tamci przyszli raz jeszcze i jakaś tajemna sprawa została zakończona, gdyż kapitan Baren skinął głową i powiedział głośno: „All right!”

– Za dwa miesiące – rzekł do zdumionych oficerów – kończy się mój kontrakt. Za dwa miesiące rozstaniemy się, panowie.

– Tak, sir! – odrzekł pierwszy oficer posłusznie.

Głos mu drżał tak, jakby te dwa słowa były niezmiernie ciężkie.

Tego dnia nikt nie śpiewał na okręcie, chociaż noc była tak śliczna jak opowieść o wielkim szczęściu, a księżyc malował czuby palm na srebrne pióropusze.

VII

Nieruchoma „Stella” płynęła w słońcu od chwili zjawienia się Piotra na jej pokładzie. Kapitan ożywił się i karmił objaśnieniami zachłanną jego ciekawość; pokazywał mu dziwne przyrządy, mapy, busole i sekstansy, i z radosną gorliwością rozpoczął naukę o żeglarskim. Fregata obawiając się, że ta przeklęta nauka wycieńczy chłopca, karmiła go usilnie jak indyka przeznaczonego na wielkanocny stół. Do kapitana mówiła oschle:

– To nie są moje sprawy, panie kapitanie, ale pan zamęczy Piotra. Pan ma wielką głowę, a on małą, jakże pan chce wszystko ze swojej wielkiej głowy pomieścić w tej małej? Czy można przelać ogromny dzban wody do garnuszka? Przecie może pęknąć!

Głowa Piotra była jednakże niezwykle pojemna i posiadała chłonna właściwość gąbki. Słuchał chciwie i chciwie patrzył, kapitan zaś mówił jasno i zrozumiale. Powoli uczył go marynarskiego słownictwa, w którym odwieczne nazwy, przejęte od narodów żeglarskich, w milionach ust mielone i przekształcane, na niezliczonych wywoływane żaglowcach, zetknęły się z nowymi, które dymią czadem kamiennego węgla lub tryskają sinoniebieską promienistością elektryczności. Wyrazy żeglarskie, które odleciały z polskiego brzegu, wróciły niedawno jak ptaki z wyraju i stadem siadły na masztach i rejach polskich statków. Polski słownik marynarski, pracowicie ułożony i wciąż jeszcze uzupełniany, przypomniał sobie i wygrzebał z dawności około tysiąca czterystu słów, z których kilkanaście zaledwie zawędrowało na ląd. Słowa te przyleciały ze wszystkich stron świata, wyłowione zostały na wszystkich oceanach. Uścisnęły się z tymi, które narodziły się na polskim morzu i

przeniknęły się nawzajem. Już mamy naszą, polską, bogatą mowę żeglarską! Witajże nam, witaj, słowo szumiące i burzliwe! Cudowny śpiewie morza, litanio fali, śpiewie wiatru... Ty jesteś zaklęciem mocnym, którym polski żeglarz woła na wicher i którym rozkazuje burzy! Ty jesteś dla polskiego okrętu ostrogą i wędzidłem. Rzucone jasnym głosem z kapitańskiego mostku, lecisz echem po okręcie, aż cię okręt posłyszysz i czyni się tobie posłuszny... Bądź pozdrowiona polska mowa żeglarska!

Piotr znał kilkadziesiąt marynarskich słów z przeczytanych książek o morzu, nie myślał jednak, aby ich było tak wiele. Teraz rozumiał, że okręt jest istotą żywą, do żadnej innej na świecie niepodobną, ogromną i szeroko rozrosłą; domem zatłoczonym niezliczoną ilością sprzętów, z których każdy ma swoją nazwę osobliwą. Nazwę swoją ma każdy ruch tej dziwacznej, przez człowieka stworzonej ryby. Nazwy te są treściwe, zbite, gęste, pełne rozległej treści. Gdy ryczący lew burzy wali się na statek, ten, który nim dowodzi, nie ma czasu na wydawanie rozkazów pełnych dokładnych szczegółów i obwieszonych festonami słów. Chwyta jedno słowo jak kulę i ciska ją niemylnym ruchem; w tym słowie jest wszystko.

Uczył się tych słów pracowicie z książeczki, którą mu dał kapitan Baren. On sam, nawykły do angielskiej komendy, na starość też się ich uczył. Uważał się za kapitana na emeryturze – polskiej floty. A jego nędzna „Stella”, fałszywy okręt na prawdziwej mieliźnie, zaczęła być naprawdę podobna do okrętu, gdy w niej zaczęły latać słone i wiatrem wydęte żeglarskie słowa; aby zaś sceniczna złuda tym bardziej była do prawdy podobna, nie brakło też i burz, którymi Fregata dyszała od czasu do czasu. Kiedy bowiem kapitańska kajuta została zamieniona na szkołę morskich kadetów, rozważny dotąd czas dostał najwyraźniej pomieszania zmysłów; tych dwóch: nauczyciela i ucznia, nie można było oderwać od map i od żeglarskich przyrządów. Nie zwracali nawet uwagi na trąbę powietrzną od kuchni wiejącą. Kapitan był szczęśliwy, Piotr jeszcze szczęśliwszy, tylko zacna kobiecina i łykowata cielęcina w kuchni pełne były smutku.

– Dziecko zamęcza, a pieczeń trzeba będzie wyrzucić! – wołała Fregata.

Kapitan tłumaczył właśnie Piotrowi, jakie są prawa i obowiązki kapitana okrętu.

– Jest on samowładnym na okręcie panem. Z chwilą kiedy statek odbija od brzegu, kończy się wszelka inna władza, a jego władza się zaczyna. Należy mu się bezwarunkowy posłuch od wszystkich znajdujących się na okręcie, a każdy jego rozkaz musi być spełniony. Powierzono mu bezpieczeństwo i życie wielu ludzi, często kilku tysięcy, odpowiedzialność jego jest ogromna, taką też być musi jego władza. Zaufano jego honorowi, tak wzniosłemu jak flaga na okręcie, że uczyni wszystko, co jest w mocy człowieka, aby cało i zdrowo zaprowadzić go do miejsca przeznaczenia. Każdy musi ulec niezwalczonej przemocy żywiołu, on, kapitan, będzie ostatnim człowiekiem, który może zejść z tonącego lub płonącego okrętu. Jak długo na nim jest jedna żywa istota, on musi trwać na posterunku, niewzruszony i baczny. Dlatego, chłopcze kochany, często kapitan tonie ze swoim okrętem.

– To jest bohaterstwo! – szepnął Piotr.

– Tak to czasem nazywają wzruszeni ludzie, ale to nie jest bohaterstwem, lecz prostym, uczciwym spełnieniem obowiązku. Anglicy mówią o takim człowieku: – „Był on dżentelmenem!” – Mówią tymi słowami, że umiał wytrwać na posterunku i spełnić powinność jak należy. Nie uczynił niczego ponad to, do czego był obowiązany. Uczciwy człowiek – uczciwie postąpił. Może być, że trwoga i jego też, jak wszystkich, chwyciła zimną ręką za gardło, może być, że i w jego duszy też coś jęknęło głuchym jękiem, lecz nikt nie może widzieć trwogi, ani usłyszeć jego jęku. Przeciwnie! Na twarzy wielu tonących kapitanów widziano uśmiech, najcudowniejszy kwiat odwagi. Śmierć zbliżała się z szacunkiem do umierającego dżentelmena. Zapamiętaj sobie to słowo! Jest ono nazwą człowieka doskonałego.

– Obiad stygnie! – oznajmiła Fregata po raz siódmy.

– Niech cię przeto nie dziwi – mówi Baren, nie słysząc – że takie mu dano przywileje.

Francuskie prawo morskie orzekło raz na zawsze i oznajmiło swoim wodom, że: „kapitan okrętu jest jedynym władcą po Bogu”.

– A pan był kapitanem! – rzekł Piotr z zachwytem.

– Tak, chłopcze! – odparł kapitan z dumą. – I jestem nim... Wprawdzie na tej mizernej „Stelli”, ale jestem. Czego chcesz, żółta febro? – krzyknął nagle, zdumiony.

Zniecierpliwiona kobieta chwyciła go pod ramię, piskając płacziwie:

– Dość tego... Na obiad!

Kapitan mrugnął na Piotra i rzekł:

– Chodź, Piotrze! Przestałem być „jedynym władcą po Bogu”, odkąd wziąłem na pokład diabła.

– Najpierw niech pan idzie. Gdy krowa pójdzie, cielę pójdzie za nią.

Dwaj nieustraszeni żeglarze napełnili żagle westchnieniem i wyszli z zacisznego portu.

Wobec czartowskiej przemocy Fregaty nauka odbywała się najczęściej w godzinach, w których kobiecina pogrążona była w ciemnej wodzie snów. Mówili wtedy cicho, sen bowiem miała czujny i gotowa była wychynąć z topieli jak nagle objawiony duch morza. Były to godziny najmiłsze, kapitan bowiem, podmówiony przez nocną ciszę szemrzącą szemraniem morza, wplatał w swoje wykłady opowieści ze swoich dawnych lat. Jak gdyby zapominał, że go ktoś słucha, wędrował wspomnieniem na dalekie morza uznożone spiekotą słońca, bite burzami i wściekłością wichrów. Mówił o krajach i o ludziach, o wyspach i okrętach, o życiu bujnym, ciężkim, twardym i strasznym. Milknął na chwilę i przymykał oczy, jakby w ciszy i w mroku chciał usłyszeć rozgwar fal. Piotr zatrzymywał wtedy oddech, aby nim nie zmać dalekich głosów i nie spłoszyć ich.

Przez wiele tygodni trwała ta nauka, barwna i bogata. Kapitan jednak nie był zadowolony.

– Słowo jest mizerne – mówił. – Cóż dopiero moje niedołączne słowo!... Nauczę cię wiedzy o morzu, co każdy potrafi, ale nie nauczę cię – samego morza. Pamiętasz, jak się naigrawałem z twojej książki o morzu?

– Pamiętam...

– Wiesz, dlaczego? Powiem ci. Ludzie napisali o nim wspaniałe książki, często prześliczne książki, lecz słowo ludzkie, najgroźniejsze nawet i najwspanialsze, jest zaledwie cichutkim kwileniem wobec głosów morza. Straszliwość żywiołu jest tak niezmierna, że dusza wzdryga się na jego widok, a głos więźnie w ludzkiej krtani. Piękno jego jest tak niewysłowione, że słowo ludzkiej mowy czołga się przed nim w niemej pokorze. Trzeba żywioł ujrzyć i trzeba go usłyszeć. Książka o morzu, jedna na tysiące, ukaze zaledwie jego widmo i nawet wtedy oczy człowieka pełne są zachwycenia, tak wielką i czarodziejską jest potęga sztuki. Starą moją duszę raduje to, że najpiękniejsze księgi o morzu napisał Polak: Conrad-Korzeniowski! Może być, że tęsknota całego narodu za morzem zebrała się w tym Polaku, co miał zaszczyt i szczęście widzieć duszę morza. Może on sam, po angielsku piszący, nie wiedział o tym, że to polskie morze, upragnione, nalane tęsknotami i oczekiwane, już jest w jego książkach. Zdawało się, że to niemożliwe: Polak rozkochany w morzu! A ten wielki pisarz świata całemu objawił, że polska dusza zawsze gorzała tą miłością. Teraz dopiero świat ujrzał, że to prawda, a ja ci mówię, że świat niejednym jeszcze się zdumieje. Dlatego kłaniam się temu Conradowi, nisko się kłaniam! Anglicy żyją w morzu jak ryby, a nagle zjawił się wśród nich pan Korzeniowski i takie im na nim pokazał cuda, że się zdumie. Ha, ha! Sam lord admiralicji musiał się zdumieć...

– Są przecie takie śliczne książki...

– Dla ciebie, dla ciebie, lądowa kozo, ale nie dla mnie. Ja widziałem nie tylko morze, bo każdy może je zobaczyć, ale ja je widziałem w całej straszliwości i w całej pysze. Ja znam jego przeraźliwe tajemnice... Wtedy mi się zdawało, że jestem proch! Męczyło mnie i biło we mnie trwogą przez trzydzieści kilka lat... Dlatego książki o morzu są dla mnie mizernymi opowiadkami. Przeczytałeś je? Bardzo dobrze! Ujrzałeś przez okno mały skrawek wody, tyle,

ile byś jej zaczerpnął rękami. Teraz jednak musisz wyjść na te straszliwe morskie pustynie... Daleko, daleko! Kochaj swoje morze całą duszą, kochaj je do szaleństwa, ale o tym zawsze pamiętaj, że jest to brama na cały świat. Starzy, tacy jak ja, wracają przez nią na brzeg, na którym można wykopać grób, ale tacy młodzi jak ty dostali ją w tym celu, aby przez nią wyszli tam, gdzie rośnie wielka, bogata puszcza ziemi. Ta brama jest dlatego bezcennym skarbem, że jest tylko bramą. Rozumiesz?

– Tak jest, rozumiem, panie – szepnął Piotr.

– Dlatego musisz wyjść na morze i odczytać tę książkę, co, napisana przy stworzeniu świata, każdego dnia jest inna. Fala jest kartą, na której wicher pisze ostrym rylcem, a głęboka tajemnicza treść leży w otchłani. Skoro kochasz morze, szybko nauczysz się czytać, a jeśli będziesz miał odwagę, przeczytasz takie opowieści, o jakich nigdy nie słyszał człowiek mieszkający na niskiej płaszczyźnie ziemi. Wypłyniesz na morze. Piotrze! Będziesz jednym z tych, których Polska wysyła na szeroki świat jak nieustraszonych rycerzy, aby rozszerzyli ojczyznę i zanieśli głośną wieść o niej na najdalsze krańce świata. Trzeba być wszędzie, trzeba wszędzie pokazać swój sztandar, aby przekonać cały świat, że ta Polska, o której może słyszeli zaledwie, jest kimś potężnym, napęczniałym wolą i mocą; nie jakimś cichym ubogim krewnym świata, lecz jednym z jego gospodarzy, zapobiegliwym i bogatym, czujnym i przedsiębiorczym. Polska musi być wciąż na morzu obecna, na nim bowiem rośnie potęga. Okręt jest okruchem ziemi tej, która go wysłała na wody. Im dalej zapłynie, tym więcej tę ziemię rozszerzy. Chłopcze! Naród, który nie zdobywa morza, jest ślimakiem, co się ukrył w wygodnej ciasnej skorupie i wie dzie żywot nikczemny, bo bez trudu i walki, a sprawa z morzem jest nieustanną walką, najcięższą i najszlachetniejszą. Ludzie morza wspaniałymi są ludźmi, bo mają nieustraszone serca, jasny wzrok, mocne ręce i hardą, nieustępliwą, bohaterską duszę. Ja bym wszystkich młodych Polaków gnał na morze. Jest to, oczywiście, marzeniem starego dziwaka, co całą ziemię chciałby zalać morzem... Niech jednak wyjdą na morze ci najdzielniejsi, ci najbardziej płomienni, a gdyńska, ciasna brama będzie niedługo łukiem triumfalnym zwycięskiej potęgi. Ty pójdziesz z pewnością! Ty pójdziesz na morze z całą pewnością.

– Niczego więcej nie pragnę! – szepnął Piotr gorąco.

– Dobrze! Dlatego cię uczę... Inni dopełnią tego, co ja zacząłem, a ty sam masz uczynić najwięcej. Umiesz już tyle, że mógłbyś już przydać się na okręcie. Co mówisz, chłopcze?

– Ja nie mówiłem – odparł Piotr, zdziwiony.

– Nie mówiłeś? Zdawało mi się... Cicho!

Obaj z nagłą umilkli. Nocna cisza rozlała się szybko i bezszelestnie jak czarna woda. Kapitan położył palec na ustach, potem podszedł na palcach do stołu i zdmuchnął świecę. W nagłej głębokiej ciemności nie widzieli się nawzajem; powoli zaczęło się w niej zarysowywać niepewnym kształtem okrągłe, wysoko umieszczone okienko, noc bowiem była jasna.

– Słyszysz? – najcichszym szeptem zapytał kapitan.

– Ktoś jest u drzwi – szepnął Piotr.

– Ktoś dotyka zamku...

– Złodzieje?

– Nie. Gorzej... Ktoś, kto dybie na mnie...

– O, Boże!

– Cicho!... To stare porachunki...

– Chce pana zabić? – zapytał Piotr tak cicho, że szept zaledwie drżał.

– Przy sposobności... Na Boga, co robisz?

Piotr jednym skokiem był przy drzwiach, a w ciemności wyrzucił krzesło, które upadło z hałasem. Hałas ten wyolbrzymiał wśród zamarłej ciszy nocy i tamten, za drzwiami, musiał go usłyszeć. Zadudniły jakieś kroki, gdy Piotr jednym szarpnięciem otworzył drzwi. Usłyszał jakby z oddali krzyk kapitana, ale go nie rozumiał. Rozumiał to jedno, że ktoś chce uczynić

śmiertelną krzywdę najlepszemu człowiekowi. Ogarnął go płomień gniewu i dlatego uczynił to, co uczynił. Trzeba schwytać złoczyńcę. Z zaciśniętymi pięściami stanął w otwartych drzwiach, oszołomiony. Zdołał ujrzeć bystrym spojrzeniem, szybko rozgarniającym blady, rzadko tkany mrok nocy, jak jakiś ogromny ludzki kształt wypełniony czernością zapada właśnie w ciemną płataninę zarośli. Niczego więcej dostrzec nie mógł, usłyszał za to ostry świst i uderzenie tuż obok siebie.

– Ukryj się! – krzyknął kapitan.

Wtedy Piotr dojrzał w lewym obramieniu drzwi, w niewielkim od siebie oddaleniu, drgający przedmiot. Chwycił go ręką, wydarł z drewnianej ramy, cofnął się szybko i zatrzasnął drzwi.

– Już go nie ma – rzekł gorączkowo.

Kapitan zapalił szybko świecę i spojrzał na Piotra.

– Tym rzucił we mnie – dodał Piotr zdyszczanym głosem i podał kapitanowi długi nóż. Światło świecy rzuciło na siną stal noża złote pręgi, zamieniając go w żmiję. Kapitan wziął go w rękę z odrazą i przyglądał mu się bacznie.

– Fiński nóż – mruknął jakby sam do siebie. – Bilet wizytowy...

Rzucił go z gestem wstrętu na stół i bez słowa zaczął krążyć po izbie. Rozmyślał o czymś, zapewne o tym ohydny nożu, bo czasem przystanął i przyglądał mu się złym wzrokiem.

W głowie Piotra huczało, a serce jego biło nierównym, zmaconym rytmem.

Nagle kapitan zatrzymał się przed nim i tak mu się zaczął przypatrywać, jak gdyby go ujrzał po raz pierwszy w życiu.

– Coś ty najlepszego uczynił? – zapytał twardo.

Piotr nie odpowiedział.

– Czy wiesz, że byłeś o włos od śmierci?

– Nie wiedziałem – odrzekł chłopiec cicho.

– Dlaczego to uczyniłeś?

– Nie wiem... Pan mówił, że ktoś czyha na pana... Chciałem go schwytać...

– Mogłeś schwytać śmierć. On myślał, że to ja stanąłem we drzwiach. Ten nóż mierzył we mnie. Widziałeś kogo?

– Jakiś człowiek ukrył się w zaroślach. Stamtąd rzucił nożem. Kto to był, panie kapitanie?

– To był... – zaczął kapitan porywczo, ale nie dokończył. – Za późno na opowiadanie, powiem ci w swoim czasie. Ty drżysz, chłopcze!

– Sam nie wiem, czemu?

Kapitan myślał o czymś przez chwilę, potem rzekł zdławionym głosem:

– Postąpiłeś nierozsądnie, lecz podaj mi rękę. Dziękuję ci! Jesteś dobrym przyjacielem... Teraz chodźmy spać!

– A tamten nie powróci?

– Miał chyba jeden tylko nóż przy sobie. Nie, już nie wróci.

Zaśmiał się wymuszonym śmiechem i wyciągnął ramię w stronę Piotra. Uścisnął jego rękę jak mężczyzna mężczyźnie.

Rankiem ujrzał Piotr kapitana pochylonego nad śladami, twardą, ciężką stopą wygniecionymi w wilgotnym piasku; stary człowiek mruczał sam do siebie i kiwał głową, jakby na znak, że wszystko rozumie. Potem wywołał Fregatę i coś jej długo opowiadał szeptem. Fregata podniosła obie ręce ku niebu, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Ujrzawszy schodzącego po schodkach Piotra, podbiegła ku niemu i ucałowała.

– Kobieto! – krzyknął kapitan. – Dlaczego mu zatruwasz życie od samego rana? Przecież jest jeszcze na czczo.

Piotr zaśmiał się niepewnym śmiechem i pomyślał, że dwaj dziwni ludzie mieszkają w jednym kapitańskim ciele: poważny, niemal dostojny, twardy człowiek morza, szukający z trudem słów najczulszych, gdy o nim mówi, i przekorny, czasem śmieszny, często opryskliwy

staruszek, nazywający płaczącą ziemię „Zatoką stu tysięcy diabłów”, a Fregatę piekielną babą. Tego dnia objawiał niezwykle podniecenie i widać było, że za płótnem żartów ukrywa coś, co go dręczy. Mówił wiele, coraz to częściej wtrącając angielskie wykrzykniki, co zawsze czynił w chwilach wzruszenia. Nagle przerywał, czułym wzrokiem patrzył na Piotra i uśmiechał się.

– Pójdziemy do portu! – rzekł po chwili.

Oстрым szeptem nakazał Fregacie, aby zamknęła drzwi i nie odstępowała od nich ani na chwilę, potem zaczął schodzić szybkim krokiem.

– Jeślibyś zobaczył – mówił cicho, przystanąwszy – ogromnego draba z jasnymi włosami, daj mi znać natychmiast.

– To ten z nocy?

– Być może... O nic nie pytaj, tylko uważaj.

Staruszek szedł rześko, mocno stawiając nogi. Mrużąc oczy, patrzył pilnie na wszystkich przechodniów i zaglądał za węgły domów. Piotr, niezmiernie tym wszystkim przejęty, nastroszył się jak młody jastrząb i wodził dokoła chmurnym spojrzeniem. Uważał się za giermka tego starego rycerza i sprężony był do skoku w jego obronie. Nikt jednak na nich nie nacierał i zeszedli na brzeg bez najmniejszej przygody. Kapitan wynajął łódź i kazał się wieźć dokoła portu.

Piotr zanurzył rękę w wodzie, pieszczotliwie miękkiej. Pierwszy raz jest na morzu; po raz pierwszy słyszy, jak fala młascze łagodnie i tuli się do boków niewielkiej łodzi, spokojna dziś i nakrapiana słońcem.

Płynęli powoli, kapitan zaś wydawał cicho polecenia.

W pewnej chwili zatrzymał wiosłarza ruchem ręki.

– Widzisz ten okręt? – zapytał Piotra szeptem.

– Tak, panie – odrzekł Piotr równie cicho.

– Odczytaj napis!

– „Imatra”.

– Jaki port macierzysty?

– „Helsinki”.

– Dziękuję. Wiesz już jaki to okręt?

– Wiem, fiński...

– I nóż był też fiński – mruknął kapitan. – Zgadza się. Zawracaj! – zawołał na wiosłarza.

– Panie kapitanie... – szepnął Piotr nieśmiało. – Jeszcze chwilę. Niech pan każe przejechać wzdłuż portu. Widziałem port z tamtej strony, lecz stąd widać go stokroć lepiej.

Kapitan uśmiechnął się niewidocznie i skinął na wiosłarza, który ostrzem wiosła jak nożem rozciął wodę i zaczął płynąć powoli wzdłuż portu. Sto głosów leciało z jego wnętrza ku wodzie, ogromna praca oznajmiała się rozległym szumiącym gwarem, z którego nagle wytryskał gruby strumień tępego dźwięku syreny, kiedy wielki okręt zaczynał zawracać swoje nieporadne wielorybie cielsko, kierując dziób ku morzu.

– To jest ogromny port! – szepnął Piotr.

– Duży – rzekł kapitan. – Zajmuje dziewięćset pięćdziesiąt hektarów; z tego wypada sześćset trzydzieści na urządzenia lądowe, a trzysta dwadzieścia na wodę. Ma dziewięć kilometrów długości. Gdyby wysiłek ludzki można mierzyć tą miarą, jest to dziewięć kilometrów największego trudu, ogromu napięcia woli. Skoro się pomyśli, że przed niewielu laty był tu piaszczysty, bezpłodny ugór i boisko wiatrów, wzruszenie musi ogarnąć każde polskie serce. Piramidy egipskie są podobno cudem świata... Niemądry to cud, wyduży pychą! Gdynia jest cudem prawdziwym... Cudem woli i wytrwałości, szlachetnej dumy i wielkiej mądrości narodu. Ten najmłodszy port świata jest dzisiaj czwartym portem Europy, a przecie rośnie i rośnie. Wiesz, co to jest racja stanu?

– Nie bardzo...

– Jest to rozum państwa, jego busola, jego największy zamysł, jego myśl przewodnia.

Państwo mówi: – „Będę zdobywało mieczem albo będę jednało ludzi miłością. Pójdę na Wschód albo na Zachód. Będę wiodło żywot ubogi albo będę pracowało do ostatniego potu. Będę żółciem w skorupie lub orłem w przestworzach!” – Polską racją stanu było zawsze jednanie sobie miłością tych, co tej miłości pragnęli. Wielkie, wiekopomne akty unii pisały to cudowne złote słowo zawsze w pierwszym zdaniu. Miłość, a nigdy miecz, mnożyła naszą potęgę. Teraz ją wyniesiemy na świat przez port, przez te niezmierne drzwi. Nasze okręty poniosą na wszystkie strony świata wieść o narodzie, co miecz ma do obrony, a zdobywa sercem, co ofiaruje uczciwie: „pokój za pokój, bezpieczeństwo za bezpieczeństwo, przyjaźń za przyjaźń!”

Kapitan uczynił ręką ruch taki, jak gdyby nim chciał objąć dalekie widnokreśli.

– Rozumiem, rozumiem – mówił Piotr.

– To dobrze! Spójrz na tę Gdynię i zapamiętaj sobie, że wywozimy przez nią nie tylko drzewo i zboże, węgiel i żelazo, lecz towar najcenniejszy, cenniejszy niż złoto: miłość i braterstwo. Dlatego gdyby nam kto chciał zabrać ten brzeg, musiałby nam z nim wyrwać serce z ciała.

Łódź zachwiała się silniej, bo wielki okręt burzył wody i rozdzierał je potężnym dziobem. Stojący na wysokim pokładzie ludzie pozdrawiali łódź ruchami rąk i powiewaniem chustek.

W tej chwili Piotr drgnął.

– Panie kapitanie! Tam na lewo, tam, tam...

i zdławił okrzyk.

– Nasz człowiek! – rzekł ochryłym głosem.

Przepływali tak blisko kamiennego obramowania, że zaledwie kilka metrów dzieliło ich od brzegu. Wśród szybko uwijających się ludzi stał ogromny jasnowłosy marynarz, który patrzył na nich ponurym spojrzeniem. Gdy z kapitana przeniósł wzrok na Piotra, na twardej jego twarzy ukazało się zdumienie. Musiał poznać postać, w którą godził nożem.

– Do brzegu, czym prędzej do brzegu! – krzyknął kapitan.

Jasnowłosy marynarz znikł bez śladu.

VIII

Piotr usiłował dowiedzieć się, co by to wszystko znaczyło? Nie śmiał pytać kapitana wprost, zdążył więc do tego drogą okólną. Brał w rękę ten nieszczęsny fiński nóż i przyglądał się jego zjadliwym błyskom, patrząc potem pytającym wzrokiem na kapitana. Kapitan jednak milczał. Z rozmownej Fregaty też się nie dało niczego wydobyć. Po owej awanturniczej nocy snuła się ciężko i powoli jak gradowa chmura, z której każdej chwili wychynie rozszczepiony język błyskawicy. Czujnie pilnowała domu zamykając go szczelnie w godzinie, w której mrok wypęłzał z morza i włókł się na wzgórze. Powoli jednak powracał spokój. Z portu zniknął fiński okręt, a z nim zapewne i ten jasnowłosy Goliat.

– Jednego dnia kapitan ożywił się i głośnym krzykiem zagnał Piotra do nauki.

– Zmarnowaliśmy wiele czasu przez głupią awanturę – rzekł i tym zakończył historię złej nocy.

Nauka odbywała się z namiętą furią; Piotr krążył po wielkich atlasach, zwiedzał wszystkie archipelagi Pacyfiku, każdą zatokę i każdą wysepkę. Powoli okrążył świat pod dowództwem znakomitego kapitana, rozkazującego tonem ostrym i wiodącym statek nieomylnie. Nic, co jest morza, nie było mu obce i wszystko objawiał zasłuchanemu chłopcu, w którego głowie szumiały zrównoważone, stateczne pasaty i wielkie wichry obłędne, tajfuny i cyklony. Po angielsku mówił z wprawą i śmiało; już matka uczyła go tego języka, a kapitan dokończył nauki tym łatwiej, że do chwili południowego posiłku nie wolno było na „Stelli”

żadnym innym porozumiewać się językiem. Piotr zdobył jednakże krótkie chwile odpoczynku. Fregata zauważyła jednego dnia, że jakaś ciężka naszła ją choroba, której siedliska nie można było ustalić; najczęściej podejrzewała nerkę, organ u wszystkich ludzi doskonale unieruchomiony i bardzo rzadko zmieniający stałe miejsce pobytu. Fregata orzekła, że jej nerka należy do nielicznej gromady „latających nerek”.

– Czy to możliwe, droga pani? – zapytał Piotr.

– Możliwe! – krzyknął kapitan. – Skoro istnieją latające ryby, niech mi kto powie, dlaczego nie może być latająca nerka? Czy chcesz, abym cię wyleczył?

– Nie chcę! – wrzasnęła Fregata. – Gdyby pan leczył wieloryba, to i wieloryb skapiałby w trzy dni.

– A któż ci wyjął ząb, nieszczęsna kobieto?

Zimny dreszcz chwycił biedną Fregatę i zatrząsł nią tak, jak czasem dobrzy ludzie czynią to z topielcem, aby z niego wytrząść wodę. Spojrzała na kapitana czarnym spojrzeniem i rzekła do chłopca:

– Czy wiesz, Piotrze, w jaki sposób kapitan wyrwał mi ząb? Bardzo zręcznie to uczynił. Wyrwał ze ściany gwóźdź, przyłożył do zęba i tłukł młotkiem.

– Stary, marynarski sposób – mruknął kapitan.

– ...Ale ząb nie puścił. Tłukł w niego przez pół godziny, a ząb nie puścił. Chwycił go potem obcęgi i ciągnął, biegnąc dokoła całego domu, a ja biegłam za nim.

– Zaczął się jednak chwiać – objaśnił kapitan.

– Cały świat też chwał się ze mną. Pięć razy tak rwał, aż wyrwał...

– Masz zęby rekina, Fregato – rzekł kapitan z goryczą. – Największe ludzkie zęby wrywałem już za trzecim razem.

– Może być, ale na nerkę będę się leczyć sama. Zresztą może to nie nerka, lecz wątroba? Kto ma tyle zgryzot na stare lata, w tym się z pewnością zapiekła wątroba.

Ponieważ nie udało się ustalić ponad wszelką wątpliwość, jakie spustoszenia poczyniły we Fregacie jej ciężkie utrapienia, kobiecina na wszelki wypadek położyła się do łóżka i piła naftę, w porcie Vigo bowiem bardzo to pomogło jednemu, który dlatego tylko umarł po tygodniu wybornej kuracji, że nie znosząc zapachu nafty mieszał kilka kropel cudownego tego płynu z ogromną butelką rumu. Wobec przeraźliwych niedomagań pocziwiej Fregaty Piotr został odkomenderowany do zaopatrywania „Stelli” w żywność. Co drugi dzień meldował się u Fregaty, bacznie wysłuchiwał jej poleceń, zabierał koszyk i udawał się na targ.

– Uważaj szczególnie na masło – ostrzegała go Fregata. – Z wierzchu zawsze jest masło, ale w środku może być cegła. Gdybyś ją znalazł, rozbij ją od razu łeb oszustowi. W śmietanie będzie zawsze mąka, ale na tym się nie poznasz, biedny Piotrze. Nawet mnie ocygania.

– Będę uważał, droga pani Katarzyno.

– Katarzyno? Do kogo ty mówisz? Ja się nazywam Fregata.

– Myślałem, że nie ma takiej świętej – zaśmiał się Piotr.

– Może nie ma, ale skoro ja umrę, zaraz będzie... Idź już, uważaj na masło!... A to ci powiadam, że kapitan będzie z piekła wzywał świętej Fregaty. A ja za moje krzywdy ani mrumru... Będę udawała, że nabożnie śpiewam.

Piotr zaśmiał się głośno, wiedząc, że Fregata poszłaby za kapitanem nawet na samo dno piekła.

Zdążając na targ, zatrzymał się wśród gromadki ciekawych przyglądających się dziwnemu widowisku. Na ulicy, wiodącej ku gdańskiemu gościńcowi, ujrzał dziwny zaprzęg: straszliwie terkocący, cudem trzymający się na kołach stary ford ciągnął na linie wspaniałą, zielony automobil, który puścił z siebie pysznego ducha. Widok był ucieszny. Nędza wiozła bogatą wspaniałość, staruszek ciągnął młodzieńca.

Piotr roześmiał się głośno poznawszy piekielną maszynę, na której przebył część drogi, gdy zmierzał ku Gdyni, a która z całą pewnością musiała służyć prorokowi Eliaszkowi jako wóz ognisty.

Szatański władca forda spojrział na niego, poznał go i wesoło mrugając lewym okiem, krzyknął:

– Zaraz tu wrócę, tylko tego kalekę zawiozę do szpitala!

Istotnie wrócił niedługo i uścisnęli się jak starzy przyjaciele; zdawało się, że i wóz podryguje z radości.

– Znalazłeś pracę, bracie?

– Tak jakbym znalazł. A pański wóz wciąż chodzi?

– Jak to „chodzi”? To jest angielski wyścigowiec! Przywiozłem dziś nim kalafior i pomidory, a z powrotem odwiozę dwie baby. Jedna ma nos jak pomidor, a druga jak kalafior. Chcesz się przejechać?

– Dziękuję, nie mam czasu.

– A mego przyjaciela Szczerbatego widziałeś?

– Niestety, nie miałem przyjemności.

– To szkoda, bo go prędko nie zobaczysz. Siedzi, robaczek. Oczywiście nie na tronie, tylko za kratkami.

– Oj, a za co?

– Ii... Mówić nie warto, za drobnostkę. Ale to nic, że siedzi! Gorsze jest to, że znowu stracił cztery przednie zęby. Umówili się wszyscy czy co, żeby mojemu przyjacielowi wybijać same zęby? To nic innego, tylko zmowa. Człowiek spokojny, że go tylko do rany przyłożyć, a gdzie się z kim zetknie, zaraz mu ząb wyleci.

– Któż go tak urządził?

– Jakiś czort z północy, Fin czy Norweg, tego dobrze nie wiem. Drab jak wieża, a mocny jak niedźwiedź.

Piotr zaczął przysłuchiwać się pilnie.

– Kiedy to było?

– Przed kilku dniami. Mój przyjaciel siedział sobie nad morzem, na pomoście, bo to bardzo miłe zajęcie. Wtedy podeszło do niego dwóch marynarzy, z których jeden gadał coś niecoś po naszemu. Ten gadał, a tamten tylko potakiwał. – „Chcesz” – powiada – „zarobić kilka złotych?” – „Któż by nie chciał?” – odpowiedział mój przyjaciel. – „Ale kto mi je da?” – „Ten wielki ci da”. – „A za co?” – „Prawie za nic... Pójdziesz z nim w nocy do tego domu, w którym mieszka zwariowany kapitan. Musisz otworzyć zamek. Chyba umiesz?” – „Umiem, a co dalej?” – „Dalej nic. Mój kompan ma do kapitana interes, a kapitan nikogo nie wpuszcza do domu. Chce zobaczyć... no... jak kapitan mieszka...” – „I nic więcej?” – „Nic więcej!” – Wtedy mój przyjaciel podniósł się powoli i serdecznie się uśmiechnął. Tamci też się uśmiechnęli, ale już ostatni raz. Tego, uważasz, co gadał, Szczerbaty wyrznął pięścią w brzuch, ale tak jakoś nieszczęśliwie, że sierota zleciał z pomostu do wody i zaczął tonąć...

– A co zrobił z tamtym, co z tamtym?

– Z tamtym rozpoczął honorową walkę i upuścił mu trochę krwi, choć to był olbrzym. Cóż z tego, kiedy sam stracił zęby. Obcy marynarz uciekł, a mojego przyjaciela uspokoił. Czy jest na świecie sprawiedliwość?

Piotr namyślał się przez chwilę, a potem zapytał spokojnym głosem:

– Pański przyjaciel dzielnie walczył. I nie chciał być rzezimieszkiem.

– Z tym to jest trochę niewyraźnie. Gdyby mu to był zaproponował uczciwy rodak, może byłby rodakowi nie odmówił. Mój przyjaciel ma delikatne serce. Ale jakiemuś wywłóce! I to przeciw komu: przeciw poczciwemu człowiekowi, co nie raz mojego przyjaciela nakarmił?

– Ten kapitan?

– Tak. Najpierw groził, że go zastrzeli, a potem dał mu jeść. To zacna dusza!

– Bardzo, bardzo zacna... Chciałbym poznać pańskiego przyjaciela.

– Za dwa miesiące możemy urządzić tę uroczystość, bo teraz sąd nie pozwoli na towarzyskie zebranie. Jeszcze szczęście, że mu pozwolili czytać książkę, dobrzy ludzie. Wyobraź sobie, że mój przyjaciel o nic nie prosił, tylko o tę książkę. Sam mu ją przyniosłem z domu. Śliczna książka... Nazywa się »Złoto z Portobelo«.

– Jak, jak?

– »Złoto z Portobelo«. Powiada, że ją znalazł, ale jeżeli on ją znalazł, to niech mi dzisiaj odleci tylne koło, a w lewym kieszka pęknie.

– A czy przypadkiem nie znalazł też i dwóch koszul?

– O! A ty skąd o tym wiesz? Znalazł, znalazł, ale trochę były dla niego za ciasne. Ale to bardzo dziwne, że ty wiesz o tym. Musiał ci ktoś opowiadać alboś je kupił, bo on je sprzedał jakiemuś chłopcu.

– A co zrobił z walizką?

– I o walizce wiesz? Walizkę mnie podarował, bo sam byłby w niej chyba nosił piasek i kamienie. Po co ślepemu okulary? Ale mój bagaż nadchodzi... Bądź zdrow, przyjacielu!

Obciążony ford jęknął, stęknął tak, że się serce krajało, zazgrzytał, zatrąbił i wpadł wreszcie we wściekłość i na drogę.

Piotr rozmyślał, czy ma o tym wszystkim powiedzieć kapitanowi? Doszedł do wniosku, że nie należy mówić o niczym. Kapitan nie pragnie rozmowy na ten temat, a sprawa, już uczyszona, poruszona na nowo, wzburzy go i zniecierpliwia. Jak zardzewiały gwóźdź w ścianie, tkwiła w tym wszystkim jakaś tajemnica; bez ponurego celu nikt nie ciska nożem ani nie usiłuje włamać się do cudzego domu. Coś w tym domu być musi, co nęci złoczyńcę, cóż jednak może być wśród starych gratów, poniszczonych żeglarskich sprzętów, map wypłowiałych i atlasów?

To nie moja sprawa! – pomyślał Piotr.

Jego sprawą jedyną była obrona starca przed napaścią, obrona ukochanego człowieka przed niespodzianą krzywdą. Jego i Fregaty. Przywiązał się do nich każdym włókmem serca; nie raziły go ich dziwactwa, z uniesieniem zaś myślał o wspaniałym umyśle kapitana, gorejącym jak morska latarnia we mgle. Jak w chropowatej, pomarszczonej muszli mieszka perła, tak w tym chropowatym, pomarszczonym człowieku mieszka miłość morza. Niezdarnie i pospolicie mówiący o codziennych, małych i szarych sprawach, kapitan, mówiąc o nim, gorączkowo zdawał się szukać najpiękniejszych słów, jakie słyszał kiedykolwiek. Mówił o nim porywająco, świetnie i barwnie, jak gdyby samo morze podszeptywało mu te tęcze słowa. Były one gorące i rozpalone żarem, gdy mówił o swoich włóczęgach po wodach tropikalnych, okrywały się szronem i zamieniały się w lodowe sopte, nalane przezrystym światłem, gdy w swojej opowieści dotarł na północne morza. W żadnej najświetniejszej szkole nie usłyszałby Piotr tego, co usłyszał w suchej zatoce „Stu tysięcy diabłów”. Najzarliwszy piewca morza nie nauczyłby go takiej do niego miłości, jak ten starzec, co zapisał morzu duszę.

Coraz częściej coś rozważał, zamyślając się na długie chwile. Patrzył na Piotra i kręcił głową. Wtedy przychodziły mu do głowy najdziwniejsze pomysły godne dziwaka. Jednego dnia wydał rozkaz:

– Przez dwa dni nie będziesz nic jadł!

– Dobrze, panie – odrzekł Piotr posłusznie. – A pić mogę?

– Kubek wody dziennie – powiedział cierpko kapitan. – Podziel go sobie, jak chcesz.

– Czy wytrzymam? – zapytał Piotr nieśmiało.

– Nie wiem. Ja wytrzymałem przez dni siedemnaście. Znałem takich, co wytrzymali dłużej.

Rozkaz był nielitościwy, lecz bardziej jeszcze nielitościwy był ciąg dalszy. Piotr siedział nieruchomy i tępy wzrokiem patrzył w mapę morza. Myślał o tym, że w morzu tym pływają

ryby, wyborne, smaczne ryby; patrzył na maleńkie wysepki i przyszło mu na myśl, że rosna na nich wspaniałe owoce. Pochylił głowę, jak gdyby pragnął poczuć ich świeżą woń; wtedy kapitan uczynił rzecz niemiłosierną: przyniósł chleb, mięso i wino i zaczął tuż przed nim jeść powoli, chociaż zwykle połykał potrawy szybko, nie patrząc, co je. Piotr poczuł zawrót głowy, ale zacisnął usta i nie powiedział słowa. Znał głód i wytrzymał. Pod koniec drugiego dnia postu próbował się uśmiechnąć.

– Masz jeszcze trochę wody – rzekł dziwnie nieśmiało kapitan.

– Dziękuję, nie jestem spragniony – odparł Piotr.

– W takim razie ja ją wypiję.

Piotr chciał nagle, przestraszonym ruchem chwycić kubek, ale kapitan uprzedził go i stracił kubek ze stołu.

Woda ściekła ciężkimi kroplami, a Piotrowi zdawało się, że to jego łzy padają tak ciężko.

Po próbie pragnienia i głodu wymyślił kapitan inną udrękę: przerywania snu. Zaledwie Piotr usnął po ciężkim dniu podzielonym na zajęcia gospodarskie w dominiach Fregaty i na naukę – nagłym spiżowym ciężarem walił się na niego głos dzwonu albo godził w niego przeraźliwy krzyk jak ostra włócznia. Zrywał się przerażony i siadłszy na posłaniu nie rozumiał, gdzie jest, ani co się z nim dzieje. Nie mógł się wyrwać z mocnego snu, jak z więzów. Po dłuższej chwili dopiero zbiegał do izby kapitana, który mówił wzruszając ramionami:

– Ślimak przyczołgałby się o minutę wcześniej... Tymczasem zostałem trzykrotnie zamordowany, a statek utonął dwa razy.

Siedem razy budził go kapitan tej nocy. Piotr, rozdygotany, nie mógł usnąć do białego świtu. Po wielu takich próbach zdawało mu się, że się rozdzielił: jeden Piotr spał, drugi zaś, w czujne zamieniony widmo, stał na straży i na głos dzwonka lub pchnięty krzykiem podrywał śpiącego Piotra, który po kilku sekundach stawał przed kapitałem, zwycięsko uśmiechnięty.

– Melduję się, kapitanie! – mówił jasno i wyraźnie.

– Ach, to ty? Zapomniałem, jaki to dziś dzień?

– Środa, panie kapitanie. Druga po północy – dodawał rzuciwszy okiem na zegar.

– Dziękuję, możesz iść spać.

Straszliwe te próby przyprawiły o furję śpiącą Fregatę. Wiedziała, jaki jest ich cel, sądziła jednak najśluszniej, że jej osobisty w nich udział jest całkowicie zbędny.

– Męczy pan chłopca – mówiła głosem, z którego kapaty łzy jak woda z parasola – i tego panu Pan Bóg nie przebaczy, bo to sierota, ale za mnie to oprócz tego ciężko pana pokarze. Czemu mi pan nie daje spać?

– Dla twego dobra, Fregato, dla twego dobra! Śpisz tak mocno, że się nie zbudzisz na Sądzie Ostatecznym. Archanioł będzie musiał trąbić po raz drugi.

– Dla pana byłoby lepiej, gdyby się pan wtedy wcale nie obudził, żeby pana nie zauważyli. Pan będzie miał niemiłe historie za niego i za mnie!

– Więc módl się za mnie, Fregato! – zaśmiał się kapitan.

– Robię to, ale panu nic już nie pomoże – odrzekła Fregata z głębokim przekonaniem.

Trzeba się było raczej modlić za dobrą kobietę, która podobna do płonącej świecy gasła też jak świeca. Najpierw zgasły na niej zamorskie kolory, podpalone przez słońce; Fregata zdjęła z siebie barwne szaty, z których każda mogła być okrętową, z dala widoczną flagą i coraz częściej przywdziewała stroje posępne. Coraz częściej wielkimi swoimi oczami spoglądała na morze, a coraz rzadziej rozpoczynała harce z kapitanem, który chodził zatroskany i najwymyślniejsze stwarzał okazje, by ożywić jej senny smutek. Piotr, serdecznie ją miłujący, wrywał jej każdą pracę z rąk, nie mógł jednak zastąpić jej w gotowaniu. Zaofiarował swoje usługi przy kuchni, Fregata jednak uśmiechnęła się łagodnie.

– Nie potrafisz, drogie dziecko – rzekła z czułością. – Wprawdzie kapitan ma żołądek starego rekina i nie zauważyłby, gdyby połknął pustą puszkę po konserwach, ale trzeba go

jednak dobrze żywić. Kartofle możesz obrać, bo tej sztuki można nauczyć nawet małpę, ale więcej nie zdołasz.

Jednego wieczoru, kiedy kapitan obchodził dom dookoła, powiedziała cicho i z wielkim wzruszeniem w głosie:

– Piotrze, gdybym ja umarła...

– Broń Boże! – krzyknął chłopak.

– Pocziwe jesteś dziecko, ale śmierci nie odstraszysz. Każdy okręt musi wreszcie zawinąć do portu. Otóż gdybym ja umarła, zaopiekuj się kapitanem.

– Ależ, pani Fregato!

– Spokojnie, dziecko, spokojnie... Nie ma na ziemi ani na morzu lepszego człowieka... Gdy jednak zostanie sam, bez mądrej opieki, gotów zrobić jakieś głupstwo... Ciebie kocha jak syna i ciebie usłucha... Przynajmniej mi, Piotrze, że go nie opuścisz.

– Przrzekam, święcie przrzekam.

– Cicho! Kapitan nadchodzi...

Kapitan był milczący, bo coś rozważał i jakieś snuł plany. W dwa dni po tej rozmowie wystroił się nadobnie w mundur i poszedł do miasta. Powróciwszy po czterech godzinach, poważny był i bardzo przejęty. Bez powodu pogładził Piotra po głowie i rzekł łagodnie:

– Wezwij tu Fregatę.

Kobiecina przydreptała szybko, niezmiernie zaciekawiona wyprawą kapitana.

– Usiądźcie – rozkazał kapitan głosem cokolwiek drżącym. – Odbędzie się narada familijna.

– Ja nie mam żadnej familii! – zamruczała Fregata.

– Nikt się zapewne nie chciał przyznawać do pokrewieństwa ze złą kobietą, która się wypiera i mnie, i ciebie, Piotrze.

– Piotra wcale się nie wypieram...

– Widzę, żeś już zdrowa, bo szukasz awantury. Siadaj!

– Mogę to uczynić, ale bez przymusu. Proszę, już siedzę z własnej woli.

– Piotrze – zaczął kapitan uroczyście. – Rozmawiałem dzisiaj ze szlachetnymi ludźmi o tobie. Oświadczyłem im, że już cokolwiek umiesz i że dość prawdopodobnym mi się wydaje zrobienie z ciebie marynarza.

– Dziękuję panu, panie kapitanie!

– Nie dziękuj jeszcze – wtrąciła szybko Fregata – bo może cię sprzedali.

Kapitan spojrzał na nią groźnie.

– Czy ty zawsze musisz przerywać?

– Nie zawsze, wtedy tylko, kiedy pan mówi. Co pan chce z nim zrobić?

– Chcę go wysłać na morze! Powiedziano mi, że w drodze wyjątku odbędziesz podróż morską na którymś statku handlowym. Zostaniesz oddany pod opiekę kapitana i będziesz pełnił najzwyczajniejszą służbę. Cóż ty na to?

Piotr miał rumieńce na twarzy i był bardzo wzruszony.

– Jestem szczęśliwy! – odparł.

– Mokre to szczęście – mruknęła Fregata.

Widać było jednak, że i ona jest wzruszona.

– Dokąd popłynę? – pytał Piotr gorączkowo.

Kapitan wydobyl kartę i czytał z niej informacje.

– Możesz wybrać. W najbliższych dniach odpływa „Chorzów” do Rotterdamu z drobnicą, „Tczew” do Hamburga, „Lech” do Londynu, „Katowice” z amoniakiem pójdą do Tarragony, „Toruń” z węglem do Helsinek, „Lublin” do Hull. „Śląsk” jest w tej chwili w Rotterdamie, „Poznań” w Tahoradi, a kilka statków jest na morzu. Wybierz, chłopcze, i mów śmiało.

– Nie jedź do Londynu – rzekła szybko Fregata – bo będziesz jadł surową baraninę, a mgła rzuci ci się na płuca. Powiadam ci, nie jedź do Londynu.

Piotr nie słyszał tej serdecznej rady, gdyż usilnie rozmyślał.

– Jaki statek idzie do Helsinek, panie kapitanie? – zapytał powoli.

– Zaraz... „Toruń” z węglem.

– Jeśli wolno prosić, pragnąłbym być na „Toruniu”.

W gęstym natłoku myśli pojawił mu się i ogromny Fin, co w niego cisnął nożem, i napis „Helsinki” na brzuchu okrętu. Słowo to wydobyło się na sam wierzch z odmętu i dlatego je wybrał.

– Dobrze! – rzekł kapitan – jest to podróż niedaleka i po Bałtyku. Poznaj najpierw dom własny, zanim wyjdiesz na świat. A to jeszcze lepsze, że znam kapitana. Jeśli cię nie wrzuci do morza, to będzie oczywisty dowód, że jako tako spełniłeś, co do ciebie należy. Świetny marynarz, ale nie zna się na żartach.

– Piotrze! nie popłyniesz na „Toruniu”! – krzyknęła Fregata. – Skoro cię tam mają zamęczyć...

– Czy będziesz cicho, kobieto!

– Dlaczego mam być cicho? Albo jest rada familijna, albo jej nie ma? Kto tu się zna najlepiej na tych sprawach, może pan, a może ten brzdąc? Ja się znam najlepiej! Zresztą ja tu zastępuję jego matkę, a jego matka nie pozwoliłaby mu na wożenie węgla. Pan kapitan może sobie wdychać nawet dynamit, ale on nie będzie zatruwał się węglem. On powinien być oficerem na pasażerskim okręcie!

– Powoli, powoli! – zaśmiał się kapitan. – Najpierw będzie woził węgiel.

– Bardzo dobrze – rozsrożyła się Fregata. Ale koszule to pan mu potem będzie prał.

– Ja sam wypiorę, droga pani – mówił wesoło Piotr. – A kapitan „Torunia” będzie ze mnie zadowolony.

– Chłopcze, czemu bredzisz? Znałam ze dwa tysiące kapitanów, ale nie widziałam jeszcze zadowolonego kapitana. Jak się nazywa ten port?

– Helsinki.

– Jaki to port? Pierwszy raz słyszę. Urządzili cię. Piotrze, nie ma o czym mówić. Ładna familijna narada! Józefa sprzedali do Egiptu, a ciebie do Helsinek, tylko że tamtemu lepiej się udało, a ciebie mogą jednego dnia odesłać w trumnie, przez pocztę.

Biedna Fregata pokrzykiwała długo, aż wreszcie słowa jej zaczęły kapać grubymi łzami. Wiadomość o wyjeździe ukochanego chłopca była zbyt bolesna dla jej czułego, sierociego serca, co przyłgnęło do Piotra całą mocą. Wiedziała, że ten ptak, którego głód zapędził do gniazda dwojga starych smutnych ludzi, kiedyś z niego wyleci, ale nie chciała nawet myśleć o tej chwili. O, Boże, Boże! Znowu ten dom zasnuje się pajęczyną mroku, dnie staną się cierpkie i puste. Pieściła w dobrym sercu nadzieję, że Piotr wesprze gnącą się starość kapitana, kiedy jej zabraknie.

Włóczyła się po domu osowiała i chmurna. Wiodła z kapitanem ciche i długie narady, wyraźnie unikając chłopca, jak gdyby jej wyrządził serdeczną krzywdę. Nagle, przechodząc raz przez izbę, w której się uczył, objęła jego głowę i przytuliła do piersi. Piotr poczuł pocałunki i łzy.

Dziwna rzecz! – pomyślał. – W życiu wciąż trzeba kogoś żegnać... Wciąż jestem jakby na popasie, a zaraz potem trzeba iść coraz dalej i dalej. Przeszedłem najpierw z jednej ulicy na drugą, potem z jednego do drugiego miasta, a teraz odbędę podróż daleką. A potem? Co będzie potem? Może zapłynę gdzieś tak daleko, że już z tej podróży nie powrócę...

„Toruń” odpływał za tydzień. Była już jesień i szron srebrzył się nocami. Wiatr zrywał liście i jęczał wśród ciemności. Morze posiwiowało i tak wyglądało, jak gdyby ciemna naszała je zgryzota; szemrało niecierpliwym, opryskliwym szmerem, a gdy zapadała bura, zła ciemność, szlochało krótkim urywanym szlochem. Tłoczyły się ponad nim nisko zwisające chmury, zjadliwie siąpiące deszczem zimnym i uporczywym. Słońce ukazywało się rzadko, a ujrzawszy świat nagi, odarty z przepychu i morze zgnębione, wynędzniałe, jakby zapadłe,

zakrywało twarz chmurą. Wiatry siekły może, jak je ongi kazał siec łańcuchami król perski; wiały niespokojnym, porywistym podmuchem, wyziębłe i skostniałe. Leciały pędem, jak przednie straże przed śnieżystą nawałą, co zdąża za nimi, milcząca zamrożonym milczeniem i zabójczym oddychająca oddechem. Mościły trakt dla śmierci, która niedługo nawet brzegi morza zakuje w lodowe jarzmo.

Tak się jednak dziwnie zdarzyło, że w wielkim dniu Piotra zelżało wszystko na niebie i na morzu. Blade, bezkrwiste słońce ukazało się od samego rana i uciszyło morze.

Na „Stelli” panowało pełne powagi milczenie. Wszystkie serca były wzburzone, lecz twarze pomalowane udanym spokojem. Każda z trojga osób myślała o tym samym i każda całkowitą udawała obojętność. Kapitan wziął książkę do ręki i pilnie się w nią wczytał, nie zauważając, że żadnej nie rozpoznaje litery. Fregata po raz dziesiąty układała rzeczy w kufunku Piotra, każdą pieścizotliwie drżącą gładząc ręką. Piotr zrywał się nagle, spoglądał na morze, powracał i zrywał się znowu.

Nagle kapitan podniósł się i rzekł takim głosem, na którego powierzchni spokojnie leżała oliwa, a pod nim była burza:

– Piotrze, już czas... Już wielki czas! Odprowadzę cię... Zabierz rzeczy!

– Dobrze, panie! – odrzekł Piotr.

Zauważył w tej chwili, że stojąca na progu kuchni Fregata daje mu tajemnicze znaki, aby tam wszedł za nią. Gdy znalazł się w jej królestwie, pachnącym kwaśną wonią kapusty, mówiła do niego szybko:

– Piotrze, gdyby cię tam męczyli, uciekaj...

– Jak, przez morze?

– Prawda! Nie pomyślałam o tym... Pilnuj się jednak! Nie pluj pod wiatr, nie przechylaj się przez burtę i nie graj na okręcie w karty, bo to przynosi nieszczęście. Gdybyś chorował na morzu, jedz suszone śliwki i skórę z chleba, bo to jedyne lekarstwo. Zdobądź górne łóżko, bo pchły skaczą chętniej z góry na dół, niż odwrotnie. A przede wszystkim wracaj prędko, to najważniejsze... Nie myśl, że płaczę... Taka głupia nie jestem... Łzy mi z oczu ciekną, bo zimno... Nie miałabym po kim płakać, tylko właśnie po tobie!...

– Dobrze, dobrze, najlepsza pani! – mówił Piotr, ze wzruszeniem patrząc na jej łzy.

– Najlepsza pani... Najlepsza pani... Jeszcze nikt tak do mnie nie mówił... Zaraz, zaraz, panie kapitanie!... Masz, Piotrusiu, weźmij to i schowaj...

– Co to jest, pani Fregato?

– Mój złoty kolczyk... Z Meksyku...

Piotr odepchnął łagodnie jej rękę.

– Bierz! – krzyknęła kobieta przenikliwym szeptem. – Mnie na nic, a tobie się przyda... Sprzedasz go w każdym porcie, bo to marynarski kolczyk... – A ja z tym kolczykiem piękniejsza nie będę... Bierz, dziecinko, uciesz starą kobietę, która cię kocha... Bierz, bo kapitan tłucze łaską o drzwi.

Wepchnęła mu biedny kolczyk do kieszeni marynarskiej bluzy, spojrzała na niego spojrzeniem, w którym błysnęła gorącym żarem wielka, wielka miłość i wypchnęła go z kuchni.

Piotr był odurzony i wzruszony. Fregata zatrzasnęła drzwi jak wieko własnej trumny i już nie wyszła.

Patrzyła przez okienko, jak drożyną ku morzu szedł kapitan milczący i poważny, a za nim, z kufurkiem w ręku, Piotr. Nagle, jak gdyby czując na sobie jej spojrzenie, chłopiec odwrócił się i posłał ręką pocałunek ku domowi.

Nie słyszał jednak, jak Fregata modliła się szeptem:

– O, morze! Bądź łaskawe dla tego chłopczyny, bądź dla niego miłosierne...

IX

Zdawało się, że fale biegną krótkim truchcikiem, aby z bliska spojrzeć na statek, odczytać jego nazwę i dotknąć go rozczapierzonymi palcami mokrej dłoni. „Toruń” szedł przez morze ciężkim chodem, jak juczny wielbłąd przez pustynię, pracowicie, mozolnie i uparcie. Za nim tworzył się szeroki, zbełtany gościniec wody, szeroka droga, jasnosina, żyłkowata, jak chłodny marmur; przed jego dziobem odwalały się na dwie strony dwie skiby wody, jak gdyby dziób statku był pługiem, a morze ugięciem.

Piotra ogarnęła niespokojna, wzburzona radość, którą czuje każdy, kto się po raz pierwszy znajdzie na pełnym morzu. Szybkimi błyskami oczu dotykał wszystkiego na statku, ogarniał nimi rzeczy i ludzi, wśród których miał przebywać wiele dni. Jemu też przyglądano się ciekawie, lecz zawsze życzliwie. Ponieważ na statku, jak w obszernym domu nic się nie ukryje, a ciekawość marynarska jest tak pożądana, że gdyby ciekawość była istotnie drogą do piekła, wszyscy marynarze świata siedzieliby tam, paląc fajki, przeto i o nim coś niecoś wiadano. Musiał i sam kapitan szepnąć, niby od niechcenia, parę słów, które wiatr rozsiał po statku i zaniósł je najpierw do centralnej stacji wszelkich wiadomości: do kucharza, a stamtąd dopiero wyszły one w ostatecznym brzmieniu jako komunikat urzędowy: – „Sierota. Dobry chłopak. Dużo umie. Kto mu uczyni krzywdę, ten postrada ze trzy zęby”. – Wiadomości były ściśle, a groźba dość prawdopodobna, całkowicie jednak zbędna, nikt bowiem nie chciał czynić krzywdy ładnemu, cichemu chłopcu, który uśmiechał się do morza i do statku, i do ludzi na statku.

Kapitan zawezwał Piotra i powiedział krótko:

– Masz wszystkie prawa i obowiązki marynarza. Będziesz pracował tak jak wszyscy, poza tym patrz i ucz się. Ponieważ nie jesteś w służbie, a na statku znajdujesz się za specjalnym pozwoleniem, musisz mi jedynie dać słowo, że się zachowasz zawsze tak, jak przystoi marynarzowi Rzeczypospolitej.

– Daję słowo, panie kapitanie!

– Dobrze. Oddałem cię w opiekę doskonałemu marynarzowi, który nazywa się Wójcik. Wiesz, który to?

– Wiem, taki bardzo wesoły.

– Ten sam. Trzymaj go się jak mewa okrętu.

Piotr przyłgnał posłusznie do Wójcika, który był ulubieńcem całej załogi. Nikt się nie śmieje chętniej, szczerzej i głośniej niż marynarz. Wójcik zaś był niewyczerpaną kopalnią śmiechu. Chłopisko było zdrowe jak ryba, mocne jak nowo zbudowany statek, inteligentne i sprytne. Chodził ciężko, bystro patrząc przez szparki jasnych oczu i zawsze uśmiechnięty. Służbę znał znakomicie, najcięższą zaś robotę witał końskim rzeniem. Był to jego głos przyrodzony, którym objawiał dobry humor. Stąd pochodzi jego przezwisko, znane szeroko w całej Gdyni, przydomek dość wątpliwy, zwano go bowiem „Koniem Morskim”. W szkole i na okręcie wszelkie przydomki mają kurs złota i warte są znacznie więcej niż przypadkowe nazwisko, napełnione są bowiem prawdziwą treścią człowieka. Niewielu wiedziało, kim jest pan Wójcik, wszyscy zaś wiedzieli, że Koń Morski jest to wesoły, wyborny marynarz, który raz na zawsze wykreślił ze swojego kalendarza wszystkie piątki, postne i smutne, a wpisał na ich miejsce rozradowane niedziele. Uznano w nim znakomitego filozofa, który dotarł do głębokiej prawdy, że smutek szkodzi mu na żołądek, a śmiech jest doskonałym lekarstwem na ból zęba. Sława tej filozofii była tak niezmierna, że potężnej radości Konia Morskiego wierzono nawet na kredyt. Wystarczyło, aby miły ten człowiek powiedział: – „dobry wieczór” – a każdy na wszelki wypadek wybuchał śmiechem. W ustach Morskiego Konia znaczyło to pewnie coś takiego, że można boki zrywać. Nikt wprawdzie nie wiedział co, ale po co było wiedzieć? Na zimnym, chmurnym i jałowym pustkowiu morza uśmiech jest czymś

bezcennym, a wesołe słowo najcudniejszą jest błyskotką. Twardzi, mocni, często śmiertelnie spracowani ludzie morza mają dziecięce serca, przedziwnie proste. Raduje ich byle co i byle co ich smuci. Tak mają napięte dusze w nieustannej walce, nieustępliwej i czujnej, że kiedy je odprężą w chwili spoczynku, chwytają łączywie każdy blask, każde miękkie słowo i każdy uśmiech. A Wójcik był tym wszystkim naładowany jak armata.

Piotr zbliżył się do niego z szacunkiem i rzekł:

– Panie Wójcik! Pan kapitan oddał mnie pańskiej opiece.

– Doskonale! – uśmiechnął się marynarz. – Ja jestem Koń Morski, a dotąd nie miałem pary. Niedobrana para, ale para.

– Co mam robić? – wesoło zapytał Piotr.

– Możesz na razie pozamiatać morze, a potem znajdę ci lżejszą robotę. Będziesz liczył wszystkie ryby, bo zdaje się, jedna zdechła.

– Cha, cha, cha! – zaśmiali się marynarze.

Piotr stropił się, a Wójcik, zauważywszy to, rzekł szybko:

– Pożartować można... Jak ci na imię?

– Piotr...

– To bardzo niedobrze, bo będzie zamieszanie.

– Czemu, proszę pana?

– Bo my tu mamy już jednego Piotra. Dla twego własnego dobra powinieneś się nazywać Paweł, bo tamten Piotr jest taki chytry, że kiedy powiem: – „Piotrze, myj pokład!” – wtedy on powie, że ty to masz zrobić, a kiedy powiem: – „Piotrze, chodź jeść!” – wtedy ciebie odepchnie i będzie wrzeszczał, że to jego wołają.

– Nigdy tego nie zrobię! – zaśmiał się młody marynarz.

– Był taki jeden, co by ci uwierzył, ale umarł, kiedy ciebie zobaczył. Ty, chłopcze, będziesz się nazywał Mały Piotr, a on Piotr Wielki. Teraz poznaj się ze wszystkimi, ale rękę podawaj ostrożnie i zaraz potem policz palce, bo ci mogą ze dwa ukraść.

Piotr uściśnął szerokie krzepkie dłonie, które serdecznie ścisnęły jego rękę.

– Hej tam, Literat! – krzyknął Wójcik na rufę.

Siedział tam smutny marynarz, czytający pilnie książkę. Odwrócił się na wezwanie i zbliżył z powagą, aby dopełnić uroczystości.

– Co pan czyta? – zapytał go Piotr ciekawie.

Smutny marynarz podał mu książkę ruchem pełnym godności.

– Śliczną książkę! – rzekł tak rzewnie, jakby mu za chwilę miało pęknąć serce.

– To słownik angielsko-hispański! – rzekł Piotr zdumiony.

– Może być... – odrzekł marynarz.

– A po cóż pan to czyta?

– Dla przyjemności.

– Czy pan mówi po hiszpańsku?

– Nie.

– A po angielsku?

– Nie mam zamiaru mówić po angielsku. Powiedziałem już, że czytam tę książkę dla przyjemności.

– Dlatego nazywamy go „Literatem” – rzekł ze śmiertelną powagą Wójcik. – Zresztą on prawie nie umie czytać – dodał szeptem. – Znalazł tę książkę w jakimś porcie i od kilku już lat w nią patrzy. To bardzo wesołe i pożyteczne zajęcie. Gdy mu się znudzi, odwraca książkę do góry nogami, znowu udaje, że czyta i ma nową zabawę. W Helsinkach kupię mu książkę w fińskim języku, aby miał wreszcie jakąś odmianę.

Piotr zaśmiał się głośno.

Było mu dobrze wśród marynarzy. Zrozumiał szybko, że jest to naród prosty, rubaszny i z wierzchu stwardniały; morze nie jest litościwe i nie pieści tych, co mu służą. Jak nadmiernie

surowy ojciec, rzadko się uśmiecha do swoich dzieci, częściej za to siecze ich giętkimi różgami deszczu albo chłoszcze wiatrem; nie znosi słabych, gardzi tchórzami, zabija nieporadnych. Jak dziki, nie ujeżdżony mustang nie daje się poskromić i szaleństwem rozpetanej swojej siły chce zrzucić z grzbietu fali, jak z siodła, przerażonego jeźdźca; jeśli jednak ten, co wskoczył na spieniony grzbiet rozszalonej wody, wolę napręży aż do bólu, odegna stalowym, mocnym spojrzeniem strach, krzykiem zdławi krzyk morza i przeciwko burzy gna w triumfalnym pędzie, ten je okiełzna. Morze daje mu swoją łaskę i pozwala żeglować po głębinach. W walce tej człowiek nabiera hartu stali i jak gdyby twardą okrywa się skorupą przeciwko wichrowi i nawałnicom. A jego serce, zwycięstwem upojne, staje się czyste; wlewa się w nie niewysłowiona radość wolnego żywiołu; oddycha ono czystością wiatru, bezmiarem błękitu, rozkoszą pędu. Nie słyszy szeptów pełzających po twardej ziemi, słyszy nieustającą pieśń wody nie znającej odpoczynku. Bezmiar napenia je przecuciem nieograniczonej wieczności; najtwardsze, najbardziej nieczułe serce ludzkie korzy się przed tym nieskończonym, niezmiernym, bezkresnym i wiecznym. Marynarz nie zdaje sobie sprawy z tego, jak morze nim władnie, często sam o tym nie wie, dlaczego gdy patrzy z pokładu na bezmiar wód, głębokie ogarnia go wzruszenie; czemu, człowiek twardy, nieraz gbur i zabijaka, chciałby paść na kolana i modlić się, chociaż nie zna słów modlitwy? Dzieje się w nim coś tajemniczego, coś mu duszę odmienia, coś go otacza wspaniałością, groźnym przepychem, wielkością niewypowiedzianą. Twarde serce człowieka czuje upojenie i pragnie śpiewać.

Tak się zaczyna miłość fali wysokiej, morza ogromnego. Tak się rodzi tęsknota, która przez całe życie będzie czerwoną nicią wlec się za człowiekiem morza, jak się wlecze za kapitanem ze „Stelli”. Tak się rodzi głęboka przyjaźń, co płomieniem, wiernym przywiązaniem ogarnia i port, i statek, i ludzi na statku. Marynarze tworzą rodzinę. Są czasem groźni i czasem śmieszni, weseli i smutni, gwałtowni i spokojni, krzykliwi i cisi, bo się zbiegli ze wszystkich stron świata, każdy inny, każdy odmienny, lecz ich szybko zjednoczy wspólny dom pływający, wspólny trud i wspólna sprawa. Błada ze wzruszenia, niema ze zgrozy, zła godzina niebezpieczeństwa złączy ich potężnym nakazem jak braci, kiedy zaś ta godzina minie, dzielą się radością jak bochenkiem chleba. Znają każdą swoją myśl, wszystkie troski i smutki, zamiary wszystkie i pragnienia. Na pustkowiu morza człowiek człowiekowi jest bratem.

Piotr garnął się do nich całym sercem, oni zaś przyjęli go jak wiernego towarzysza. Każdy udzielił mu jakiejś rady, każdy usiłował pomóc mu w pracy. Smutny Literat rzekł mu:

– Gdybyś się nudził, mogę ci pożyczyć moją książkę.

Chcąc się im odwdziaczyć, Piotr opowiadał im w chwilach spoczynku nadzwyczajne historie. Przypominał sobie książki wielokrotnie przeczytane i gadał przez długie godziny. Historia renegata, co skrzywdzony w Anglii przez tysiąc przygód dotarł do Maurów, którzy go mianowali admirałem swojej korsarskiej floty, miała niezmiernie powodzenie. Srogie łajdactwa Czarnego Psa, co walczył niecnie na Wyspie Skarbów i srodze został pohańbiony, musiała być opowiedziana dziesięć razy. Na znawcę takich wyborynych opowieści patrzono z szacunkiem i z uznaniem.

Jednego dnia zbliżył się do niego Wójcik.

– Piotrze! – rzekł. – Czy można z tobą zrobić interes?

– Słucham, panie Wójcik.

– Najpierw muszę wiedzieć, czy umiesz pisać pięknie?

– Pięknie – niepięknie, ale umiem.

– Bo to ważna sprawa. Piotr Wielki, uważasz, ma w Warszawie narzeczoną...

– Daj mu, Boże, szczęście!

– Słusznie, ale ta narzeczoną wcale go nie chce. A wiesz, czemu? Bo on ma na ręce wytatuowaną kotwicę i litery. T. P. Przeciw kotwicy nie ma nic, ale te litery jej się nie

podobają, bo ona się nazywa Magdalena Groszek.

- Po cóż on sobie kazał wymalować kotwicę, a nie strączek grochu?
- W tym rzecz właśnie, że kiedy mu robili ten znak, nie znał jeszcze tej panny.
- A zatrzeć tego nie można?

– W żaden sposób. Próbował mydłem, piaskiem, nawet szkłem, ale nie dał rady. Otóż załoga uchwaliła, że ty jeden możesz pomóc, bo jesteś uczony. Musisz napisać do niej z Finlandii taki list, żeby jej zakrećić rozum. Coś tak, tędy, siędy, trochę na lewo, trochę na prawo, jak to uczeni ludzie umieją. Już to ty potrafisz! Za to dostaniesz takie spodnie, że król nie nosi lepszych: w górze wąskie, a u dołu takie szerokie, że słoń mógłby je wdziać i jeszcze latałyby koło pęcín. Prawdziwe marynarskie spodnie. Piotrze, kolego szanowny! Napiszesz?

Piotr zaśmiał się głośno.

– Nie wiem, czy potrafię, ale napiszę. Spodni jednak nie wezmę.

– Jak długo ich nie widziałeś, tak długo nie weźmiesz, ale skoro zobaczysz, oszalejesz z zachwytu. Sam kapitan takich nie ma, a admirałowi raz jeden się śniły.

Piotr napisał wspaniały list, zwoławszy wszystkie najczulsze słowa z najpiękniejszych przeczytanych powieści. Ponurą sprawę tajemniczych liter T. P. wytłumaczył jasno i dobitnie, zakławszy się na morze, że nie oznaczają one niczego innego, jak wierne do śmierci słowa: „Twój Piotr”.

List został odczytany na walnym zgromadzeniu wszystkich wolnych w tej godzinie marynarzy. Gdyby Homer odczytał »Iliadę«, może który z nich byłby łaskawie kiwnął głową, gdyby Dante odczytał na „Toruniu” swoją »Boską komedię«, może zaofiarowano by mu w nagrodę dwa cierpkie papierosy, nikt jednak nie zdoła opisać szaleństwa radości, gdy Piotr skończył czytanie listu.

Piotr Wielki lał ślozy, rzewne i zawiesziste, inni patrzyli na Piotra Małego z przerażonym podziwem, a Wójcik powiedział od serca:

– Gdybym miał złoty ząb, wyrwałbym go dla ciebie!

List odczytano siedemdziesiąt siedem razy i za każdym razem wybuchał gwar zachwytu. Piotr Wielki wy dostał z kuferka najmodniejsze spodnie całej polskiej marynarki i najpierw otarł sobie nimi łzę, a potem wręczył je autorowi z tym gestem, z jakim na rzymskim Kapitolu na głowę Petrarce kładziono wieniec jako największemu poecie.

– Bierz, Piotrze, bo śmiertelnie obrazisz Piotra! – szepnął mu Wójcik.

Okazało się jednak, że słynne marynarskie spodnie posiadają przedziwne przyciągające właściwości magnesu, gdyż przyciągnęły dziesiątki podarunków, którymi twarda, lecz rozczulona proza czciła szczytną i nadobną poezję, co na skrzydłach polecie do Polski i jedno nieczułe serce zamieni w miękkie masło.

Piotr śmiał się jak szczęśliwy autor, którego sztukę oklaskują w teatrze, nie przeczując, że powodzenie to będzie początkiem ciężkiej literackiej kariery; okazało się bowiem, że każdy z marynarzy z załogi „Torunia” ma narzeczoną, do której pragnie wysłać taki list prześliczny, najstraszliwszym zaś okazał się Literat nie umiejący pisać, ten bowiem miał aż dwie, a obie oczekiwały listów z dalekiego kraju. Wszystkie wolne chwile musiał Piotr poświęcać pisaniu; smutny marynarz siedział przy nim i wyluskiwał sobie z serca słowa jak pestki z dyni, a Piotr je pięknie stroił, wiązał je jak bluszcze, wił z nich wieńce i podpisywał list zakreślasem, zawiałym jak marynarski węzeł, budząc okrzyki zachwytu. Całe szczęście, że nie miał zbyt wielu tych wolnych chwil; kapitan „Torunia”, uśmiechając się zachęcająco, korzystał z każdej sposobności, aby go czegoś nauczyć. Ponieważ listy do narzeczonej umiał sobie napisać sam, przeto nie był zbyt skłonny do oddawania mu hołdów i orał nim jak czarnym wołem. Wiedział o tym, że każdy z załogi chętnie spełniłby za Piotra każdą pracę, więc pilnował, aby się to nie działo. Zrozumiał jednak szybko, że uczciwość chłopca jest nieskazitelna, a zapał szczery i prawdziwy i że nie pozwoliłby na to nigdy. Śmigał po pokładzie, był wszędzie, wylaził z każdego kąta; popędzała go jakaś radość, młoda,

rozśpiewana, bujna radość. Z wszystkimi był za pan brat i znał wszystkich na wylot, każdy bowiem zwierzał mu się i wszystko opowiadał. Morze go upoiło, wiatr go napełniał jakimś szerokim, rozlewnym szczęściem.

– Wzięło go! – rzekł Wójcik do kapitana.

Kapitan uśmiechnął się do marynarza.

– Daj, Boże, więcej takich – odpowiedział. – Lubicie go?

Koń Morski podniósł oczy do nieba i cmoknął rozgłośnie.

– Kochamy go, panie kapitanie. I morze go kocha.

– Morze często zabiera tych, których najbardziej kocha – rzekł smutno kapitan. – Przypomnijcie mu, że jego wachta od północy.

– Po co przypominać, panie kapitanie? Ten pędrak zna służbę! – Ale, za pozwoleniem pana kapitana... Czy nie można by?...

– Czego by nie można?

– Abym ja go zastąpił? – zapytał Wójcik nieśmiało.

– Nie! – odparł szybko kapitan. – Mamy z niego zrobić marynarza.

– Słucham, panie kapitanie!

Piotr patrzył bystrymi oczami w ciemność mokrą i chlupocącą. Spoza ruchomej, ciężko nawisłej ściany mroku dochodziły mętne, pomieszane, splątane odgłosy, miękkie szepty, ciche westchnienia, tajemnicze bulgoty; jeden głos falą spływał na drugi i zatapiał go w czarnej wodzie. Tuż przy okręcie fale świeciły sobie jasnymi pianami bryzgów i tak się czepiały jego boków, jak gdyby chciały z nim popłynąć z ciemnego odmętu. Okręt parł naprzód niezmiernie, cierpliwie i uparcie; sternik, zamieniwszy oczy w dwa noże, przebijał nimi ciemność, bystry i uważny.

Jakże daleko jestem od Polski – myślał Piotr – a rzecz dziwna: wciąż jestem w Polsce! Ten okręcik to cząstka polskiej ziemi. Ta za nim smuga, co się jaśni nawet w nocy, to jakby linia, co się odwija z polskiego kołowrotka. Ciągniemy Polskę za sobą. Dokąd ten okręt dopłynie, tam on popłynie za nim... Wieziemy polskie słowo, polski węgiel, polskich ludzi.

Wielka duma wlała się w jego chłopięce serce, jak roztopiony ołów; ogarnęło go wielkie szczęście, że tam, za nim daleko, na polskim brzegu, wszyscy śpią po pracowitym dniu, a on czuwa nad wspólnym dobrem, nad tą cenną cząstką Ojczyzny, która mu najmiłościwiej pozwoliła sobie służyć.

Drgnął w tej chwili, gdyż poczuł na swoim ramieniu czyjąś rękę.

– Zimno?

– Gorąco, panie kapitanie! – odrzekł półgłosem, poznawszy kapitana.

– Zadowolony jesteś?

– Szczęśliwy, panie kapitanie!

Patrzyli obaj w noc. Po długiej chwili zapytał kapitan:

– Skąd znasz kapitana Barena?

– Byłem głodny i poszedłem do niego po chleb.

– Rozumiem. Zaczny stary człowiek... Czy to prawda, że on ukrywa w swoim domu jakieś skarby?

– Nie wiem, panie kapitanie. Mnie się wydaje biedny.

– Różnie o tym powiadają, ale to nie moja sprawa. Czy wiesz o tym, że on cię uważa za syna?

Piotr oblał się rumieńcem i odrzekł drżącym głosem:

– Nie zasłużyłem na to, panie kapitanie. To wiem, że ja go kocham jak ojca, ale cieszę się bardzo, że pan mi to powiedział.

– Zareczył za ciebie. Pamiętaj, że ci nie wolno zdradzić jego zaufania. Dobranoc!

Piotr stuknął obcasami i wyprężył się jak struna.

– Dobranoc, panie kapitanie!

Kapitan Baren kocha go jak syna... Fregata błogosławiła go jak własne dziecko... Marynarze kochają go, a kucharz rzuciłby się z nożem na każdego, kto by usiłował porwać porcję przeznaczoną dla Piotra, najlepszą i największą. Twardy kapitan przyszedł tu, niby przypadkiem, naprawdę zaś po to, aby go ogrzać ciepłym, dobrym słowem. Czy są na świecie ludzie źli? Chyba ich nie ma...

W tej chwili zdawało się Piotrowi, że złowił uchem ostry świst. Ach, to ten nóż, ciśnięty w niego, gdy wypadł na próg „Stelli”...

Wzdrygnął się na to wspomnienie. Są jednak ludzie źli. Na świecie tak jest, widać, jak na morzu; czasem się na nim srebrzą fale tak przetykane słońcem jak drogocenny złotogłów, blask z niego bije prześwietną fontanną i radość z niego tryska, czasem znów pełza po nim zjadliwa czarność, siła nieczysta, co burzy spokój wód i napętnia je złością.

W tej chwili morze jest spokojne i spokojnie leży w swoim głębokim łóżysku, jak gdyby nie mogło się dźwignąć spod ciężaru gniotącej je nocy. Noc jest ciężka. Każda ciemność jest ciężka, jasność zaś i błękit mają wagę puchu. Smutek tej nocy jest tym czarniejszy, że bezgwiazdny. Źle jest, gdy nie widać gwiazd, dobrych sióstr żeglarza; one nauczyły go żeglować i wskazują drogę na odmętach. Nie widać ani jednej. Piotr rozgarniał ciemność spojrzeniem, ostrym i przenikliwym, lecz ciemność zalewała mu oczy jak czarna woda.

– Moja zmiana, Piotrze! – rzekł nagle przy nim sennym głosem Literat. – Och, jak czarno... Wiesz, co mi się śniło? Miałem bardzo przyjemny sen. Śniło mi się, że umiem czytać pisane i drukowane, tak jak ty. Zbudziłem się, wziąłem moją książkę i okazuje się, że dalej nie umiem. Patrz, jak diabeł igra z uczciwym człowiekiem. Idź spać, bracie!

Piotr usnął jak jeden z „braci śpiących”. Zdawało mu się, że spał zaledwie chwilę, gdy nagle w jego sen zaczął się wdzierać przeraźliwy, miarowo powtarzający się, gruby, huczący głos. Ocknął się i począł nasłuchiwać. Syrena statku wyła jak osobliwy jakiś zwierz, wydający tępy ryk trwogi.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojonym głosem.

– Mgła! – odrzekł Wójcik. – Zgubiliśmy świat, jesteśmy sami na świecie, którego nie widać. Ktoś wylał mleko w niebie i zalał nim morze. Czy było kiedy uczciwe mleko? To też pomieszane jest z wodą. Byłeś kiedy pijany? Pewnie nie! Gdybyś był, to byś wiedział, co to jest mgła. Wtedy człowiek ma mgłę na rozumie.

– Pójdę zobaczyć! – rzekł Piotr i odział się szybko. Wzdrygnął się, ujrawszy ogromną wilgotną białość; zdawało się, że wszystkie wody morza zamieniły się w niezmierny, ciężko wiszący, nieprzebity tuman. Był dzień i nie było dnia. Straszna szarobiała gąbka mgły wessała w siebie jego słoneczną jasną krew; dzień wyglądał trupio; świat jak szklana bania wypełnił się cały, aż po brzegi, rozrzedzonym aż do lotności mlekiem. Wiatr utonął w morzu, ciężka cisza pełzała wśród tej białej nocy; niezmierny polip, wyczołgawszy się z otchłani, opasał wszystko, co było do niedawna widzialne. Zmora lepka, zawieszona, zimna i obrzydliwa legła na struchlałej piersi morza. Statek wdzierał się w mgłę i darł ją dziobem jak brudne szare płótno; posuwał się ostrożnie, prawie pełzał przez ruchome labirynty, czołgał się pod ich sklepienia, jakby wielki owad mackami szukający drogi. I wył. Oznajmiał się rozpaczliwym krzykiem jak ślepiec szukający drogi, a potem nasłuchiwał czujnie, czy nie usłyszy takiego samego krzyku przed sobą. Nagle bowiem z odmętu mógł wychynąć inny statek, oślepiiony przez mgłę.

Kapitan stał na mostku jak wśród białego dymu. Wszystkie nerwy miał napięte, a oczy wpił w czeluść, wypatrując je aż do bólu. Jest bezbronny wobec tego wroga, który go otacza, okrąża i zamyka go w wilgotnym, okropnym uścisku. Już nie ma morza, nie ma nieba, niczego już nie ma, jest tylko statek widmo płynące ślepo, kierujące się czuciem. I jest jeszcze śmierć; może o sto metrów oddalona, może tylko o dwadzieścia. Płyń na jakimś okręcie, siedząc okrakiem na dziobie, dusząc się od tej mgły. Syrena zawyła kilkakrotnie, aż jęk zapadł w topielisko, co zalało cały świat. Znowu cisza, którą natychmiast mgła owinęła jak w

skołtuniony kozuch.

Nagle przeraźliwy krzyk wydarł się jak wystrzelona raca z uwięzi.

– Panie kapitanie! Na lewo... blisko... słyszę!

Piotr krzyknął i skoczywszy ku kapitanowi wskazał mu ręką kierunek. Cisza uczyniła się śmiertelna. Chlusnęły jakieś pluski, jakieś strzępy głosów, jak odpryski granatu, przedarły się przez ciało mgły. Jednym tygrysim skokiem kapitan był przy sterze. Słowa rozkazów strzelały jak pociski z maszynowego karabinu. Statek drgnął i zadrżały maszyny. Ciężkim ruchem statek wykręcił się na prawo i zawył syreną, jakby z ogromnego krzyknął wysiłku. Tuż przy lewej jego ścianie, jakby z otchłani zalanej nieszczęściem mgły, wytrysnęły przerażone, zbeltane głosy ludzkie. Jakiś mały statek przemknął jak widmo i przepadł w odmęcie.

Kapitan otarł pot z czoła i spojrzał na Piotra głębokim, serdecznym spojrzeniem.

– Ocaliłeś wielu ludzi, Piotrze! – rzekł z drżeniem w głosie.

Niezmierne bagno zgniłej bieli zalewało świat przez trzy godziny jeszcze od tej chwili. Niepoliczona trzoda białych krów pasła się na niewidocznej, ciężko stratowanej łące morza, nadymając się, garbiąc, pęczniąc do potwornych rozmiarów, aż wreszcie z jakiejś oddali nadbieżał wiatr-pies, zły i zajadły. Począł kasać opuchłe cielska i rozdzierać je na strzępy. W gromadzie mgieł zaczęły ukazywać się wyrwy, a przez jedną z nich wyjrzało chore, wymęczone, blade słońce.

Odetchnięto na „Toruniu” i patrzono poza siebie na przebyte zimne, wstrętne, białe piekło. Wesołość zapanowała na pokładzie.

– Ale ty masz słuch, bracie! – rzekł Wójcik do Piotra z uznaniem. – Stałem przy tobie, a nie słyszałem nic. Co prawda to miałem watę w lewym uchu, bo mnie strzyka, ale kapitan też nie słyszał.

– Są tacy, co słyszą, jak trawa rośnie – mówił kucharz. – Opowiadał mi jeden, że przyłoży ucho do gołej ziemi i powiada: – „Słyszę, jak rośnie jęczmień”. – I co powiecie? W tym miejscu po kilku tygodniach naprawdę wyrósł jęczmień. On go usłyszał!

– Ja znam lepszą sztukę – zaczął opowiadać marynarz, którego zwano Klocek. – Znałem takiego, co słuchał, jak pchły do siebie gadają.

– Jakże to może być – zdumiał się Literat. Słyszeć, no, mógł słyszeć, ale jak mógł rozumieć? Czy pchła gada ludzkim głosem?

– Dlaczego nie ma gadać? Psia pchła pewnie nie gada, ale ludzka, co przez całe życie na człowieku siedzi, mogła się nauczyć.

– No i co, no i co? – zakrzyknęli wszyscy.

– Otóż ten mój znajomy leży sobie w koi, bo go brzuch trochę bolał. Bardzo było cicho, a on słyszy, jakiś pisk; patrzy, a na poduszce siedzą dwie pchły, jedna mała, a druga jak koń. A ta mała piszczy do tej wielkiej: – „Mamo, czy ja mogę wleźć za koszulę temu, co tu leży?” – Na to ta wielka: – „Nie bądź głupia! Otrujesz się. Ten człowiek wypił tyle rumu, że już w nim nie ma krwi, tylko czysty rum. Skacz na pokład, a potem na porucznika!” – Tak wyraźnie to słyszał, jakby capstrzyk grali. I dlatego dwa razy tyle pił rumu, co przedtem. To jest słuch, ha!

– Czy to możliwe?

– Na świecie wszystko jest możliwe. Gdybyś sobie kiedy wymyślił uszy, to i ty byś usłyszał. Na „Lechu” jest jeden taki, co raz słyszał, jak duch przeszedł po izbie. Nie widział go, bo duch jest taki jak mgła, a słyszał wyraźnie, jak człapie po podłodze.

– Przywidziało mu się!

– Wcale mu się nie przywidziało, bo duch zabrał srebrny zegarek.

– A po kiego licha duchowi zegarek?

– Pewnie po to, żeby wiedział, czy już jest dwunasta godzina. To jest ich wachta.

Marynarze ryknęli takim śmiechem, że wszystkie gadające pchły zaczęły skakać do morza.

Wtem rozkaz wydobył wszystkich na pokład, jak rybak wydobywa rybę na powierzchnię

wody.

Fiński brzeg wynurzył się z morza.

X

Pogoda w Finlandii była mieszaniną rozpaczu mokrej z rozpaczą zimną. O takiej pogodzie powiadają wesoło Finowie: – „Starsi z nieba wyszli, a dzieci się bawią”. – Po czerwonych granitach, zasadniczym materiale fińskich budowli, ścieka jesień w szklistych strugach wody. Sliczna fińska stolica, nad zatoką rzucona jak ogromny złom granitu, barwiła się smutną jesienną szarzystą. Parki i świetne aleje odarte już były z zielonego przepychu. Olbrzymie bloki nowoczesnych domów setkami okien patrzyły na morze i na zatopione w nim wysepki. Deszczem ociekał słynny Nurmi, nagi i spiżowy, ustawiony na posągu w pysznym ruchu biegacza, co za chwilę ma przerwać taśmę na starcie. Twardy, mocny, pracowity i wspaniały w budowaniu swojej ojczyzny Fin stworzył dla niej stolicę kamienną i wzniosłą. Rozkochany w srogości klimatu swojego kraju, w jego dziwnym smętku, co się po karelskich lasach włóczy, w huczącej grozie wodospadów Imatry, co się bałwani i pieni, duszę swoją napełnił upartą mocą i zahartował ją jak żelazo. A jednak na swoich, granitach wyhodował kwiaty, ze srogości ziemi i morza wyorał sercem jedną z najwspanialszych epopei świata: Kalewałę, a ze smętków olbrzymich brzozowych lasów uprzął sobie prześliczne pieśni, które w dni chmurne są dla niego promieniem słońca.

Z niecierpliwą ciekawością oglądał Piotr wspaniałą stolicę Finlandii, Helsinki. Gdy tylko otrzymali pozwolenie zejścia na ląd, marynarze z „Torunia” wylegli na kamienny bulwar i podzieliwszy się na małe grupki, przepadli w ulicach miasta. Specjalna delegacja poszła na szukanie poczty, aby wysłać wszystkie serdeczne listy napisane przez Piotra. On sam wałęsał się z Wójcikiem, oglądając piękne sklepy i podziwiając czystość miasta. Gdy się znaleźli na obszernym placu przed granitowym dworcem kolejowym, deszcz, który przestał padać przed półgodziną, przypomniał sobie, że zbyt długo odpoczywa, więc lunął z przesadną gorliwością.

– Ukryjmy się na dworcu! – zawołał Piotr i począł biec wielkimi krokami, przekonany, że Wójcik biegnie za nim.

Wójcik dojrzał w tej chwili Literata i Piotra Wielkiego, którzy zaczęli ku niemu pokrzykiwać i dawać znaki. Zatrzymał się i czekał.

– Czego chcecie, łapserdaki?

– Koniu Morski – rzekł Literat – czy deszcz jest rzeczą godną widzenia?

– Nie uważam.

– A czy piwo nie jest, przypadkiem, rzeczą godną widzenia?

– Zależy, jakie piwo.

– Wyborne piwo! W tej uliczce na prawo zapewnili nas na migi, że wprawdzie dla nas trzech jedna beczka nie wystarczy, ale oni mają dwie. Czy nie byłoby dobrze wypić tę pierwszą, a zobaczyć drugą?

– I ślepemu bocianowi zdarzy się czasem kulawa żaba, co nie mogła uciec. Tobie zdarzył się dobry pomysł. Ale co będzie z Piotrem? Schronił się na dworcu przed deszczem.

– Piotr do knajpy nie pójdzie, bo jeszcze nie poznał smaku piwa, nie palił fajki i ma głowę pełną mądrości. Ja muszę mieć głowę pełną piwa. Niech on tam sobie poczeka, a my za kwadransik po niego zajdziemy. Przecież się nie zgubi, a do portu zawsze trafi.

Wójcik ociągał się i spojrzał ku dworcowi; zdawało mu się, że widzi Piotra pod okapem podjazdu, więc zwinął dłoń w trąbkę i wysłał przez nią donośne oznajmienie:

– Piotrze! Czekaj tam! Niedługo wrócimy.

Piotr machnął wesoło ręką i zniknął. Bardzo był znużony, gdyż przez trzy dni pobytu w

porcie ciężko pracował ze wszystkimi, więc wolał być teraz sam, aby wyłowić spojrzeniem wszystko godne uwagi; będzie musiał przecież zdać ze wszystkiego sprawę kapitanowi w Gdyni i czytać ze swojej pamięci jak z książki. Począł tedy wałęsać się po wielkich, wysokich salonach dworca pełnego ruchu i gwaru. Deszcz lał uparcie, więc nie było po co wychodzić na ulice, na które padał już mrok wczesnego jesiennego zmierzchu; Piotr postanowił zresztą czekać tu na Wójcika, zrozumiał bowiem z jego gestów – słów bowiem nie dosłyszał – że wróci tu po niego. Lepiej zresztą będzie wracać z Wójcikiem, Piotr bowiem zdawszy się na jego doświadczone towarzystwo nie zapamiętał drogi. Zmęczony wałęsaniem się usiadł na ławce wśród oczekujących pociągu podróżnych i patrzył. Minęła jedna godzina i druga. Już dawno zapadł wieczór, jedne pociągi odeszły, zajechały inne, zmienili się podróżni. Co się stało z Wójcikiem i z tamtymi? Czyżby źle zrozumiał gesty Wójcika? Może ma powracać sam? Spojrzał na zegar: ósma. O godzinie dziewiątej musi być na statku. Długo wałęsali się po ulicach, nie zdawał sobie przeto sprawy, jak długo trzeba iść do portu i do tego basenu, w którym stoi „Toruń”. Może spytać, ale jak, w jakim języku? Zerwał się z ławki i wyrzał przez szerokie drzwi na plac przed dworcem. Plac był pusty i zasnuty dżdzem, w którym, jak tęczowe meduzy, drżały światła latarni.

Powrócił do hali dworca i rozejrzał się zafrasowany. Tuż przed nim przechodził powoli krępy, niski człowiek, chwiejąc się na obie strony sposobem marynarzy. Piotr przypomniał sobie, że zauważył go już dawno, a teraz poznał po bliźnie, która przeorała mu brew nad prawym okiem. Może i on schronił się tu przed deszczem? Przed chwilą liczny tłum ludzi opuścił halę, wezwany do zajmowania miejsc w pociągu; teraz było w niej pusto. Człowiek z blizną spojrział życzliwie na Piotra i zbliżył się do niego nieśmiało. Zagadał coś po fińsku, na co Piotr odpowiedział przeczącym ruchem głowy; tą samą odpowiedzią zbył pytanie w języku niemieckim, aż mu się twarz rozjaśniła, gdy nieznajomy zapytał po angielsku:

- Zna pan język angielski?
 - Tak, tak! – zawołał Piotr. – Dość dobrze.
 - Ja, jako tako – uśmiechnął się tamten. – Widzę, że pan jest niespokojny.
 - Tak.
 - Czemu, jeśli wolno zapytać?
 - Czekam tu na towarzysza. Towarzysz nie przyszedł. Muszę wracać na statek.
 - Pan Francuz?
 - Nie, Polak.
 - Och! Polak... Wiem... Polski statek... Jak?
 - „Toruń”. Panie! Którędy idzie się do portu?
 - Daleko, daleko... Długa droga... Ale ma pan szczęście.
 - Czemu?
 - Ja też do portu. Ja mam auto. Powiozę pana.
- Rozmawiali obaj krótkimi, najprostszymi zdaniami, byle mówić najjaśniej.
- Dziękuję, bardzo dziękuję – uśmiechnął się Piotr, uszczęśliwiony.
 - Pan skąd? – zapytał uprzejmie nieznajomy.
 - Z Gdyni.
 - To dobrze. Proszę iść. Tędy. Tam auto...

Ujął Piotra łagodnie pod rękę i prowadził ku bocznemu wyjściu. Przez ruchomą cienką szybę deszczu ujrzał Piotr duży zamknięty wóz, dość sfatygowany, z którego deszcz zmył zaledwie część brudnego nalotu. Żywo przypomniał mu się straszliwy połamaniec, ford jego przyjaciela z Gdyni; uśmiechnął się na to wspomnienie i otworzył drzwi wozu. Nieznajomy uczynił taki ruch, jak gdyby chciał mu pomóc wejść, gdy jednak Piotr stanął na stopniu, uderzył go mocno w plecy, tak że Piotr nie wszedł, lecz wleciał do wozu jak wrzucony siłą worek. Jeszcze nie zdążył pomyśleć, co się z nim stało, gdy jakaś silna ręka chwyciła go i cisnęła w kąt, a druga przykrym gwałtownym ruchem zamknęła mu usta. Widział na swojej

twarzą białą plamę rozłożystej ręki, a kątem oczu jaśniejszą w mroku plamę twarzy. W tej chwili automobil ruszył. To tamten usiadł przy kierownicy.

Serce Piotra zaczęło bić z łoskotem; chciał krzyknąć, lecz nie mógł wydobyć głosu.

Rój nagłych trzepocących się myśli zaszumiał w jego głowie jak rój much. Niczego nie rozumiał, niczego nie mógł pojąć. Kto go wiezie i po co? Czemu ktoś dławi jego usta, a drugą ręką trzyma go silnie?

Automobil zaczął pędzić szybko, a w pewnej chwili mijana latarnia rozwidniła słabo wnętrze wozu. Nie było to światło, tylko jego słabiutki, przez deszcze przesiany odbłask, lecz Piotr ujrzał. Błyskawicznym spojrzeniem, jakim aparat fotograficzny chwyta obraz, dojrzał twarz; poznał ją ostrym wysiłkiem pamięci; jest to twarz owego olbrzyma, co cisnął w niego nożem, a potem długo i przenikliwie patrzył mu w oczy w porcie.

Piotr zwinął się jak sprężyna i cisnął się gwałtownym ruchem; dotąd nie rozumiał tego porwania, teraz jednak w mgnieniu oka skojarzył je z kapitanem Barenem i to mu dodało sił; poczuł, że go ogarnął płomień gniewu i ten gniew przeciwko jakiejś tajemniczej podłości pchnął go do działania. Udało mu się tym gwałtownym ruchem sprężystego pstrąga wydobyć z uścisku ciężkich łap, które nagle opadły jak wiosła, ale równie nagle zacisnęły się dokoła jego szyi. Wielki drab, mrużąc w niezrozumiałym języku, wyciskał z niego życie. Przed oczyma Piotra poczęły wirować czerwone koła, aż wreszcie wszystko uczyniło się atramentowo czarne. Leżał na podłodze wozu charcząc jak człowiek, który się dusi.

Zimne krople deszczu, padające na jego twarz, przywróciły go do przytomności. Zaczął z ciężkim i bolesnym trudem przypominać sobie, co się z nim działo. W tej chwili czuł, że 20 niosą. Otworzył oczy i dojrzał omdłym spojrzeniem chwiejący się zarys człowieka, który go dźwigał za nogi, drugi podtrzymywał go za ramiona. Było ciemno, a wiatr poruszał gwałtownie lasem kosmatych gałęzi.

– Niosą mnie przez sosnowy las – pomyślał.

Gardło bolało go nieznośnie, tak że z trudem oddychał. Był senny i śmiertelnie znużony. Znowu zamknął oczy, jak gdyby raniła je rozmokła ciemność. Tak się czuł, jak gdyby go nagła i groźna powaliła choroba, wypijająca zachłannie siły z człowieka, a tak był odrętwiały i zziębnięty, że gdy go rzucono na twardą pryczę, leżał jak nieczuły wór. Zdawało mu się, że ktoś daleko, poza nim, gada coś niezrozumiale. Ból puchnącego wciąż gardła był dławiący i szorstki; leniwie, chorym ruchem położył na nim rękę, jak gdyby pragnąc zdjąć tę kolącą szorstkość.

– Wody... – jęknął po polsku.

– Co mówisz? – usłyszał nad sobą angielskie słowa rozdęte do huku. Zdawało mu się, że głos jest ogromny i przeraźliwy.

– Wody – szepnął zdławionym szeptem.

Zaczęły gadać nad nim dwa głosy i plątały się, jak nić cienka z grubą nicią, brzmiały kłótliwie i gniewnie. W oddaleniu pełgało jakieś żółte światełko.

Po chwili jakieś ramię podsunęło się łagodnie pod jego głowę i jakaś ręka przytknęła do jego ust naczynie z wodą. Zaczął pić łapczywie, lecz nie mógł jej przełknąć. Zwalił się znowu na posłanie, głowa bowiem miała ciężar ołowiu.

– Śpij! – zahuczał nad nim głos jak toczący się kamień.

Piotr zapadł w sen jak w bezdenną otchłań, mroczną i zimną. Nie wiedział o tym, że rzucono na niego gruby koc.

Dwaj ludzie: ten, który Piotra zawiódł podstępem do automobilu i olbrzymi marynarz, pochylili się nad nim w milczeniu. Marynarz wziął świecę, osadzoną w pustej butelce i oświetlił nią jego twarz. Skinął potem drugiemu głową i wskazał na drzwi. Wyszli po cichu, a olbrzym przekręcił klucz w zamku i ukrył go w kieszeni.

Piotr spał niespokojnym, udręczonym snem; bezwiednie sięgał wciąż ręką do gardła i wciąż coś szeptał obolałym szeptem. Gdy rozmokły szary świt ukazał się w małym okienku

jak mokra szmata, przejmujący chłód obudził Piotra. Przez długą chwilę leżał z szeroko otwartymi oczami, nie pojmując, gdzie jest, dlaczego nie słyszy żadnych głosów i dlaczego spał odziany. Powoli, powoli zaczęły podnosić się wspomnienia jak wiotkie rośliny, pobite nagłą, nieoczekiwaną burzą; gdy z mętu wy dobył wspomnienie chwili, w której rzucono go do samochodu, wstrząsnął nim zimny dreszcz. Piotr zerwał się z pościeli, odrzucił koc i stanął na podłodze; w głowie mu zaszumiało, zachwiał się, ale oparł się ręką o ścianę. Rozejrzał się osłupiałym spojrzeniem. Znajdował się w ciemnej komórce, pachnącej stęchlą wonią wilgoci. Z wysoko umieszczonego okienka sączyło się szare światło szarego dnia i ściekało po wilgotnej ścianie. Tuż obok pryczy stał stół z surowego drewna, na nim dzbanek z wodą i gliniane naczynie. Piotr podszedł chwiejnym krokiem, drżącymi rękami ujął dzbanek i pił. Przetykał wodę z trudem, lecz gardło miał już mniej obrzękłe. Ujrawszy drzwi rzucił się ku nim szybkim ruchem i usiłował je otworzyć. Były potężnie zamknięte.

Usiadł, zawiedziony, na pryczy i oparł głowę na obu rękach. Jest w niewoli. Nie wie, dlaczego i w jakim celu. Kapitan Baren nie powiedział mu, kim jest ten człowiek z nożem, silny jak ogromna małpa, a zapewne nie mógł przewidzieć tego, co się stało. Czego od niego chcą? Zapewne czegoś, co ma związek z kapitanem. Niczego nie dowiedzą się od niego, bo on przecież nie wie o niczym.

Nagle ciężka na niego zwała się myśl, ciężka jak kamień lecący z osypiska: co powiedzą na okręcie? O, Boże, Boże miłosierny! Co oni tam myślą? On postąpił jak głupiec, uwierzywszy nieznanemu człowiekowi, ale dlaczego nie zjawił się Wójcik, dlaczego nie zjawili się tamci? Poczul gorycz w sercu, żal nim targnął. Płakać nie będzie, bo jest mężczyzną i marynarzem, gwałtem jednak broni się przeciwko łom. Jest sam, w mrocznej zatechłej komórce, a Bóg raczy wiedzieć, co się z nim stanie? Przecież on musi wracać na okręt, przecie oni pojutrze odpłyną. Znowu zerwał się, jakby chciał przemocą przejść przez drzwi. Na nic... na nic... Jest jednak okno. Spojrzał na nie i osłupiał: w oknie tkwiły żelazne kraty, splątane jak palce załamanych z rozpaczony rąk. Chciał krzyczeć, chciał pięściami bić we drzwi, lecz się zastanowił.

Spokojnie, spokojnie... – myślał. – Siłą nie przejdę. Jeżeli zadano sobie tyle trudu, aby mnie schwytać, jeszcze więcej zapewne zadano sobie trudu, aby mnie pilnować. Ten, który w ciemności nocy umie ciskać nożem w człowieka, jest zapewne chytrym zwierzem.

Zebrał się w sobie, skupił i sprężył. Wkrótce zapewne zjawią się tutaj i powiedzą, w jakim celu go schwytali. Trzeba będzie zachować przezorność umysłu. Trzeba być odważnym.

Zaczął rozmyślać chłodniej i przenikliwiej. Spojrzał na stół, potem na okno i zastanawiał się przez chwilę, po czym tłumiąc nieostrożne szmery posunął stół ku ścianie, stanął na nim i twarzą sięgnął okna. Nie mógł dojrzeć, co się znajduje tuż pod nim; ujrzał tylko wyższe konary pokracznych, przez wichry kształtowanych sosen, a w niewielkim oddaleniu, o sto lub więcej kroków, morską odnogę cichej wody, lekko zmarszczoną. Na lewo chwiały się las, z prawej strony widać było węgiel domu, lecz nigdzie człowieka. Gdyby się w niewielkim oddaleniu ukazała jakaś ludzka postać, wytlukłby szybę i wezwał pomocy.

Zszedł cicho ze stołu, odciągnął go od ściany, usiadł i czekał, dławiąc wzburzenie, wciąż się w nim przeciw przemocy buntujące. Raz i drugi targnął nim zjadliwy głód, lecz na to nie zwracał uwagi.

Nagle serce szybkim łopotaniem ostrzegło go, że się ktoś zbliża. Otrząsnął z siebie niepokój, zacisnął ręce i patrzył, jak pod naciskiem klucza powoli ustępuje żelazna zasuwa drzwi. Skulił się i sprężył, pomyślawszy błyskawicznie, że gdyby się rzucił niespodziewanie na wchodzącego, może by mu się udało odtrącić go i przemknąć obok. Drzwi uchyliły się nieznacznie, jak gdyby ktoś badał przez szparę, co czyni więzień, a potem – widać uspokojony – otworzył je szerzej. Napastliwy zmysł Piotra osłabł, gdyż we drzwiach ukazała się dziewczyna. Najpierw postawiła na ziemi koszyk, potem starannie drzwi zamknęła i klucz schowała do kieszeni fartucha. Mogła mieć siedemnaście lub osiemnaście lat, lecz była silna i

ponad wiek wyrosnięta. Sądząc z jej spojrzenia i z wyrazu twarzy, nie można było mieć wątpliwości, że gdyby prochu dotąd nie wynaleziono, ona nie dokonałaby tego wynalazku. Z niemrawym uśmiechem sączyła się z jej oczu tępa pocziwość, ale to było pewne, że gdyby wpadła w gniew, mogłaby Piotrowi połamać zębra. Podeszła do niego i podała mu koszyk, wypowiedziawszy przy tym kilka niezrozumiałych wyrazów; w koszyku natomiast znajdowały się rzeczy bardziej zrozumiałe: chleb, jakaś ryba i flaszka z gorącą herbatą. Gdy wskazała na swoje usta, wprawiła je w szybki ruch, nie trzeba było być filozofem, aby pojąć, że zachęca Piotra do jedzenia. Uczynił to bez pośpiechu, z pogardliwym uśmiechem. Dziewczyna nie zdejmowała z niego spojrzenia i przyglądała mu się jak osobliwemu stworzeniu. Zagadała do niego kilka razy, nie doczekawszy się jednak odpowiedzi wzruszyła ramionami, litościwie kiwając głową, z czego można było odczytać, że go uważa za niebywałego idiotę, nie rozumiejącego języka, który w jej kraju zna każde dziecko. Zabrała pusty koszyk i wyszła bez słowa.

Piotr nie czekał długo na następną wizytę. Po godzinie wszedł do jego więzienia podstępny szofer, miał cokolwiek niepewną minę i nie zbliżał się do Piotra siedzącego na prycy. Nie miał gorylej siły tamtego, a z oczu chłopca mógł jasno wyczytać bezmiar pogardy. Piotr spojrzał na niego jak na płaza i jak na brudnego oszusta. Spojrzenie to musiało być łatwe do odczytania, gdyż zdrajca powiedział cicho:

– Niech mi pan wybaczy. Kazano mi. Musiałem słuchać.

Piotr pomyślał i rzekł twardo:

– Kto panu kazał?

– Tamten.

– Kim jest „tamten”?

– Sam panu powie. Proszę pójść ze mną. On czeka.

– Czego wy ode mnie chcecie?

– Ja nie chcę niczego. Tamten wie. Proszę pójść.

– A jeżeli nie pójdę?

Przybysz zastanowił się, jak gdyby rozważając, co się wtedy stanie.

– Jeżeli pan nie pójdzie, on przyjdzie tu. Zabije pana. Piotr drgnął. Nie ruszał się jednak, pragnąc dowiedzieć się jeszcze niektórych rzeczy.

– Szpiegowaliście mnie?

– Tak – przyznał tamten śmiało. Od chwili przyjazdu. On pana poznał. Szczęśliwie zdarzyło się, że pan był sam.

– A moi towarzysze?

– Im dano znać, że pan poszedł na statek.

– Będą mnie szukać i znajdą – rzekł Piotr patrząc mu pilnie w oczy. Tamten uśmiechnął się.

– Szukać będą, bo już szukają, ale nie znajdują. Jesteśmy kilka kilometrów za miastem. Nikomu do głowy nie przyjdzie, aby pana tu szukać.

– Bez końca nie będziecie mnie tu trzymali... – mówił Piotr niepewnie.

– Nie wiem. Jeśli pan sam powie to, o czym chcą się od pana dowiedzieć, myślę, że pan szybko będzie wolny. Radzę mówić. Mój towarzysz – ciężki człowiek. Gwałtowny człowiek.

– Wiem – rzekł Piotr z goryczą. – Już raz chciał mnie zabić.

Tamten zdumiał się szczerze.

– Pana? Nie wiedziałem o tym. Niech pan przeto będzie ostrożny. Proszę teraz pójść ze mną... I niech pan nie usiłuje uciekać, gdyż nie może pan uciec.

– Daleko mam iść?

– Ach! Do izby naprzeciwko.

Piotr czuł, jak w głowie mu huczy, a myśli krążą w szalonym locie jak nietoperze. Uspokoił się jednak szybko.

– Dobrze, pójdę! – rzekł hardo.

Przybysz zbliżył się do niego ostrożnie i z obawą ujął go pod ramię; lewą ręką otworzył drzwi i popchnął go lekko przez sień ku innym drzwiom, które otworzył uderzeniem nogi.

– Ja będę tłumaczył – szepnął mu w przejściu.

W obszernej, mrocznej izbie siedział na zydlu za stołem ponury marynarz. Obrzucił Piotra szybkim spojrzeniem, natychmiast jednak zwrócił się do szofera i zaczął mówić długo. Szofer słuchał uważnie, potakując raz po raz głową na znak, że rozumie, potem rzekł do Piotra:

– Ten pan zapytuje, czy panu nie stało się nic złego i czy pan nie jest głodny? Powiada, że nie chce panu uczynić żadnej krzywdy. Pyta, czy pan jest krewnym kapitana Barena? Czy pan wszystko zrozumiał, co panu powiedziałem?

Piotr słuchał bystro i uważnie. Zastanawiał się szybko, co ma odrzec.

– Niech pan najpierw zapyta tego pana – mówił, szukając słów, rozważnie i powoli – jakim prawem mnie porwał? Czemu mnie więzi?

Rozpoczął się gwałtowny dialog pytań i odpowiedzi.

– On mówi, że pana to nic nie obchodzi i że zrobi z panem, co zechce. Jeśli pan nie odpowie. Niech pan będzie ostrożny. Kim pan jest?

– Uczniem kapitana Barena – oznajmił Piotr z dumą.

– On pyta, czy pan długo mieszka u kapitana?

– Od kilku miesięcy.

Rozpoczęły się nowe szwargoty, Piotr zaś natężył uwagę, zdawało mu się bowiem, że olbrzym zadaje jakieś ważne pytanie, gdyż podniósł głos i ostrym spojrzeniem wpatrzył się w niego jak jastrzęb w pisklę.

– On pyta – zaczął mówić dobitnie szofer – gdzie kapitan ukrywa „Oko zorzy”? On mówi, że pan wie. On mówi, że pana wypuści i da panu pieniądze, jeśli pan powie.

Na twarzy Piotra zjawilo się nieudane zdziwienie.

– „Oko zorzy”? Nie rozumiem. Nic nie wiem. Nigdy nie widziałem.

Olbrzym musiał pojąć tę odpowiedź bez tłumacza, gdyż zerwał się z zydlu i uderzył pięścią w stół. Piotr spojrział na niego bez lęku i dodał:

– Niech mu pan powie, że nie wiem. Gdybym jednak wiedział, także bym mu nie powiedział.

Tłumacz zaczął powoli i jakby ze strachem cedzić słowa, zdawało się, że każde z nich jest ostrym cierniem, który się wbija w ciało olbrzyma. Podszedł powoli do Piotra i uderzył go wzrokiem jak biczem. Podniósł nad jego głową obie pięści jak dwa młoty.

Jeśli mnie uderzy, zabije – pomyślał Piotr.

Poczuł w tej chwili takie wzburzenie w sercu i taki gniew, że mu zapłonęły oczy. Powstrzymał się z trudem, aby olbrzyma nie wyrzucił pięścią w szczękę, byłby to bowiem ostatni w jego życiu ruch. Patrzył mu tylko hardo we wściekłe ślepie. Poczuł się pełnym człowiekiem w tej krwawo rozbłyśniętej chwili, dumnym, uczciwym człowiekiem, co nie chce ulec zbrodniarzowi. Jest jakieś „Oko zorzy”, jest jego dobroczyńca kapitan i jest przeraźliwy stwór. Przeraźliwy stwór zamyśla zbrodnię przeciwko czystym ludziom. Za wszystkie skarby świata nie trzeba mu okazać lęku; więc zamiast się cofnąć, Piotr uczynił krok przed siebie, tak że pierś niemal dotykał olbrzyma, który go z góry tłoczył kamieniem spojrzenia; mały polski marynarz stał naprzeciwko ogromnego marynarza nieznanego pochodzenia; jasny człowiek przeciwko złoczyńcy.

Olbrzym powoli opuścił długie, ciężkie ręce. Piotr czuł, jak coś bulgoce w szerokiej gardzieli, co się po chwili stało drżącym ze wściekłości głosem.

– On mówi – rzekł trwożliwie tłumacz – że panu skręci kark. Czy pan rozumie? Że pana zabije.

– Niech mu pan powie, że go za to powieszają.

– Ja mu tego nie powiem.

Nagle olbrzym wykrzykując chwycił ramię Piotra i tak je ścisnął w żelaznych łapach, że Piotr krzyknął.

– On mówi – bladym głosem mówił tłumacz – że to początek. Jutro będzie gorzej. On mówi, że kapitan Baren jest złodziejem. Ukradł mu skarb, który się zowie „Oko zorzy”. Och!

Piotr, podniecony bólem, poczuł, że ostatnie słowa zasyczały jak rozpalone żelazo przytknięte do jego ciała. Chwyciła go taka rozpacz i taki gniew, że krew zalała jego spojrzenie; nagle, kocim ruchem, rzucił się na olbrzyma i zaczął go bić w pierś niemocnymi rękami. Czerwony, dyszący, na pół tylko przytomny, szarpał na nim odzienie i już sięgał jego twarzy chcąc ją rozorać paznokciami. Olbrzym znieruchomiał na moment w nieludzkim zdumieniu, po czym, krzyknawszy, jednym strasznym uderzeniem ugodził Piotra, który odleciał daleko, uderzając głową o ścianę. Poczul, że wszystko dokoła zawirowało, potem nagle ciemność spadła na niego tak szybko, jak gdyby mu ktoś błyskawicznym ruchem zarzucił na głowę czarną jak noc zasłonę. Długo jej nie zdejmował ten, co to uczynił; Piotr nie mógł się dźwignąć z dna tej mrocznej przepaści w którą spadł z wysoka głową na kamienie. Po wielu godzinach dojrzał maleńkie, blade, ledwie tłące się światełko w otworze mroku; po długiej chwili wpatrywania się rozpoznał, że to okienko w jego komórce. Wrócił przeto na boży świat, wypłynawszy z głębiny na powierzchnię czarnej wody. Wrócił obolały i sponiewierany. Dotknawszy ostrożnie ręką tyłu głowy poczuł pod palcami wielki guz i aż syknął z bólu; cofnął powoli rękę i spojrzał uważnie na końce palców, wydały mu się bowiem dziwnie zabarwione.

Krew – pomyślał z trudem. – Uderzyłem głową o ścianę.

Nie mógł sobie zdać sprawy, kiedy to było; czy przed chwilą, czy przed godziną, czy wczoraj? Rozmowa odbyła się wcześniej rano, a teraz zapada zapewne mrok, bo okienko przygasa jak senne oko, mętnieje coraz bardziej i nasiąka ciemnością.

W godzinę po obudzeniu się Piotra zjawiała się mocna dziewczyna. Nie widział jej twarzy, bo w izbie było już ciemno, poznał jedynie z miękkiego, łagodnego brzmienia jej głosu, że pragnie wyrazić mu współczucie i że go pragnie pocieszyć. Jakaś dobra musi być dziewczyna... Cichy jej głos brnął ku niemu przez ciemność, jakby go szukając. Słowa musiały być dobre i pełne pociechy; słuchał ich z przyjemnością i uśmiechał się do niej, choć dziewczyna nie mogła widzieć tego uśmiechu. Powiedział do niej kilka słów po polsku, a ona musiała słuchać ich pilnie, gdyż nagle ucichła. Po chwili ciszy westchnęła głęboko, dotknęła jakiegoś przedmiotu na stole, jakby chciała zwrócić jego uwagę i wyszła po cichutku bez trzasku zamykając drzwi.

Na stole zostawiła zapewne jedzenie. Piotr był rozbity jak garnek rzucony o kamienie, lecz młodość jego była głodna, starym zwyczajem młodości. Zwlókł się z posłania i zaczął szukać po omacku, krążąc rękami po stole; od razu napotkał palcami jakąś misę, a potem dotknął czegoś miękkiego, poczuwszy równocześnie tłustą woń śledzi. Powoli zjadł jednego tym chętniej, że śledź był mocno osolony, a ostry smak soli orzeźwił go. Szybko poczuwszy pragnienie, znowu począł ostrożną wędrówkę rękami po stole w poszukiwaniu dzbanka z wodą. Nie było go w tym miejscu, w którym stał rano. Pragnienie zaczęło go dręczyć coraz dotkliwsze, lecz nie mógł go ugasić. Czekał w gorączkowym niepokoju następnego dnia i zjawienia się dziewczyny. Nadszedł wreszcie dzień, ale dziewczyna nie przyszła. Do wieczora nikt się nie zjawił, oprócz dotkliwego głodu. Okienko znowu zagasło, noc przywlokła się jak czarna w kirach wdowa po dniu. Izdebkę napełniła przenikliwa woń śledzi, drażniąca, oznajmiająca jadowicie głodnemu człowiekowi, że jadło znajduje się w odległości jednego ruchu ramienia. Piotr jednak czuł lęk przed tym jadłem. Z tym drżącym lękiem spojrzał na nie następnego dnia. Wiedział, że jeśli zaspokoi głód, zbudzi pragnienie, lecz nie mógł się powstrzymać. Nie patrząc, połknął raczej, niż zjadł przepojoną solą rybę; po krótkiej chwili, jęknawszy cicho, połknął drugą. Już wiedział, że to przemyślana, ohydna męczarnia, lecz głód zdławił w nim rozsądek. Po kilku godzinach szalał z pragnienia; zaciskał palce do

krwi i wił się na tapczanie. Chciał krzyczeć, chciał uderzać swą głową o ścianę.

Wtedy otwarto się cicho drzwi i stanął w nich szofer.

– Żal mi pana – powiedział szczerym głosem. – Bardzo pan cierpi?

Piotr odpowiedział mu spojrzeniem tak bolesnym, że tamten odwrócił głowę.

– On pyta – mówił ukrywając drżenie głosu – czy pan powie, gdzie jest to, o co pyta?

– Nie wiem... nie wiem... – odrzekł szeptem Piotr.

– Ja panu wierzę. Młodemu chłopcu nie opowiada się o bezcennych rzeczach. Ja wierzę. On nie wierzy. Pójdę do niego.

Słabiutki błysk nadziei zamigotał przed Piotrem jak odblask lusterka, w które żak schwytał promień słońca. Nie zjawił się jednak ani olbrzym, ani tłumacz, gdy jednak Piotr zaczął wpadać w odrętwienie, złowił uchem jakieś szelesty, ostrożne i szybkie. Ktoś podniósł łagodnie jego głowę i ktoś przytknął mu do warg dzbanek wody. Boże miłosierny! Umierający Beduin na pustyni pije znaną cudem wodę bardziej powoli. Piotr lał ją w siebie strugą, połykał ją zachłannie, aż do utraty oddechu. Wypił cały dzban, a jeszcze chciał z niego wycisnąć choć kropelkę, gniotąc rękami. W tej chwili poczuł, że jedną ręką nie dotyka dzbana, lecz ręki tego, który go napoił. Chwycił tę rękę i przycisnął ją do ust. Ten ktoś znieruchomiał, potem krzyknął. Ach, to dziewczyna.

Po chwili drzwi zamknęły się cichutko. Piotr dyszał ciężko, jakby po ciężkiej pracy. Cudowna, błogosławiona słodycz wody krążyła w jego ciele jak żywa, szczęśliwa radość. Uśmiechnął się do życia i do siebie samego.

Spał długo i mocno, jak ten co po ciężkiej ozdrowiał chorobie, a kiedy się zbudził, podniósł się szybko i chwyciwszy misę ze śledziami, cisnął ją z furią o drzwi. Hałas oznajmił temu domowi, że więzień postanowił umrzeć z głodu, ale nie z pragnienia. Został zapewne usłyszany, gdyż zaraz potem zjawiała się dziewczyna. Była blada, wzruszona i miała zaciśnięte twardo usta. Piotr uśmiechnął się do niej tak słodko i tak promieniście, że spuściła oczy.

– Dobra, dobra dziewczyno! – mówił do niej szeptem.

Potem, jak gdyby mu nagle przyszło coś na myśl, począł gwałtownie przeszukiwać kieszenie; znalazł notatki, kartę wydaną mu przez kapitana okrętu, trochę drobnych pieniędzy. To na nic, to na nic! Wtem, sięgnąwszy do kieszeni na piersi, wydobył złoty kolczyk Fregaty. Ucieszył się stłumionym śmiechem. Zwrócił się do dziewczyny, ciekawie na niego patrzącej i podał jej biedny, lecz w jasnej światłości dnia migotliwie lśniący klejnocik. Dotknął nim serca, potem podał go jej oznajmiając na migi, że to dla niej. Niech go sobie weźmie za dobre serce... Niech weźmie...

Dziewczyna spojrzała na kolczyk roziskrzonym wzrokiem, chciała się zbliżyć, lecz niewidocznym tylko ruchem zdradziła ten zamiar. Z kolczyka przeniosła spojrzenie na twarz Piotra i wtedy zaciśnięte twardo jej usta ułożyły się w uśmiech, jasny dziewczęcy uśmiech. Poruszyła głową na znak, że nie weźmie tego klejnotu. Piotr zaczął do niej przemawiać po polsku tkliwym, miękkim głosem. Znowu spojrzała na niego i zmarszczyła gwałtownie brwi, jakby głęboko coś rozważając. Uśmiech odleciał z jej ust, a twarz stała się poważna. Nagle, zdecydowanym, niemal szorstkim ruchem wyjęła klucz, otworzyła szeroko drzwi i przenikliwym szeptem usiłowała mu coś wytłumaczyć, czego nie rozumiał. Pojął tylko z jej ruchów, że ma się śpieszyć i uciekać. Blada była ze wzruszenia i z lęku.

Piotr spojrzał na nią oczarowany. Chwycił jej rękę, wcisnął w nią kolczyk, uśmiechnął się promieniście i jednym susem był za drzwiami.

XI

Nie obejrzawszy się nawet uciekał tak skwapliwie, że na wyścigach zajęcy otrzymałby złoty medal. Zapomniał o tym, że jest osłabiony i wyczerpany; gnała go radość, że żyje, że jest wolny i że się nie dał pognać. Biegł długo przez jakieś splątane zaułki ścieżek, aż wreszcie trafił na asfaltową szosę wijącą się wśród sosnowego lasu. Z prawej strony przeświecała zatoka, nad którą stały wille i domy, z lewej piętrzyły się ciemnoczerwone granitowe skały. Z trzeciego zakrętu drogi ujrzał w oddali miasto. Po niedługim czasie ujrzał tramwaj i bez namysłu wskoczył do wozu zziębnięty, ciężko dysząc. Chciał zapłacić polskimi pieniędzmi, co wzbudziło zainteresowanie w całym wozie i wywołało długie przemówienie konduktora. Jakiś starszy pan, wyczytawszy nagle rozpacz w oczach zmizerowanego chłopca, zapłacił za niego i usiłował rozmawiać z nim po fińsku. Piotr, bezradnie uśmiechnięty, próbował odpowiadać po polsku i po angielsku, tak że obaj doszli szybko do wniosku, że porozumieją się wzajemnie dopiero za lat sto.

Gdy Piotr ujrzał znajomy dworzec kolejowy, skłonił się uprzejmie i wyskoczył; stąd już trafił do portu. Wypocząwszy w tramwaju biegł szybko, pilnie bacząc, czy gdzie nie ujrzy groźnego olbrzyma. Musiał być w mieście, jeśli go nie było w leśnym domku. Bezpiecznie jednak dotarł do portu i niespokojnym wzrokiem szukał swojego statku. Wiadomo, że wąż na skale, ptak w powietrzu i statek na wodzie nie pozostawiają śladów. Nie było też śladu „Torunia”. Chłopiec siłą woli nakazał sobie spokój. Musi baczyć, aby nie uczynić czegoś nierozważnego; posiada już nie byle jakie doświadczenie, stąpał już przez ciernie i przez zasadzki; zna ludzi dobrych i najlepszych, złych i najgorszych. Zapytał sam siebie powoli i dobitnie:

– Co robi człowiek na obczyźnie, bez pieniędzy, głodny i bez swojej winy pogrążony w niezwykłych kłopotach?

– Wiem – odrzekł sam sobie. – Idzie do posła swojej ojczyzny.

Odpowiedź była tak prosta i rozsądna, że głośno się roześmiał. Zaczął krążyć po porcie i szukać kogoś mówiącego po angielsku. Trzeci z rzędu zagadnięty przez niego, agent okrętowy, wytłumaczył mu jasno, że skoro pójdzie na lewo piękną, zadrzewioną ulicą, pod górę wiodącą i minie dwie ulice boczne, znajdzie polskie poselstwo.

Nie minęło pół godziny, gdy urzędnik poselstwa usłyszawszy jego nazwisko, zakrzyknął:

– Na Boga! Od pięciu dni szukamy pana i my, i policja. Chodźże pan ze mną!

Pan poseł Rzeczypospolitej Polskiej słuchał w zdumieniu opowieści Piotra.

– Czyż to możliwe? Czyż to możliwe? – powtarzał cicho.

W głosie Piotra było jednak tyle jasnej, uczciwej szczerości, tyle głodnej i zbolącej prawdy, że musiał uwierzyć; obejrzał jego głowę i odkrył na niej ślad zakrzepłej krwi. Na twarzy posła widać było wzruszenie i wzbudzony gniew zarazem.

– Odnalazłby pan ten dom? – zapytał.

– Być może, że mógłbym odnaleźć, lecz z trudnością. Uciekałem tak szybko, że się nie obejrzałem.

– Policja go znajdzie! – rzekł poseł z oburzeniem.

Piotr zamyślił się, potem powiedział nieśmiało:

– Panie posle! Trochę pocierpiałem, nic mi się jednak nie stało. Ze mną to nic! Jeśli jednak policja znajdzie tego marynarza, on pomści się na dziewczynie. Nie wiem, kim ona jest, ale on ją zabije. Ona i tak będzie miała za swoje, ale może powie, że ja się wydarłem przemocą i cała rzecz ujdzie jej na sucho. Mnie strasznie byłoby żal tej dobrej dziewczyny...

Poseł zastanowił się.

– Może rozumiesz słusznie. Pomyślimy o tym wszystkim. Co ci jest, chłopcze? – krzyknął nagle.

– Nie wiem – szepnął Piotr z bladym, smutnym uśmiechem. – To chyba z głodu...

Widząc, że dygnitarz gwałtownie naciska guziczek dzwonka, dodał:

– Ja sobie może pójdę... Ja nie śmiem robić tyle kłopotu...

Nikt go jednak nie słuchał. Nakarmiono go, wykąpano i oczyszczono. Nazajutrz, wyspany, świeży i radosny, stanął znowu przed posłem, uśmiechającym się do niego serdecznie.

– Musisz być, młodzieńcze, jakąś znakomitą osobą – rzekł – gdyż codziennie nadchodzą telegramy natarczywie o ciebie pytające. Jakiś kapitan Baren...

– Och, mój drogi kapitan! – krzyknął Piotr.

– Niech będzie „drogi kapitan Baren”... Otóż zapowiada on swój przyjazd. Kto to taki?

– Mój opiekun. Muszę mu dać znać.

– Już zrobione, gdyż depeszowałem wczoraj jeszcze, że cenna zguba znalazła się, mocno objadłszy się solonych śledzi.

– Jaki pan dobry, jaki pan dobry! – szepnął Piotr serdecznie.

Poseł ogarnął go wzruszonym uśmiechem.

– Żadna zasługa, chłopcze, żadna... Nacierpiałeś się, nie wiadomo czemu, a teraz musisz wracać czym prędzej. Jutro zawinie tu polski statek i na tym statku popłyniesz do Gdyni. Przez ten czas będziesz mieszkał u nas, a na ulicę będziesz wychodził jedynie w towarzystwie. Drugi raz mógłbyś nie uciec.

Po kilku dniach Piotr odpływał, serdecznie pożegnany.

Dumny był i szczęśliwy; rozpierała go wewnętrzna radość, że nie uląkł się straszliwego człowieka. Jeśli Wójcik dowie się o wszystkim, poda mu rękę i powie: – „Zachowałeś się jak prawdziwy marynarz”. – Kapitan Baren będzie się wesoło z niego naigrywał swoim zwyczajem i będzie go mianował „lądowną kozą”, ale drżał o niego i zasypywał poselstwo telegramami. Zaczynał, po siedmiokroć zacny człowiek!

Z serdeczną tkliwością rozmyślał o tej dobrej dziewczynie, co otworzyła drzwi jego więzienia. Dobrze dziewczęce serce nie mogło znieść widoku cudzej krzywdy. Bóg raczy wiedzieć, co ją za to spotka. Olbrzymi marynarz jest złym i gwałtownym człowiekiem, który ludzkie życie ma za nic. Wszyscy marynarze dotąd przez niego spotkani mają jasne, szczerze, otwarte twarze, ten jeden wyglądał jak chmura.

Pomyślawszy o marynarzach rozejrzał się dokoła. Tym razem nie należał do załogi, nawet jako wolontariusz; był pasażerem wyjątkowo zabranym na statek towarowy, czyli jeszcze jednym workiem wśród setek worków. Nie pędzono go do roboty i mało zwracano uwagi na skromnego chłopaka włóczącego się po pokładzie. Przykra mu była ta beczyność, więc się zameldował u kapitana i poprosił o wyznaczenie mu jakiegokolwiek pracy.

– Jesteś pasażerem, którego mi polecono odwiedzić do Gdyni. Co robiłeś na „Toruniu”?

– Wszystko, panie kapitanie.

– Bardzo ładnie, potem jednak wdałeś się w jakieś arabskie awantury. Co to było?

Piotr opowiedział mu krótko, jak go ujęto w niezrozumiałym dla niego celu i w jaki sposób wydobył się z zamknięcia. Nie wspomniał o tajemniczym skarbie.

Kapitan wysłuchał dziwnej opowieści i uśmiechnął się.

– Czy był taki, co w to wszystko uwierzył?

Piotr zadrżał i twarz jego uczyniła się purpurowa.

– Panie kapitanie! – rzekł dobitnie – pan poseł uwierzył.

– Czemuż to?

– Pan poseł widział na mojej głowie krew, a ja... a ja... nigdy nie kłamię.

Tyle było godności w jego postawie i tyle szczerego brzmienia w głosie, że kapitan, spojrzawszy na niego z nagłym zainteresowaniem, spoważniał.

– Przepraszam cię – rzekł uczciwie.

Z wymiany tych słów wykwitła niespodziewanie jakaś dziwna tkliwość. Kapitan odczytał z rumieńca na twarzy Piotra, że w chłopcu tym mieszka sprawiedliwa duma, Piotr zaś wyczuł

nieomyślnym młodym sercem, że za niedowierzającą szorstkością kapitana ukrywa się tajona dobroć. Skłonił się i chciał odejść.

– Czekaj no, chłopcze! – rzekł kapitan. – Dlaczego znajdowałeś się na „Toruniu”?

– Pozwolono mi odbyć podróż morską, gdyż mam być marynarzem. Opiekunem moim jest kapitan Baren...

– Ach! Kapitan Baren?

– Tak, panie kapitanie. On mnie kształci, a przy sposobności wysłał mnie na morze.

– To sławny marynarz, ten kapitan Baren. I ty będziesz marynarzem?

– Jeśli Bóg pozwoli.

– A czy wiesz, że to nie zabawa, lecz służba, jedna z najcięższych?

– Wiem, panie kapitanie.

– Nie lękasz się?

– Znam już wielu marynarzy, a oni się nie lękali.

– Słusznie. A czy uczeń sławnego kapitana nie ma wybujałych pragnień i nie boi się żadnej pracy?

– Nie, panie kapitanie.

– Dobrze, chłopcze. Możesz odejść.

Niedługo potem zbliżył się do niego kucharz i rzekł krótko, pogardliwym tonem:

– Chodź ze mną!

Piotr poszedł posłusznie do kambuza i czekał. Kucharz patrzył na niego drwiąco, obszedł go dokoła jak wystawionego na sprzedaż konia i cmokał raz po raz. Piotr patrzył równocześnie na niego i zdziwił się dojrzwawszy, że jego lewy policzek jest gładko ogolony, a prawy zarośnięty twardą szczecinią.

Dziwna moda – pomyślał uśmiechnawszy się.

– Czego wytrzeszczasz gały? – krzyknął kucharz. Nie widziałeś człowieka?

Piotr wzruszył ramionami, co kucharza wyprowadziło z granic wzniosłości i napętniło go bulgocącym gniewem najgłupszego z ptaków, indyka.

– Czort cię tu przyniósł – pinił się władca patelni i pan ognia – i czort będzie miał z ciebie pociechę. Mało było pysków do żarcia, więc jeszcze jeden przysłali, ale za darmo jeść nie będziesz! Jesteś moim pomocnikiem. Zrozumiałeś? Psu nie jest potrzebna piąta noga, a mnie pomocnik, ale tak kazali. Zabrudzisz sobie trochę białe rączki, zabrudzisz!

Piotr uśmiechnął się pomyślawszy, że kapitan pragnie się przekonać o jego zapale do każdej pracy.

– Owszem, chętnie zabrudzę – odrzekł pogodnie.

– Spróbuj się sprzeciwić! Umieję tak kopnąć, że wylecisz w morze jak zgniłe jabłko.

– Będę wtedy w miłym towarzystwie – odparł Piotr.

– Hę? W jakim towarzystwie?

– Jaśnie wielmożnego pana kucharza; jeśli bowiem pan kucharz mnie kopnie, ja wyrznię żelaznym garnkiem w łeb pana kucharza i obaj polecimy za burzę.

Kucharz otworzył oczy z takim zdumieniem, jak gdyby wołowy język gotowany w garnku nagle począł śpiewać nadobnym ludzkim głosem.

– Ty... ty... szczeniaku! – wrzasnął. – Ty byś śmiał?

– Owszem. Jestem cokolwiek narwany i różne śmieszne pomysły przychodzą mi do głowy. Co mam teraz robić?

Kucharz spojrział na niego spode łba i zjadliwie się uśmiechnął. Był to odludek chory na wątrobę i przekonany, że mu się dzieje wieczna krzywda. Miał żal do całego świata, że musi gotować to, co inni jedzą. Nie mogąc w inny sposób zemścić się na nieczulej ludzkości za swoją usmażoną na patelni serca krzywdę, chwycił czasem dwie, trzy garście soli ponad potrzebę i z okrzykiem buntu wsypywał ją do marynarskiej zupy. Soczyście go nieraz za to skłęto, najczęściej jednak wzruszano ramionami, był on bowiem ofiarą całej załogi. Z nikogo

nie można się było uśmieć tyle co z niego. Największa zabawa była wtedy, kiedy ponury i na cały świat obrażony kucharz zabierał się do ceremonii golenia, co się odbywało każdej soboty. Ubrdawszy sobie, że musi się czymś różnić od marynarskiego pospólstwa, golił swoje dostojne oblicze wedle wiatru: rano w każdą sobotę wychodził na dziób okrętu, ślinał palec i wystawiał go na wiatr. Jeśli wiatr był wschodni, wtedy golił prawy policzek, nazwany „zachodnim”, przy wietrze zaś zachodnim, golił policzek „wschodni”. Miarodajną pozycją przy obłąkanej tej operacji było stanowisko na dziobie. Marynarze pokładali się ze śmiechu i tupali nogami z wielkiej uciechy, on jednak nie zważał na nic i nic go nie obchodziły śmiechy tałatajstwa. Nie będą się tak śmieli przy obiedzie, gdy im dosypie dwie garście soli!

Tego dnia, w którym Piotr został zamianowany jego asystentem, kucharz znajdował się w wyjątkowo złym humorze. Morze trzęsło okrętem, okręt kucharzem, a kucharz swoją chorą wątrobą. Zapiekla się ona w nim, skoro ujrzał młodego zdrowego chłopca, który spojrzeniem zdawał się natrzasać z jego powagi.

– Wymyj te garnki! – rozkazał groźnie.

– Czemu nie? – zaśmiał się Piotr.

Pragnął być w zgodzie z całym światem, więc postanowił nie zwracać zbytniej uwagi na tego śmiesznego biedaczyne, ogolonego na wiatr wschodni i unikał wszelkiej zwady. Zakasał rękawy i zaczął szorować z zapalem żelazne osmolone garnki. Kazano mu potem obierać kartofle – obierał; kazano przynieść węgla – przyniósł. Kucharz jednak nie popuścił. Serce może w nim zelżało, ale wątroba wciąż była twarda. Jednym okiem patrzył w garnek, a drugim wodził chyłkiem za umorusanym Piotrem.

Piotr widział te manewry, ale udawał, że wszystko odbywa się w najlepszej zgodzie i porządku. Kucharz nie mógł pojąć tej diabelskiej taktyki; czuł się śmiertelnie obrażony, że mu do ciasnego pomieszczenia nasłano tego panicza; przekonany był, że go sponiewierano i chciano upokorzyć. Smażył właśnie jakieś mięso, a równocześnie własne obolałe serce, tak że aż skwierczało. Gdyby był właśnie warzył zupę, byłby może zapłakał, aby tym najprostszym sposobem straszliwie ją przesolić. Na patelnię nie warto było płakać. Nagle przyszła mu do głowy gorąca myśl. Uśmiechnąwszy się złośliwie, tak gwałtownie poruszył patelnię, że kilka kropel rozpalonego tłuszczu prysnęło na ręce Piotra.

Piotr syknął, ale uchwyciwszy uszczęśliwione spojrzenie pomyłonego kucharza zacisnął usta. Spojrzał mu wprost w oczy spokojnie i bez drgnienia. Tego kucharz nie mógł znieść. Cisnął patelnię i krzyknął:

– Ty diable!

Od tej chwili wydało mu się, że ten przybłąda na okręcie jest jego najgorszym wrogiem, że nim najbardziej pogardza, że go ma za nic. Zupełnie zaś został pognębiony pod wieczór, gdy usłyszał krótką rozmowę Piotra z kapitanem przechodzącym obok kambuza.

– Jak ci tam, chłopcze? – zapytał wesoło kapitan.

– Świetnie, panie kapitanie! – odkrzyknął Piotr.

– A kucharz?

– Najprzyjemniejszy człowiek na świecie! Tak zwana „nagła krew” zalała kucharza gorącym ukropem.

– Dlaczego nazwałeś mnie „najprzyjemniejszym człowiekiem”? – zasyczał jak tłuszcz na gorącej patelni.

– Bo tak mi podszeptało serce – zaśmiał się Piotr.

– Baran też ma serce – huknął kucharz.

– Słusznie! – rzekł Piotr. – Niejeden kucharz dlatego tylko żyje.

Na wszelki wypadek wymknął się, ażeby uniknąć gwałtownego ciosu rondlem, próżna to jednak była obawa, kucharz bowiem nie mógł rozgryźć tego powiedzenia i dotrzeć do pestki straszliwej obrazy. Usiadł i zaczął rozmyślać w pocie czoła, co ten pędrak chciał przez to powiedzieć. Na wszelki wypadek postanowił oblać go ukropem albo też inną uczynić mu

krzywdę. W tej chwili jednak nie mógł usiedzieć spokojnie, gdyż coś za bardzo zaczęło rzucać okrętem.

Dzień gasnął dziwnie szybko, jak gdyby morze parowało mrokiem. Słońce było chore przez cały dzień i około południa pozwoliło się stratować tabunowi chmur. Świat cały napelniony był bladą, mętną jasnością, taką upiorną, jaka obleka ziemię podczas zaćmienia słońca. Ostre w słonecznym świetle zarysy statku stały się w tej oćmie niepewne, jak gdyby drżącą malowaną ręką. Morze spochmurniało przybrawszy barwę ołowianą; fale seplenily swarliwie i niecierpliwie; prawidłowe dotąd odkosy wody, kładzione na dwie strony przed dziobem, stały się jakieś dłuższe; na szeroki, siną białością zbryzgany gościec za rufą ostry wiatr rzucał krótkie fale, mętym zalewające wygładzoną drogę okrętu. Tuż po godzinie piątej przepadły ostatnie błyski dnia, a noc, bezszelestną lawiną z góry się waląca, zatopiła umierający dzień w rozchybotanym odmęcie. Wiatr, jak gdyby czekał na sposobną chwilę, jak zbójca, co czeka na nadejście ciemności, wypełznął z jakiejś morskiej pieczary i zaświstał. Musiał już zbełtać morze w oddali, stamtąd bowiem dochodziły stłumione pogrzmoty. Woda poczęła pęcznieć złością wiatru, zaczęła burzyć się i wydymać. Gwałtowny powiew orał wodę i odwalał coraz większe skiby. Przenikliwie zimno przelatywało razem z wiatrem. Okręt, jak koń z nagłą tknięty ostrogą jeźdźca, zmienił spokojny swój bieg na ruchy gwałtowne i nieoczekiwane. Począł z trudem torować sobie drogę wśród czarnej ciżby fal. Rwał przed siebie, jak odyniec opadnięty przez sforę zjezonych psów. Roztrącał je wściekłym naporem, nurzał się w ich rojowisku, po czym wysoko podnosił łeb i znowu rył nim czarną wodę.

– Burza idzie! – krzyknął Piotrowi tuż nad głową długi, chudy marynarz.

– Burza idzie! – powtórzył szeptem Piotr.

Widział już morze gniewnie poruszone i łagodne, zalane błękitem pogody i burą mgłą, widział je śpiące i obudzone, lecz nie widział go jeszcze w całym czarnym przepychu grozy ani w ryczącej złości. Serce uderzyło w nim mocniej. Życie morza każdej godziny jest inne; niespokojna, burzliwa, namiętna jego dusza miota się jakby w cierpieniu, a mało kiedy usypia. Teraz ją gwałtowny wiatr podburzył i namówił do szaleństwa.

Piotr wdział szybko płaszcz i wybiegłszy na pokład wpił oczy w ciemność. Nie mógł dojrzeć morza, słyszał je tylko nieprzytomnie bełkocące stu głosami równocześnie. Głosy te pięły się gwałtem na pokład, chlustały w ciemności, chciały go dosięgnąć bryzgami skołtunionej wrzawy, wiły się sykiem tuż przy jego ścianach. Mały, żelazny, pływający dom ludzi otoczony był tymi głosami, tryskającymi z czarnego pyska nocy: lały się one potopem ze wszystkich stron.

Na wodach musiało się rozpętać jakieś wielkie nieszczęście; szklana tafla pękła, a spod niej wytrysnął skłębiony odmęt. Rozkiełznane fale poczęły biec przed siebie jak stado oszalałych bizonów na prerii. Natknąwszy się w niepowstrzymanym pędzie na malutką ruchomą wysepkę okrętu, uderzyły w nią tysiącem głów, rycząc ze wściekłości. Jak pędzona do szturmu horda postanowiły zdobyć zameczek, w którym schroniła się szczupła załoga i chłopak. Piotr. Obiema rękami chwycił się on żelaznej poręczy i ze zgrozą na twarzy słuchał i patrzył. Mógł dojrzeć zaledwie cienie i widma, rozchybotane, przemykające się z trudnością po pokładzie.

– Uciekaj stąd! – wrzasnął ktoś otarłszy się o niego.

On jednak nie poruszył się. Czuł zamęt w głowie, a w sercu chłód. Nie wiedział, w którą stronę ma się zwrócić, w jaki sposób przejść, aby się schronić pod pokładem.

Wytrzymam tu! – pomyślał.

Skostniały był i na wskroś zimnem przesiąknięty.

Burza rozpętała się z triumfalnym rykiem. Wielki potwór morza chwycił okręt w oślizgłe łapy i bawił się nim jak małym, pudełkiem; podnosił go i z nagłym rechotem, z rozgłośnym, przejmującym skrzekiem ciskał go w odmęt. Krótki dreszcz lęku przebiegał po okręcie, tak że czuć było jego drganie, ale – pływak wyborny – jednym rozpaczliwym ruchem wydobywał

się z czarnej kąpieli i gnał przed siebie. Wtedy woda rozstępowała się, aby wpaść dziobem w lej i już z niego nie wychynał, jednak ten człowiek przemyślny, co stał przy sterze, śmiertelnie spokojny i znający wszystkie podstępny oszalałej wody, jednym ruchem wydobywał okręt z czarnego grobu. Rzucił go na spiętrzoną, moką, z sykiem wznoszącą się ścianę i parł przez nią, rozwaliwszy ją w miliony bryzgów.

Okolo północy nakazało morze wielki szturm. Czarne wody opisywały się ciemności, smagane biczami wiatru, podniecając się jazgotem i zwalistym szumem biegły rozpędziwszy się na ponurym ugorze. Zagłada, zagłada człowiekowi i jego pływającemu domowi! Śmierć tej nawie, co nożem swojego dziobu rozcina na pół pierś fali! Fale wzduły się, najeżyły grzywy, wyrosły niepomierne i runęły na okręt. A on czekał na nie, żelazny, nieustraszony, na wszystko gotowy; stwór żywy i czujny, posiadający głośno bijące serce, gorące serce maszyny, zrozumiał, że teraz musi stoczyć walkę najcięższą. Jeśli lęk zmiażdży duszę załogi, jeśli strach wytrąci sterowe koło z rąk człowieka, jeśli jasny, ostry, czujny rozum dowódcy omdleje z rozpaczy i zwątpienia – będzie koniec wszystkiemu. Najazd wód zatopi pływający dom, chytróść wód przeniknie przez jakiś otwór lub szczelinę i zagasi płonące ognisko serca, a śmiertelnie przerażonych ludzi zmiecie z pokładu i ciśnie ich w odmęt. Nic z tego! Nie drgnęła mocna ręka na sterowym kole, nie drgnął dowódca nawy. Wszystko przewidział i wszystko obliczył aż do ułamka sekundy. Roztrącił fale, porozdzierał je i zagarnął pod siebie. Najwyższe z nich i najbardziej rozstrożone wpadły na pokład i łapczywie, w szalonym pośpiechu, usiłowały zagarnąć wszystko spotkane po drodze. Niczego jednak nie udało się zabrać. Wszystko było zbite, zwarte, mocne, żelazne, nieustępliwe.

Przez długie godziny trwało to szamotanie się morza. Porywisty deszcz siekł zakosami, wiatr wzmagął się, skomlił i jęczał. Piotr czuł, że jego serce zaczyna truchleć. Wspaniały był gniew żywiołu, potężny i huczny, lecz przerażający. Strach, kosmaty czarny strach pełzał po huczących wodach, tłamsił się wśród nich jak ogromny wieloryb. Marynarz doświadczony, co wiele przeżył burz, patrzył śmiało w ryczącą tajemniczymi głosami pieczarę nocy. Na Piotra przysła jednak taka chwila, w której zadrżał, kiedy przelewająca się fala uderzyła go raz i drugi. Dookoła była burza, a jemu się zdawało, że on znajduje się w samym jej środku, okruszyna i żdźbło, okrucieństwo i maleństwo, które wreszcie siłą napastliwa zmiecie w morze. Płonącymi oczami począł szukać drogi i gdy burza nabierała oddechu, aby zawyć potężniejszym jeszcze głosem, wtedy szukał po omacku wyjścia w bezpieczne schronienie. Znalazłszy się w zamknięciu, oddychał szybko ze znużenia. Lampa płonąca wydała mu się gwiazdą cudownie rozbłyśniętą; ludzki głos wydał mu się muzyką anielską.

Okręt bezustannie walczył, miotał się, czołgał się w górę i zapadał w doły. Piotr teraz rozumiał dobrze, jaką walką jest żeglowanie, jakim strasliwym trudem jest trud marynarza. To nie miła powiastka, przepojona błękitem i owiana pogodną piosenką, lecz krwawa praca na krawędzi przepaści, żmudna, niezmierna, co potem wysiłku zalewa oczy, a czasem – to śmierć. Ale czasem tylko. Jest coś, co pęta nieprzytomną wściekłość żywiołu: to wzniosły spokój człowieka. Rozum umie spętać szaleństwo, odwaga umie poskromić rozdrażnionego lwa. Duch człowieka jest jak skała, o którą najgroźniejsza fala rozbija się i płaszczy.

Coś go ciągnęło i coś go wołało, aby się nie ukrywał za żelazną ścianą, w żelaznym namiocie, lecz by znowu stanął wśród burzy jak na posterunku. Zdawało mu się, że gniew morza zelżał i że okręt nie miota się tak jak przed kilku godzinami. Zdławił więc w sobie lęk, co – nie wiadomo skąd – wciąż ku niemu pełzał i znowu wy dostał się na pokład. Już był świt, szary jak zgrzebne płótno i tak mokry jak ono, z wody wyjęte i nie wyżęte. Piotr chwycił się rękami żelaznej bariery i patrzył na morze. Było ono wciąż rozdygotane, poruszone aż do największej swojej głębin, nieukojone i złe.

Ludzie przebiegali po pokładzie z prawdziwą zręcznością. Kapitan, zatroskany i ze śladami wielkiego znużenia na twarzy, pozdrowił go z oddali ruchem ręki. Nagle statek zakotłosał się gwałtownie. Wichur, ostatni z czeredy mocnych wichrów, uderzył nagle jak

zrozpaczony nieprzyjaciel, co niegodnie czyniąc napada już po podpisaniu pokojowego rozejmu. Fale wydeły się, zapieniły grzywami i runęły na okręt. Środkiem pokładu przemykał się w tej chwili kucharz, czepiając się po drodze wszystkiego, czego tylko można się było ucześcić rękami. Piotr usłyszał przeraźliwy krzyk i ujrzał, jak potężny bałwan podbił nogi człowieka, zwałił go i sponiewieranego włókł z sobą, aby go rzucić w morze. Nikogo nie było w pobliżu. Piotr zmartwiał na jeden moment, potem bez namysłu jednym skokiem zwałił się na bezwładnie toczący się ludzki kształt i wczepił się weń pazurami. Fala przewaliła się z rozgłośnym chlustem; Piotr chwycił kucharza pod ramiona i z niezmiernym trudem włókł go w miejsce bezpieczne.

Gdy jego ciężki wróg otworzył oczy, dając tym niewątpliwie świadectwo, że zamierza powrócić do kręgu ludzi żywych, ujrzał pochyloną nad sobą twarz Piotra pytającego troskliwie:

– Czy nic się panu nie stało?

Odpowiedź nie mogła być natychmiastowa, kucharz bowiem musiał wykrztusić z siebie najpierw gorzkosłoną wodę, co czynił przez czas dłuższy; drugim nieodzownym zabiegiem musiał być powrót duszy w ciężkie i pobite ciało. Trwało to też dłuższą chwilę, dusza ta bowiem uciekłszy w chwili śmiertelnego strachu z ciała musiała rzucić okiem na swoje ziemskie mieszkanie, osmolone i wątpliwej czystości, i jako istota czysta wracała w nie wcale niechętnie. Wreszcie ciało kucharza przemówiło:

– Czy ja żyję?

– Być może! – odrzekł zdyszany Piotr.

– Tyś mnie wyratował, chłopaczku?

– Wszystko jedno... Niech pan kucharz podniesie się i oprze na mnie.

Ponieważ z pomocą nadbiegł długi i chudy marynarz, zanesiono kucharza na jego legowisko. Piotr chciał odejść, lecz ten mu nie pozwolił.

– Jesteś najlepszym człowiekiem na świecie! – rzekł z głębokim przekonaniem. – A ja jestem głupia, złośliwa małpa.

– Obustronna przesada! – krzyknął Piotr i wybiegł.

Morze uciszyło się powoli, pokryte pianą jak koń po długim biegu. Oddychało ciężko, robiło bokami, szumiało nieprzerwanym, rozplakany szumem. Wschodzący, coraz bardziej rozjaśniony dzień chodził po wodach jak ogrodnik, co smutnym spojrzeniem ogląda szkody po burzy.

Wszyscy odetchnęli oddechem ulgi jak ludzie, którym powiedziano, że śmierć daleko od nich odbiegła.

Kapitan zbliżył się do Piotra.

– Gdzie byłeś przez czas burzy?

– Długo byłem na pokładzie, potem schroniłem się.

– Bałeś się?

– Z początku nie bardzo, dopiero potem – odrzekł Piotr zarumieniony.

– Nie masz się czego wstydzić. Są ludzie lękający się morza do końca życia. Burza była pierwszej klasy, ale nie dała nam rady!

Spojrzeniem pełnym tkliwości przebiegł po statku, jakby go nim pieścił i jak gdyby rad był niewypowiedzianie, że go jeszcze ogląda.

– Ale, ale, chłopaczku... Podobno wyratowałeś naszego kuchcę? Bardzo ładnie! Dobry chłop, tylko kłótniwy. Ciekaw jestem, z której strony dzisiaj będzie się golił, bo wiatr dostał kręćka i wieje ze wszystkich stron. Nie wiesz, czy będzie mógł upitrasić dzisiaj obiad?

– Zdaje się, że tak, panie kapitanie.

– Niczego sobie nie złamał?

– Jeśli wolno powiedzieć, panie kapitanie, to złamał sobie... tylko serce.

– Ach, tak! – zaśmiał się kapitan. – Dotąd solił zupę gorzkimi łzami, a teraz będzie ją solił

łzami rozczulenia. Dziękuję ci jednak bardzo. Do widzenia!

Kucharz istotnie miał złamane serce. Po sto razy opowiadał każdemu z załogi, jak brzydko postąpił wczoraj z Piotrem i jak go sparzył roztopionym tłuszczem.

– Dlatego mięso było na wodzie, ty koński befsztyku! – krzyknął jeden.

– A to złoty chłopiec! – wołał kucharz. – Śmierć ułapiła mnie za nogi, a on mnie ułapił za głowę i trzyma...

– Czemu łzesz? – zaśmiał się któryś. – Jakże on ciebie mógł złapać za głowę? Nogi masz, to pewne, ale gdzież ta głowa?

Kucharz jednak nie zwracał uwagi na żarty. Był tak przejęty i tak uradowany, że nie miał na to czasu. Zastanowił się jednak, gdy mu powiedziano:

– Mógłbyś się ogolić, cudaku! Przynajmniej dzisiaj...

– Kto wie, czy tego nie uczynię – zastanowił się kucharz. – I to z obu stron, z obu stron! Dotąd goliłem się tak jedynie na Wielkanoc, ale dzisiaj się ogolę.

Marynarze zapomniawszy o burzy i o czarnych zgryzotach nocy brali udział w tej niezwykle uroczystości, która się odbyła na wysokości Ubawy. Samo morze zaniemówiło ze zdumienia.

Kucharz, ogolony i rozpromieniony, gadał sam do siebie, a patelnia odpowiadała mu z niecierpliwym sykiem. Wciąż wyglądał przybycia Piotra i uśmiechał się z rozrzewnieniem na samą myśl o nim. Wreszcie Piotr zjawił się, aby oskrobać kartofle.

– Mój drogi przyjacielu! – rzekł kucharz uroczyście. – Nie będziesz skrobał kartofli. Jesteś zbyt wspaniałym człowiekiem. Pozwól mi ucisnąć swoją dłoń, szlachetny Piotrze.

– Jazda! – zaśmiał się Piotr.

Ucisnęli sobie ręce, potem kucharz rzekł tajemniczo.

– Pewnie jesteś głodny, mój zbawco. Ha! ha! Mam ja tu coś dla ciebie, czego nikt inny nie dostanie. Przetrącisz sobie przed obiadem.

– Z przyjemnością!

Kucharz wydobyl z ukrycia garnuszek i szepnął:

– Wyborne! Kupiłem w Finlandii... Bierz, bracie!

Piotr spojrział i krzyknawszy przeraźliwie uciekł tak, jakby dotknął węża.

Ze zdumieniem patrzył za nim kucharz i ze zdumieniem patrzyły dwa tłuste śledzie.

XII

Zdaje się, że jedynie Krzysztofa Kolumba witano uroczyściej po powrocie z Ameryki. Brakło jedynie bicia w dzwony i armatnich wystrzałów. Marynarze z „Torunia” rozpuścili wieść o tajemniczym zniknięciu Piotra, a Wójcik był niepokieszony; gdy przeto przybieżała radosna wieść, że zguba została odnaleziona, wszystkich ogarnęła radość. Piotr stał się głośną osobą w gdyńskim porcie, chciano więc powrót głośnej osoby uczcić należycie.

Po powrocie „Torunia” do Gdyni markotny jego kapitan udał się do „Zatoki stu tysięcy diabłów”, aby zawiadomić kapitana Barena o niezrozumiałej przygodzie. Szedł tam powoli, z trudem, wielkim bowiem ciężarem jest zła i czarna wieść. Kapitan Baren przyjął go natychmiast, usłyszawszy zaś, o co idzie, szepnął:

– Kapitanie, niech pan mówi cicho. W domu tym jest staruszka, która kocha Piotra ponad pojęcie.

– I pan go kocha, kapitanie Baren?

– I ja go kocham, ale ja jestem mężczyzną i marynarzem! Niech pan mówi!

Kapitan opowiedział o wszystkim. O zachowaniu się Piotra na statku, o ocaleniu go podczas mgły. Stary człowiek słuchał tej opowieści zachłannie, z błyskami w oczach. Dumny

był i szczęśliwy. Na tę dumę i na to szczęście padły zaraz potem słowa niespokojne i czarne. Kapitan Baren drgnął; zbladł bardzo i głęboko rozmyślał. Na jego czole ukazały się wielkie krople potu. Wiadomość była bolesna i ponura.

– Co pan o tym wszystkim myśli? – zapytał kapitan „Torunia”.

– Lękam się – odrzekł szeptem Baren. – Lękam się... Mam powody do przypuszczeń, że Piotra porwał człowiek będący moim wrogiem. Dawna to jest historia, która pływała po południowych morzach.

– Chłopiec jest rozważny i bystry – pocieszał go kapitan. – Nie zginie przecie w wielkim mieście, przecie go nie zamordują.

– Wszystko może się zdarzyć – szepnął zbolalym szeptem Baren.

Radzili długo, głowa przy głowie, tajemniczą wiodąc rozmowę. Młody żeglarz pocieszał starego żeglarza, widząc jak tamten cierpi. Poczciwiec zjawił się nazajutrz, tym razem z Wójcikiem, który złamanym głosem raz jeszcze zdał relację staremu kapitanowi, opisując ostatnie chwile po rozstaniu się z Piotrem.

– Siedzieliśmy w knajpie – mówił ciężkim głosem. – Zjawił się nagle jakiś marynarz i łamaną polszczyzną zawiadomił nas, że Piotr poszedł na statek. Dziwiło nas to, skąd wytrzasnął tak z rękawa tego dziwnego posła, ale Piotr był zaradny. Uwierzyliśmy. A ten biedaczyna przepadł jak łódź we mgle. O, mój Boże! Panie kapitanie, myśmy go bardzo pokochali!

Co dnia, zmyślając na użytek Fregaty najdziwniejsze historie, czynił kapitan Baren wyprawy do portu. Odbywał narady z oficerami w komendzie portu, potem wysyłał długie depecze. Wójcik chodził z nim, gdyż pocieszały się wzajemnie. Drzwi „Stelli” stały otworem, każdy mógł wejść do suchej zatoki, gdyż kapitan oczekiwał wiadomości. Czuwał długo w noc, krążąc po izbie jak lew po klatce. Sam nie przypuszczał, że tak bardzo przywiązał się do tego chłopca. Dom wydał mu się pusty, smutny i okropny jak ogród, z którego wyrwano jedyne rozkwitłe drzewo.

Fregata zaczęła coś wietrzyć. Nie podobały się jej wizyty obcych marynarzy ani wyprawy kapitana do miasta. Przyglądała się kapitanowi podejrzliwie, kręcąc głową. Czując na sobie jej spojrzenie kapitan uśmiechał się niezręcznie i mówił niby wesoło:

– A Piotr powróci lada chwila... lada chwila, dobra Fregato.

– Wróci albo nie wróci – odpowiadała chmurnie.

– Cha! cha! – śmiał się kapitan. – Dziwne pomysły miewasz, Fregato. Dlaczegoż to nie miałby powrócić?

– Mógłby pan kapitan lepiej udawać wesołość. Śmieje się pan jak nieboszczyk. Ja za stary jestem wróbel...

– Chyba sowa, a nie wróbel – śmiał się kapitan zbyt głośno.

Bardzo go męczyło udawanie radości, więc uciekał z domu.

– Depeszę przynieśli – oznajmiła razu jednego wierna Fregata.

Kapitan wyrwał jej z rąk skrawek papieru i ukrył go w kieszeni.

– Dziękuję – rzekł zdyszonym głosem – możesz odejść.

Po raz pierwszy od wielu lat kobieta nie usłuchała rozkazu.

– Nie odejdę – powiedziała twardo. – Musi pan przeczytać przy mnie. Ja wiem, że to idzie o Piotra. Będę tu stała do śmierci.

Nie przeraził jej gniew kapitana ani jego krzyki; ponieważ depecha, na piersi ukryta, paliła go żywym ogniem, wreszcie ustąpił. Przeczytał, zbladł i osunął się na krzesło.

– Co się stało, u Boga Ojca?! – krzyknęła Fregata.

– Odnaleziono Piotra! – szepnął z trudem. – Odnaleziono naszego Piotrusia.

Opowiedział jej bezładnie o wszystkim. Na jego twarzy zjawił się leciutki rumieniec, życie wydało mu się nagle jaśniejsze. Podniósł się z krzesła i powtarzał w kółko:

– Dzielny chłopiec... Nie dali mu rady! Cha! cha! Porwać Piotra, to niewielka sztuka, ale

zatrzymać go, to większa sztuka! Fregato, Piotr powraca... Czemu beczysz? Ach, te baby! Każda czeka na sposobność, aby się wyplakać....

Objął dobrą, pocziwą Fregatę i przycisnął staruszkę do swoich starych piersi. Była to wielka z jego strony chytrość, nie chciał bowiem, aby nawet ona o tym wiedziała, że siwe srogie oczy kapitana dziwnie się zamglily. Po chwili porwał płaszcz i wybiegł szybkim krokiem, po godzinie zaś Wójcik szerzył wiadomość, że Gdynia ujrzy niedługo słynnego marynarza Piotra, który się gdzieś zapodział jak szpilka; dlatego powrót Piotra był wjazdem triumfalnym.

Po ukończeniu publicznych uroczystości, nowe zaczęły się na „Stelli”. Piotr nie wiedział, czy ma śmiać się, czy płakać? Kapitan Baren przemawiał do niego groźnie i surowo jak zwykle, równocześnie zaś miał w oczach tyle miłości i tyle radości, że w chłopcu tajało serce. Przytulał się do starca, nie mógł jednak zbyt długo wytrwać w tej pozycji. Fregata bowiem odbierała go kapitanowi, aby go wziąć w objęcia.

– Biedne dziecko! – wykrzykiwała. – Nie dowierzaj wszystkim, znam bowiem takich, co cię wysłali na śmierć, a potem ukrywali to przede mną. Józefa też sprzedali do Egiptu... Całe szczęście, że Pan Bóg czuwa nad sierotami i psuje szyki złym ludziom. Całe szczęście! O, jakże on wychudł! Jakże on wymizerniał... Czy pan, kapitanie, może na to patrzeć spokojnie?

– Mogę! – rzekł kapitan.

Z niewypowiedzianym trudem udało się wreszcie zapędzić Fregatę do kuchni chytrym oświadczeniem, że Piotr jest głodny.

– Później – rzekł kapitan – Piotr nam wszystko opowie. Teraz musi odpocząć.

Gdy zostali sami, kapitan Baren uściśnął go raz jeszcze.

– Nic nie mów – powiedział. – Opowiesz po wieczery, a potem ja ci coś opowiem. Teraz nic nie mów. Ach, jest tu list do ciebie.

– To pewnie od Modlewiczów – ucieszył się Piotr przypomniawszy sobie, że pisał do nich przed swoją pierwszą wyprawą i pozostawił list kapitanowi, prosząc go o wysłanie.

Odczytał list niecierpliwie, pożerając oczami nieforemne litery. W pewnej chwili zmarszczył czoło i odczytał jakiś ustęp po raz drugi.

– To dziwne! – szepnął.

– List pochodzi od tych dobrych ludzi? – zapytał kapitan.

– Tak. Jednego tylko nie mogę zrozumieć. Piszą mi, że mi z całego serca dziękują za przesłanie pieniędzy, które im się niezmiernie przydały, a ja przecie nie wysłałem żadnych pieniędzy, bo i skąd?

– Jakaś pomyłka... – bąknął kapitan.

Piotr drgnął usłyszawszy niepewnie wypowiedziane słowa. Spojrzał uważnie na kapitana, a kapitan prędko odwrócił głowę.

– Panie kapitanie! – zdławionym głosem zawołał Piotr. – Pan, nikt inny, posłał te pieniądze!

– Nie przypominam sobie – rzekł Baren szybko. – A nawet gdyby ja, to i cóż? Posłał ktoś uczciwym biedakom parę groszy, a zaraz tyle o tym gadania. Czego tak patrzysz we mnie?

– Niech panu Bóg zapłaci – szepnął Piotr gorąco.

– Znowu zaczynasz? Fregata, jeść!

Najszybsza fregata wszystkich mórz nie uwijała się nigdy tak szybko, jak Fregata lądowa. Sama nie jadła, pilnie patrząc, czy tylko je jej ukochany Piotr. Serdeczna jej troska zmieniła się w otwartą zuchwałność, gdy kapitan sięgnął po półmisek.

– Dla dziecka zabraknie! – mruknęła ostrzegawczo.

– Dziecko pęknie za chwilę – odrzekł kapitan.

Gdy wreszcie Piotr zaczął opowiadać o swoim dziwnym zdarzeniu, tamci oboje wstrzymywali oddechy; na wspomnienie ogromnego, płowowłosego marynarza kapitan drgnął.

– Tak myślałem – szepnął.

Piotr mówił o pobycie w nieznanym domu i o tym, jak go marynarz sponiewierał.

– Daj mi, Boże, spotkać go kiedy – rzekła Fregata drżącym głosem.

Nie daj mi, Boże, spotkać go kiedy – pomyślał kapitan.

– ... Potem karmił mnie śledziami i nie dawał wody – mówił Piotr. – Do końca życia nie będę mógł patrzeć na śledzie – dodał wesoło.

– O co cię pytał? – zapytał kapitan cicho.

– O „Oko zorzy”.

– To wariat! – krzyknęła Fregata.

– Nie wiedziałem, co to znaczy, nie mogłem mu odpowiedzieć. O co on pytał, panie kapitanie?

– Cóż dalej? – zapytał kapitan szybko, jak gdyby nie dosłyszał pytania.

Piotr opowiadał ze wszystkimi szczegółami i zaczął mówić gorąco o dziewczynie, która go napoiła.

– Kobiety są lepsze od mężczyzn! – oznajmiła Fregata. – Czy to była jego córka?

– Nie wiem.

– Musiała być jego córką, bo zbójcy mają zwykle dobre córki.

W nieludzki zachwyt wpadła Fregata wtedy dopiero, kiedy Piotr opowiedział o kolczyku i o otwarciu drzwi przez dziewczynę. Zaczyna kobiecina zaczęła śmiać się piskliwie i klaskać w ręce.

– Mój kolczyk – wołała – mój kolczyk! Wiedziałaś, co robię, gdy ci go dałam. A co? Przydał się kolczyk głupiej Fregaty? I cóż, panie kapitanie? Są tacy, co wysyłają chłopca na męki, ale są też tacy, co im dają sposób ocalenia. I kto lepszy? Czy pan ma odwagę zaprzeczyć? Aleś ty mądry, chłopcze, żeś sobie od razu przypomniał o tym kolczyku. Może gdybyś był miał dwa, byłaby cię prędzej wypuściła, ale i jeden wystarczył. Ja się wcale nie dziwię, gdyż był to najpiękniejszy kolczyk, jaki kiedykolwiek widziałam. Dziewczyna ujrzała go i straciła od razu rozum.

– Pani Fregato – rzekł nieśmiało Piotr. – Ona wcale nie chciała go wziąć.

– Jak to? Przecie cię wypuściła!

– Ale nie za kolczyk...

– A gdzież on jest? – zawołała Fregata triumfalnie.

– Nie mam go, bo go przemocą włożyłem do jej ręki.

– Przemocą? Zdawało ci się... Byłeś osłabiony i nie wiedziałeś, co się z tobą dzieje. A to musiała być mądra dziewczyna!

– To była dobra dziewczyna – przerwał jej gwałtownie kapitan. – Zresztą kolczyk był zapewne z fałszywego złota.

– Najlepsze meksykańskie złoto – krzyknęła Fregata, gwałtownie oburzona.

– Najważniejsze jest, że uciekłem – mówił radośnie Piotr.

Zakończył opowieść o burzy i o szczęśliwym przybyciu. Gdy burza szalała w słowach Piotra, Fregata przeżywała ją w gwałtowny sposób, chwytając się rękami za głowę albo wznosząc oczy błagalnie ku pułapowi, nad którym po staremu znajdowało się niebo. Kapitan był zadumany.

– Ktoś woła! – szepnął nagle Piotr, nasłuchując. Razem z kapitanem podszedł ostrożnie ku drzwiom.

– Kto tam? – zapytał groźnie kapitan.

– Do pana Piotra – odkrzyknięto. – List i coś tam jeszcze.

Uchylił drzwi, a przez szparę wsunęła się ręka z małym zawiniątkiem.

– Zegarek! – zdumiał się Piotr. – Dla mnie? Niczego nie rozumiem.

– Przeczytajmy list... – rzekł kapitan.

„Drogi przyjacielu Piotrze! – oznajmiały uroczystym tonem paralitycznie pokrzywione

literę. – Za to, żeś moje życie ocalił i moim dzieciom zachował ojca, muszę ci posłać podarunek, a dlatego ci go wcześniej nie dałem, bo był w zastawie. Dzisiaj go wykupiłem i tobie posyłam, abys o mnie zawsze pamiętał. Jest to bardzo stary zegarek i ze starości nie chodzi, ale jeżeli nim uderzysz kilka razy o stół albo o ścianę, wtedy zaczyna iść, choć spóźnia się o trzy godziny. Grunt, że jest srebrny i może ci się kiedyś przydać w marynarskim życiu. Bądź zdrow, drogi przyjacielu”...

Piotr śmiał się, rozrzewniony, czytając tę epistołę, w której równie tyle było serca, co ortograficznych błędów.

– Kto to pisze? – zapytał zdumiony kapitan.

– Kucharz okrętowy – objaśnił Piotr.

– A cóż on opowiada o ocaleniu życia?

– Bo jemu się zdaje, że mu je ocaliłem. Fala go porwała, a ja zdołałem go powstrzymać.

– Nie ratuj nigdy tych, co gotują! – zaśmiał się kapitan, patrząc ze zmrużeniem oka na Fregatę. – Widzę jednak, że zbierasz skarby. Tu kolczyk z fałszywego złota, tam zegarek, którym trzeba uderzać o ścianę...

– Tylko tutaj niczego więcej nie dostaniesz... – mruknęła złośliwie Fregata. – Chyba stary guzik od starego munduru.

Kapitan spojrział na nią z nagłą zadumą.

– A co będzie, jeśli się pomylisz, dostojna Fregato? – zapytał cicho kapitan.

– Wtedy powiem, że i krokodyl ma czasem czułe serce.

Rozmowa ta wydawała się Piotrowi nieco przykra, więc spojrzawszy błagalnie na kobietę udawał, że bada pomyłony mechanizm zegarka. Był to odwieczny grat, którym chyba czas mierzył godziny w chwili swoich narodzin. Poczciwy kucharz zataił w pośpiechu jeszcze jedną jego właściwość, a mianowicie brak wskazówek na tarczy; nie lada jakiego trzeba było sprytu, aby odczytać na nim godziny, nawet gdyby chodził. Może przeto dlatego stanął i nie poruszał się, że czynność ta na nic przydać się nie mogła.

Przegadali jeszcze czas niejaki, gdyż trudno im było się pożegnać. Wreszcie kapitan zawołał:

– Piotrowi kleją się oczy. Chodźmy spać.

Piotr istotnie był bardzo znużony, najbardziej zaś zmęczyła go radość. Było mu niezmiernie dobrze wśród tych dwojga całym sercem do niego przywiązanych. W śmiesznych sprzeczkach kapitana z Fregatą objawiała się najwyraźniej zazdrość. Każde z nich, nie wiedząc nawet o tym, chciało zagarnąć serce chłopca dla siebie.

Kapitan doprowadził go do górnej izdebki i powiedział cicho:

– Dziękuję ci raz jeszcze, żeś mi nie uczynił wstydu. Kapitan „Torunia” dość dobrze mówił o tobie...

– Naprawdę? – szepnął Piotr zarumieniony.

– Nawet wcale dobrze. W tej niemądrej awanturze z porwaniem zachowałeś się też wcale, wcale, choć to nie twoja zasługa.

Piotr nie śmiał zapytać, czemu kapitan zaprzecza mu tej zasługi i jedynie spojrział pytająco.

– Oczywiście, że nie twoja – odpowiedział kapitan na nieme pytanie – tylko moja. Czy byłbyś, chłopcze, wytrzymał tyle czasu bez jedzenia, gdybym cię nie był nauczył, jak trzeba znosić głód i pragnienie? Ale żart żartem, a ja muszę cię pochwalić. Wart jesteś tego, aby zrobić z ciebie marynarza!

– Och, dziękuję, panie kapitanie!

– I wart jesteś tego – mówił kapitan cedząc słowa – abym ci objaśnił rozmaite sprawy. Zrobię to jutro wieczorem. Na cały dzień jesteś wolny. Zameldujesz się jutro na „Toruniu”, bo „Toruń” niedługo idzie do Rotterdamu. Zobacz się z przyjaciółmi... Masz już przecie wielu przyjaciół, smyku jeden! Dobranoc...

Uczynił to, co czynił w najbardziej uroczystych chwilach: uściskał Piotra i szybko

wyszedł.

Piotr nie wiedział o tym, że został umyślnie wyprawiony na cały dzień z domu; zaopatrzone w pieniądze, miał tego dnia jeść na mieście. Po jego wyjściu kapitan zaważwał Fregatę i usiadłszy naprzeciwko niej długo z nią rozmawiał szeptem. Wyglądali jak spiskowcy rozpatrujący wielkie i tajemne sprawy. Klótliva zazwyczaj Fregata ani razu nie podniosła głosu, ustawicznym potakiwaniem srebrnej swojej głowy dając znać, że kapitan mówił mądrze i rozsądnie. W pewnej chwili w oczach jej ukazały się łzy, które szybko otarła. Potem powiedziała cicho:

- Jest pan najlepszym człowiekiem na świecie... Najlepszym...
- Uścisnęły sobie ręce, jak gdyby zawarli jakiś ważny układ.
- Czy będziesz miała dość sił, droga Fregato? – zapytał kapitan miękko.
- Znalazłabym je nawet wtedy, gdybym była umierająca.
- Więc trzeba iść...
- Trzeba! Byle nas Piotr nie spotkał.
- Piotr jest w porcie i stamtąd się nie ruszy.
- To dobrze, za chwilę będę gotowa.

Podreptała szybko do swoich biednych apartamentów i wyszła stamtąd godnie przystrojona, w czarnym, dostojnym obleczeniu. Zamknawszy dom starannie, szli powolnym, uroczystym krokiem w stronę miasta. Tuż za domem kapitan zatrzymał się patrząc na ziemię, gdzie leżała oderwana przez wiatr drewniana tabliczka z napisem: „Zatoka stu tysięcy diabłów”. Kapitan uśmiechnął się i potrącił ją nogą.

– Niech sobie leży – rzekł z uśmiechem. – Niech wchodzi, kto zechce, bo tamten już nie przyjdzie. Jest zapewne przerażony, że go tu odpowiednio przyjmą. Piotr narobiłby wrzasku na całe polskie morze.

Dreptali pracowicie aż do budynku, na którym widniała tabliczka ogłaszająca, że w nim rezyduje rejent. Przed samymi drzwiami Fregata zaczęła okazywać niepokój.

- Panie kapitanie! Może ja jestem za głupia, aby być świadkiem?
- Jeśli się nie będziesz odzywać – zaśmiał się pogodnie kapitan – może tego nie zauważą.
- I wszystko będzie ważne?
- Wszystko, wszystko, moja dobra Fregato.
- W takim razie niech pan stuka w imię Boże! I niech pan od razu wszystkiego nie mówi, bo przedtem trzeba przyjrzeć się temu rejentowi, aby potem dziecka nie skrzywdził.

Piotr, wcale nie wiedząc o tej tajemniczej wyprawie, szedł wesoło w stronę portu. Jeszcze tak niedawno zmierzał tam z trwożliwą nieśmiałością; dzisiaj jednak spotka tam swoich zaprzyjęzonych przyjaciół. Po drodze natknął się na gromadkę gapiów drwiąco patrzących, jak zatroskany palacz samochodu stanął przy swoim wozie i badał go troskliwie jak lekarz chorego.

– Boże miły! – zaśmiał się Piotr. – Przecież to mój przyjaciel Robak i jego ford. Hej, panie Józefie!

Płomienisty Robak obejrzał się i usiłował się uśmiechnąć, ale nie dokazał tej łatwej sztuki, gdyż zbyt mocno był zmartwiony.

- Patrz, przyjacielu – rzeki ponuro. – Stał bydlak i ani rusz!
- Przecie często mu się to zdarzało – zauważył Piotr.
- Bo miał humory, ale teraz to już stanął na amen.

Dwie godziny nad nim sterczę, a on ani kopytem nie ruszy. Taki wóz, taki wspaniały wóz! Czego się śmiejesz? – krzyknął w nagłej irytacji, zwróciwszy się do wesołego gapia. – Śmiałyś się, gdyby ci brat umarł?

– Spokojnie, panie Robak, spokojnie! – pocieszał go Piotr. – Strasznie mi pana żal, ale cóż zrobić... Nie da się naprawić?

- Mowy nie ma! Wypuścił ducha... Znam w nim każdy pręt i każdą śrubeczkę. Do

niedawna na trzech kołach jeszcze chodził, a teraz na czterech nie może.

Zmęczony i zmartwiony usiadł na skraju ulicy, a Piotr przy nim. Gapie powoli się rozeszli. Robak gadał z Piotrem, ale nie mógł oderwać spojrzenia od pokiereszowanych zwłok wozu, powiązanego sznurkami i drutami. Przez czternaście lat woził na nim wszystko, co tylko było można przewieźć, a przede wszystkim jarzyny z tego płachcia ziemi, który jego ojciec miał opodał Gdyni.

– Lepiej, żeby się był rozbił – rzekł smutno Robak – niż żeby tak zmarł na gładkiej drodze. Pędraki się naśmiewają. A ja ten wóz... O! Co się stało?

Stało się coś, czego nie zanotowano jeszcze w dziejach automobilizmu. Pozostawione na środku drogi zwłoki wozu nagle zaterkotały, szcęknęły, zazgrzytały i ruszyły z kopyta po spadku ulicy, wiodącej ku morzu. Robak najpierw zdumiał się, całkowicie ogłupiały, potem wrzasnął przeraźliwie i skoczył za swoim nieboszczykiem, co się obudził z letargu, wóz jednak wziął z miejsca taką szybkość, o jakiej nigdy nie marzył za życia. Śmigał ze straszliwym warkotem i charkotem i gnał nieprzytomnie.

– Chce się utopić! – krzyknął Piotr. – Trzymaj!

Wóz jednak, jakby poczuwszy bliskość wody, skręcił nagle jak rozjuszony byk i z całej siły ugodził żelaznym ciemieniem w ogromny słup. Stęknął boleśnie i rozleciał się na siedemdziesiąt siedem części.

– Samobójca – zaśmiał się Piotr.

Robak, zdyszany biegiem, stanął nad szczątkami i przyglądał się im rozjaśnionym wzrokiem. Do zbliżającego się Piotra rzekł z dumą:

– Sławna śmierć! Ja wiedziałem, że on nie zginie tak jak zwyczajny koń. Widziałeś, bracie, coś podobnego?

– Nie uwierzyłbym, gdybym tego nie oglądał własnymi oczami. Nad czym pan tak дума?

– Nad tym, czyby tych kawałków nie dało się jakoś skleić na nowo?

Piotr pozostawił przygodnego przyjaciela w ciężkiej zadumie i zwrócił się w stronę portu. Machinalnie wyjął zegarek kucharza i roześmiał się głośno.

– Ten zegarek też kiedyś skończy samobójstwem i sam nie będzie wiedział, o której godzinie.

Odnalazł w porcie swoich przyjaciół i złożył ceremonialną wizytę na „Toruniu”, wielce serdecznie tam przyjęty. Honory domu pełnił Wójcik.

– Pana kapitana nie ma? – spytał Piotr.

– Nie ma. Coś mi się zdaje, że się na dziś umówił z twoim starym. Twój kapitan był tu wczoraj i gadał długo z naszym – odrzekł Wójcik tajemniczo. – Bardzo sobie potem ściskali ręce. Dobra jakaś dusza ten twój kapitan.

– Bardzo dobra!

Piotr został zaproszony na obiad, potem on ich zaprosił na poczęstunek do miasta.

– Chodźmy! – zawołał Wójcik. – Już cię tu samego na dworcu nie zostawimy.

– Możecie zostawić – zaśmiał się Piotr. – Stąd mnie nawet diabeł nie porwie.

Poszli we cztery: Wójcik, Piotr Wielki i Literat.

– Nie pójdziemy na piwo – szepnął Piotr Wielki do Wójcika. – Nie przeszłoby mi przez gardło. Pamiętasz to fińskie piwo? Piotruś omal nie zginął przez to paskudztwo.

Piotr, raźnie idąc, bo było bardzo zimno i wietrzno, zatrzymał się nagle na ulicy.

– Panowie marynarze! – rzekł niby wesoło, lecz z cichym wzruszeniem. – Gdy przed kilku miesiącami byłem bardzo głodny i nie miałem gdzie spać, w tej mleczarni jakaś zacna kobieta nakarmiła mnie i pozwoliła przenocować. Czy panowie nie mają nic przeciwko temu, abym was do niej zaprosił na kawę?

– Jeśli to taka szlachetna kobieta, mogę się z nią nawet ożenić – oświadczył Literat.

Weszli do mleczarni z wesołym rozgwarem i zasiedli przy stole. Mleczarka, nieufnie patrząc, zbliżyła się oczekując polecenia.

– Kredytu u mnie nie ma... – uprzedziła groźnie na wszelki wypadek. – A łyżeczki policzone!

– Kredytu może nie ma – rzekł Piotr z powagą – ale jeśli kto nie ma pieniędzy, ten może zjeść cztery bułki, a policzą mu za dwie.

Kobiecina spojrzała na niego bystro i zmarszczyła czoło pragnąc sobie przypomnieć, skąd zna tę wesołą i bardzo przyjemną gębę? Nagle nikły uśmiech przebiegł przez jej twarz jak blade widmo słoneczne przez gradową chmurę.

– Aj, to ty! – powiedziała. – Nie przepadłeś?

– Taki nigdy nie przepadnie! – zauważył z głębokim przekonaniem Literat.

– Pana o to nie pytali – mówiła ona. – Słuchaj, chłopcze! Dobrze, że nie zginąłeś, ale cię to nie ominie.

– Czemu, droga pani? – zaśmiał się Piotr.

– Najpierw, nie „droga pani”, a potem dlatego, że w takim towarzystwie jak to nawet najlepszy niedługo będzie wisielcem. A zresztą, co mnie to obchodzi? Macie pieniądze?

– Mamy! mamy! – zaśmieli się wszyscy.

– Niech jeden przynajmniej pokaże. Na gębę każdy milioner!

Piotr zarumienił się i rzekł:

– To są moi goście. Czy pani mi nie wierzy?

– Tobie wierzę – powiedziała mleczarka. – Czego chcecie? Wódki nie ma.

Piotr zamówił podwieczorek, a gdy odeszła, powiedział cicho.

– Dobra kobiecina, tylko udaje taką, co zjada ludzi na surowo.

– Ale ja się z nią nie ożenię – rzekł Literat ponuro.

– Za to ja się ożenię! – zawołał Piotr Wielki. – Za twoją sprawą, Piotrusiu. Czy pamiętasz ten list, który mi napisałeś? Moja narzeczona w Warszawie płakała przez trzy dni i przez trzy noce. Cudownie to napisałeś!

– Cieszę się, bardzo się cieszę! – rzekł Piotr gorąco. – Kawa jedzie!

– Kawa, ale nie dla wszystkich – mówiła mleczarka groźnie. – Prawdziwą kawę będzie pił tylko ten mały, a dla was wystarczy gorąca smoła. Więcej w tym cykorii niż kawy... Każdy z was ma tak gębę przepaloną przez wódkę, że nie poczuje. Słuchaj no, chłopcze. A dlaczego ty chcesz płacić za tych dryblasów?

– Bo to moi przyjaciele! – śmiał się Piotr.

– Za te pieniądze można kupić lepszych na wyprzedazy. Hej, panie długi! Dość cukru! Szóstą łyżeczkę bierze... Czy ja mam kopalnię cukru?

Kawa była wyborna i wszystko było wyborne. Wesołych marynarzy bawiła groźna kobiecina, więc jej oświadczyli z powagą, że odtąd sława jej mleczarni zostanie szeroko okrzyczana. A Wójcik dodał:

– A za to, że pani nakarmiła naszego towarzysza Piotrusia, gdy był głodny, prosimy panią, aby na godle było napisane: Mleczarnia pod „Toruniem”. – Ile razy będziemy w Gdyni, tyle razy będziemy tu jedli. Zgoda?

Kobieta nastroszyła się jak sowa i chciała ich porazić wielkim gniewem, ale jakoś jej się to nie udało. Robiła z twarzą rozmaite sztuki, wreszcie jednak zelżała jak lód na słońcu. Sama zdumiona miękkością swojego głosu, rzekła dobrotliwie:

– Mogę wam sprawić ten zaszczyt... Panie długi! Nie pan!... mówię do tego z długą końską gębą... Niech pan weźmie jeszcze trochę cukru. A jeżeli tego chłopca sprowadzicie na złe drogi, to wam ręce i nogi połamię...

– Amen! – rzekł Wójcik z wielką powagą.

XIII

Fregata spała już od dawna po dniu narzekania, że ją drze po kościach. Noc była niespokojna, a wiatr latał z ogromnym łopotem. Przy chwiejnym, bladym świetle dwóch świec siedział w starym fotelu kapitan Baren, a Piotr wprost niego po drugiej stronie stołu. Migotliwy, miękki, pieszczotliwy blask zabarwił zmarszczoną twarz kapitana na kolor starej, żółtej słoniowej kości. W kątach spał mrok, rzadki jak pajęczyna. W izbie było ciepło, przytulnie i cicho. Słowa kapitana padały w nocną ciszę bezszelestnie, jak w stojącą spokojną wodę.

– Musisz, Piotrze, dowiedzieć się o wielu sprawach, które wydają ci się niejasne. Czy chcesz mnie o co zapytać?

– Nie, panie kapitanie.

– Czy nie dziwiło cię to, że nagle, wśród nocy, obcy człowiek rzuca nożem, a potem porywa cię i dręczy?

– Dziwiło mnie, panie kapitanie.

– Ale nie dochodziłeś tej sprawy, chociaż sam wziąłeś w niej udział i to bolesny udział. Zapytałeś jedynie, co oznacza „Oko zorzy”? To dobrze, to bardzo pięknie z twojej strony. Ufałeś mi i słusznie. Wśród ludzi wysokiej kultury pierwszą zasadą współżycia jest unikanie wdzierania się w cudze sprawy i w cudze tajemnice. Nie należy nigdy pytać milczącego, gdyż pytaniem można mu zadać ból. Każdy jest panem swoich tajemnic, a ten, co się wdziera do skrytki w ludzkim sercu, czyni rzecz złą i brzydką. Tak mnie uczono w Anglii w dniach mojej młodości, ciębie zaś tego nikt nie uczył, a postępujesz dobrze. Jestem ci za to wdzięczny, przyjacielu.

Złoty płomień świec musiał błysnąć czerwonym blaskiem, Piotr bowiem poczerwieniał z wielkiego zadowolenia.

– Sam ci teraz o wszystkim opowiem. I o tym, co oznacza „Oko zorzy” i o tym, czego chciał ten człowiek, który cię więził. Jest to zły człowiek...

Kapitan Baren przerwał na chwilę, jak gdyby wpatrywał się w oddalone i we mgłach zatopione wspomnienie, które powoli ku niemu nadpływa. Patrzył przed siebie, przez przesiane światło świec, ale jak gdyby ich nie widział.

– Przed wielu laty – mówił cicho – dowodziłem statkiem krążącym wśród archipelagu na morzach południowych. Podobno miałem dobrą sławę. Ludzie są łaskawi... Mogłem zająć stokroć lepsze stanowisko na każdym wielkim okręcie oceanicznym, kochałem jednak swoją włóczęgę po tych morzach groźnych i prześlicznych, z których wyspy wyrastają jak ogrody...

– Znam te strony – przerwał cichutko Piotr.

– Znasz te strony? – zdumiał się kapitan. – Jakże to? Ach! – zaśmiał się łagodnym śmiechem. – Prawda, że czytałeś książki o morzu! Łatwa i tania podróż. Mnie ona jednak zmęczyła, nawet bardzo zmęczyła, chociaż należałem do szczęśliwych dowódców. Więcej jednak pożarłem w owym czasie chininy niż chleba, gdyż febra mną trzęsła. Domeczył mnie cyklon, gonący za mną przez tysiąc mil. Ocalałem statek, ale wtedy po raz pierwszy serce we mnie omdlało. Zbyt było znużone. Trzydzieści lat włóczęgi po wodach burzących się z nagłą, nieoczekiwanie, pod słońcem ociekającym roztopionym do białości gorącym, to nieco więcej niż taka sama liczba lat na pływającym pałacu na linii Anglia–Nowy Jork. Powiedziałem więc sobie: – Odpocznij kapitanie. Już jesteś siwy, wiatr cię nadgryzł, a słońce cię usmażyło... – Czy słuchasz, chłopcze? Nie jesteś senny?

– Będę słuchał do białego dnia – szepnął Piotr.

– Zagnano mnie do mizernej wyspiarskiej stolicy, Papeiti. Siedziałem w niej ze dwa tygodnie i wtedy zjawili się u mnie trzej ludzie. Jednym był Perkins, Anglik, dzielny człowiek; drugim cichy, diabelsko mądry Chińczyk. Znałem go dobrze i spotykałem ze sto

razy. Był on handlarzem pereł, jednym z największych i najbogatszych. Człowiek uczciwy, jak każdy chiński kupiec, i niesłuchanie wytworny. Lubilem go bardzo i on mnie lubił. Ci dwaj, Perkins i Li-Fu, przywiedli do mnie młodego, ogromnego marynarza. Nie wiadomo, jakiej był narodowości; Perkins twierdził, że to Fin, agenci mówili, że to Szwed. Mógł być równie dobrze Norwegiem, Duńczykiem albo Niemcem, Bóg to raczy wiedzieć. Nie wiem tego do dzisiaj. Zdaje się, że on nie miał ojczyzny, a żadna nie byłaby o niego walczyła.

– To tamten? – zapytał Piotr.

– Tak, to „nasz” marynarz. Nie chciałem obrażać żadnego uczciwego narodu niepewnym twierdzeniem, że on do niego należy. Teraz wiem, że przebywa w Finlandii, co niczego nie dowodzi. Zapewne pragnął być blisko mnie, a tam jest mu najwygodniej albo najbezpieczniej. Wtedy włączył się od wyspy do wyspy, od faktorii do faktorii, lecz nikt niczego dokładnie o nim nie wiedział. – „Kto to taki”? – zapytałem Chińczyka. – „Marynarz” – odrzekł mi. – „Ptak morza, mewa. Spojrzenie ma złe, ale on coś wie”. – Przedstawił się nazwiskiem jakby holenderskim, dziwnie nie pasującym do jego jasnowłosej głowy. – „Nazywam się Wayden” – rzekł krótko. Owej chwili zaczęła się historia zła i smutna.

Kapitan umilkł, jakby przykre wspomnienie zbyt szorstko dotknęło jego serca. Potarł czoło i zaczął opowiadać ustęp z awanturycznej powieści, jak gdyby jednej z tych, które należały do biblioteki młodzieńczej Piotra.

We czterech poszli do jedyne go hotelu Papeiti. Perkins wynalazł odosobniony kąpielnię na dusznej werandzie i kazał podać chłodzące napoje.

– Dla mnie wódki – rzekł Wayden szorstko w wyspiarskim narzeczu, znanym tam każdemu.

– Może być wódka – odrzekł Anglik.

Li-Fu zmrużył z niesmakiem oczy i przyglądał się pilnie swoim wypielegnowanym paznokciom. Kapitan Baren milczał długo, wreszcie rzekł porywczo:

– O co idzie?

– Kapitanie Baren – odpowiedział cicho Perkins. – Ten człowiek odkrył dziewiczy atol.

– Gdzie to jest? – zapytał Baren zwróciwszy się do ogromnego marynarza po angielsku.

Marynarz mruknął jakieś słowo w niezrozumiałym języku.

– On nie umie po angielsku – objaśnił Perkins.

– A jakim językiem on gada?

– Nikt nie wie, jaki jest jego język ojczysty, ale rozumie narzecze mórza południowych i wcale dobrze mówi po niemiecku. Wiem, że pan zna język niemiecki, ja go znam również, a Chińczyk studiował w Berlinie. Mówmy tym językiem.

Odtąd rozmawiano i po angielsku, i po niemiecku.

Baren powtórzył swoje pytanie:

– Gdzie jest ten atol?

Marynarz uśmiechnął się niemile drwiącym uśmiechem i zapytał:

– Czy pan chce kupić perły za darmo, kapitanie?

– Jakie perły?

– Ten człowiek twierdzi – wmieszał się Chińczyk do rozmowy, skłoniwszy się lekko obecnym – że w miejscu przez niego odkrytym istnieją perłowe złoża. Pragnie, oczywiście, sprzedać swoją tajemnicę.

– Ja jej nie kupię! – mówił Baren.

– Oni kupią – zaśmiał się marynarz. – Li-Fu kupi, bo to jego interes. I Perkins kupi, bo jest dobrym kupcem. Pana nikt nie zmusza – dodał z wyraźną niechęcią.

Waydenowi nie podobało się otwarte, jasne spojrzenie kapitana.

– Istotnie – rzekł Perkins. – My chcemy kupić wiadomość, tylko ten dżentelmen stawia zbyt wygórowane warunki, ale o tym pomówimy. Pana chcemy prosić, drogi kapitanie, aby nas pan tam zawiózł.

– Każdy was tam zawiezie...

– Oczywiście, ale my nie chcemy byle kogo. Pan jest, nikogo nie obrażając, najuczciwszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek pływał po tych wodach.

– Proszę nie przesadzać – mruknął Baren.

– Przesada jest kwiatem poezji – rzekł słodko Li-Fu. – Mówiąc zaś językiem szorstkim i pospolitym jest to wielki interes, a my nie pragniemy mieć nikczemnych współników. Pragniemy jedynie pana. Pan potrafi utrzymać tajemnicę nawet na tych morzach, na których muszla gada do muszli, a palma powtarza plotki palmie. To jest gadatliwa strona świata. Czy nie obraziłem pana zbyt długą i nierozumną mową?

Kapitan Baren uśmiechnął się, bardzo bowiem lubił Chińczyka. Spojrzał uważnie na szczerą twarz Anglika, potem przyjrzał się uważnie tajemniczemu marynarzowi.

– Czego żąda ten człowiek? – zapytał ostro.

– Czwartej części miesięcznego połowu – odrzekł Perkins.

– Dlaczego czwartej? Jest was trzech.

– Jest nas czterech, panie kapitanie – powiedział Li-Fu z ukłonem. – Oczywiście, jeżeli łaska pańska jest tak niezmierna, że raczy mnie pan uważać za osobę.

– Proszę mi wytłumaczyć jasno całą sprawę – rzekł Baren.

– Jest ona jasna – mówił Anglik. – Pan Wayden pragnie spisać formalną umowę. Ma być tak: Li-Fu i ja finansujemy całą wyprawę, pan nas powiezie, a on wskaże dokładne położenie atolu. Będziemy pracowali przez miesiąc, a do każdego z nas należy jeden tydzień połowu.

– W jakim porządku?

– O tym rozstrzygnie losowanie. Co kto zdobędzie w swoim tygodniu, to będzie jego.

Kapitan Baren wzruszył ramionami.

– Jakże to? Pan się zgadza na przypadek, panie Wayden?

– Zgadzam się. Czy panu to się nie podoba?

– A jeśli pan nie znajdzie nic?

Wayden spojrział na niego przenikliwie i z lekka się uśmiechnął.

– Niemożliwe – odpowiedział krótko.

– Pan Wayden – wtrącił Chińczyk – jest dobrej myśli, co jest przywilejem kwitnącej młodości. Nadzieja jego jest różowa jak perły.

– A jakiej myśli są panowie?

– Moja starość nie ma niczego do stracenia, a pan Perkins szukał tak długo nadaremnie, że wreszcie pragnie coś znaleźć. Cóż mówi pański świetny rozum, przed którym padam na kolana i biję czołem o ziemię?

– Mój rozum mówi – rzekł Baren powoli – że jeżeli pan Wayden zna tajemniczą wyspę, znają ją zapewne i inni. Przecie pan nie był tam sam?

Olbrzymi marynarz zastanowił się przez chwilę, potem odpowiedział:

– Byli tacy, którzy wiedzieli i byliby tam popłynęli, ale szkuner zatonął. Ocalał tylko jeden człowiek, od którego kupiłem wiadomość. Ale i ten już nie żyje – dodał ze złym uśmiechem.

– Widzę, że sama śmierć strzeże tajemnicy. Smutna to tajemnica, jeśli umiera każdy, co ją zna. Panów to nie trwoży?

Perkins uśmiechnął się drwiąco, a Chińczyk rzekł z powagą:

– Śmierć jest jak tygrys: najedzony nie napada. Korzystajmy z chwili jego obżartej senności. Czy pan kapitan poprowadzi statek?

– Namyśle się – rzekł Baren. – Do jutra.

W tej chwili Wayden spojrział mu prosto w oczy.

– Panie kapitanie! Rozumie się, że pan przyrzeka tajemnicę?

– A cóż ja wiem, abym miał przyrzekać tajemnicę?

– Już pan coś wie. Potem pan będzie wiedział wiele.

– Nie tylko ja – odrzekł kapitan zniecierpliwiony. – Będziemy mieli załogę i nurków...

Wayden zmrużył oczy i machnął lekceważąco ręką. Zła to była wróżba dla tych ludzi.

Ach, tak? – pomyślał kapitan.

Perkins pozostał w hotelu z marynarzem, a Chińczyk odprowadzał kapitana.

– Kto to jest ten Wayden? – zapytał kapitan.

– Morze rodzi złote ryby i rekiny – odrzekł zadumany Li-Fu. – Na pustyni są lwy, ale są i szakale.

– Nie podoba mi się ten człowiek.

– Pański dobry smak zachwyca mnie, kapitanie. Będzie on tylko przewodnikiem trzech ludzi uczciwych i zostanie zapłacony. Niech pan przystąpi do tej sprawy, aby uradować moje stare, robaczywe serce, gdyż bez pana nie pojedę. Może się pan wzbogaci, kapitanie? Do moich niegodnych uszu doszły słuchy, że po trzydziestu latach pracy dorobił się pan jedynie srebra na czcigodnej głowie. Będzie pan mógł na starość powrócić tam, dokąd tęskni pańska dusza, podobna do rozkwitłej gałęzi.

– Co pan wie o mojej duszy? – zapytał zdumiony kapitan. – Skąd?

– Pańska dusza wygląda przez pańskie nadobne oczy, jak człowiek przez szyby okienka. Pan zawsze patrzy w tę stronę, w której znajduje się pańska urocza ojczyzna. Ja pana rozumiem, bo ja też patrzę zawsze w ową stronę, gdzie jest moja ojczyzna. Jeśli pozwoliłem sobie powiedzieć rzecz niesłuszną, niech mnie pan zdepce jak robaka.

– Pan jest uczciwym i zacnym człowiekiem, Li-Fu! – rzekł cicho kapitan.

Rozwagał tę sprawę przez całą noc. Słowa Chińczyka wydały mu się rozsądne. Istotnie, jest niemal biedny i zmęczony, bo nie ma w sobie drapieżności rabującej ciche wyspy i naiwnych dzikusów. Pochodzi z innego świata, nie ma duszy twardej, zaborczej, zachłannej duszy korsarza. Pochodzi z kraju, w którym słońce nie zabija, ani nie mąci zmysłów. Tam pragnie odpocząć. Do tego kraju pragnie wrócić, lecz nie z pustymi rękami, aby objadać innych. Trzeba spróbować. Sprawa jest uczciwa, chociaż namawia do niej człowiek, do którego poczuł od razu gwałtowną niechęć. Jakiś szakal morza. Otrzyma jednak swoją część i odejdzie.

Kapitan zjawił się nazajutrz na zebraniu i rzekł krótko:

– Zgadza się!

– Dusza moja śpiewa z radości jak słowik – powiedział ze słodyczą Li-Fu.

Po upływie miesiąca, pożegnawszy się z załogą dowodzonego przez niego okrętu, wolny od wszelkich zobowiązań, rozpoczął gwałtowne przygotowania do dalekiej, ostatniej wyprawy. Naradzał się jedynie z Perkinsem, który miał załatwić kwestie prawne, i z Li-Fu, z Waydenem nie zamienił słowa. Byłoby to zresztą dość trudne, marynarz bowiem ustawicznie pił samotnie. Spotkali się dopiero na wybornym szkunerze, obsługiwanym przez nieliczną załogę.

– Teraz dokąd? – zapytał oschłym głosem kapitan.

– Powiem na morzu – odrzekł Wayden. – Płynmy na wschód.

Kapitan wzruszył ramionami. Świat był cudownie bogaty i tak kolorowy, że jego barwami można by pomalować wszystką szarość ziemi. Li-Fu patrzył zachwycony.

– Człowiek jest głupi – mówił cicho do kapitana. – Jedziemy szukać pereł... Niech pan spojrzy: całe niebo jest wyszywane perłami. Czy we wszystkich morzach jest razem tyle pereł, ile ich jest na tej jednej chmurze?

Na pokładzie zjawił się Wayden. Spojrzał na zegarek, potem zaczął powoli grzebać w skórzanym woreczku, ukrytym na szerokiej piersi; wydobył zatłuszczoną kartkę twardego papieru, którą wręczył kapitanowi.

– Szerokość i długość! – mruknął.

Kapitan odczytał cyfry i schował kartkę do kieszeni.

– Dobrze! – rzekł.

Podróż była ciężka i niebezpieczna; czas był zły. Szóstego dnia zwałił się na nich cyklon o

przerażliwej sile. Żeglarska świetność kapitana ocaliła szkuner i ludzi.

– Tej nocy – mówił kwiecicie Li-Fu ogromnie znudzony, lecz już uśmiechnięty – obdarzył pan moje dzieci życiem ich niegodnego ojca, co kupuje perły za ich łzy. Jeszcze za lat dziesięć tysięcy będą one stroiły kwiatami pański wizerunek. Podróż nasza dłuży się jak dzień nieszczęśliwy. Czy daleko jeszcze?

– Jeśli ten człowiek nie kłamie, jesteście blisko. Jednego dnia o świtaniu ukazała się na wodach wysepka, jak olbrzymi żółw ledwie wychylony nad ich powierzchnię. Wał atolu otaczał ją kręgiem, jak szczerbaty niski mur otacza twierdzę.

– Wejście jest z południowej strony – rzekł Wayden. – Na wprost palm. Wąskie jest i niebezpieczne.

– Jak szerokie?

– Nie wiem. Podobno dwieście sążni, może trochę więcej.

Kierując się niezawodnym instynktem kapitan Baren manewrował długo, zanim się ważył na przejście przez te niebezpieczne drzwi. Sam stał przy sterze, błądy i skupiony. Mówił do siebie nieznanym językiem, jak gdyby się zachęcał. Miedziane dno statku zgrzytnęło chrapliwie, kapitan wparł się pierściami w sterowe koło i przeszedł.

Li-Fu spojrzał na niego z zachwytem.

– Morze kocha pana – rzekł uprzejmie. – Nikczemny Li-Fu kocha pana też.

Kapitan ocierał pot z czoła strugą spływającą.

Przygotowania do połowu pereł trwały niedługo. Omówiono raz jeszcze dokładnie wszystkie szczegóły umowy. Wtedy Wayden jeszcze jedno uczynił zastrzeżenie.

– Ponieważ wysepka ta należy do mnie, proszę o złożenie przyrzeczenia, że nikt z panów bez mojej wiedzy na nią nie powróci, a pan kapitanie zechce zapomnieć o jej położeniu.

– Nie wrócimy my, odnajdzie ją przypadkiem kto inny – zauważył Chińczyk.

– O to niech pana głowa nie boli, Li-Fu! – odrzekł hardo marynarz. – Skoro się wzbogacę, powrócę tu i tu będę mieszkał.

Tamci trzej porozumieli się po angielsku i dali mu słowo, że tu nie powrócą.

– Nie wrócę, nawet gdyby pan Wayden mnie o to prosił – dodał kapitan Baren.

– Nie będę pana prosił. Proszę ciągnąć losy.

Pierwszy tydzień połowu los wyznaczył dla Waydena, drugi dla kapitana, trzeci dla Li-Fu. Perkins był czwarty. Kapitan Baren pochwycił uradowany blask oczu marynarza.

Cieszy się – pomyślał – gdyż praca nie zmęczonych jeszcze nurków będzie gorliwsza.

Marynarz uradował się jawnie wtedy dopiero, gdy nurkowie oznajmili, że ławica jest mała. Stał nad nimi od rana do nocy, spocony, rozkrzyczany, gwałtowny i natarczywy. Tamci spoglądali na to z niesmakiem. Li-Fu rzekł do kapitana:

– Gdyby rekin posiadał głos, krzyczałby tak jak ów jasnowłosy. Przeszkadza mi on w rozmyślaniu o świętej potędze życia rodzącego się w morzu.

Marynarz zdobył w swoim tygodniu, aż czarnym od śmiertelnego zmęczenia poławiaczy, około trzystu pereł, niezbyt wielkich, lecz foremnych. Zdawało się, że w tym zakątku morze urządziło mały, lecz w pierwszorzędnym towar zaopatrzony sklep jubilerski. Wayden był wyraźnie szczęśliwy i puszył się. Z wielkim zaciekawieniem przyglądał się nowym połowom na rachunek kapitana; bardzo nim byli przejęci również i obaj towarzysze.

– Niech każdy okrucieństwo koralu zmieni się dla pana w perłę! – z życzliwym uśmiechem szepnęła Chińczyk.

Morze jednak, hojne dla Waydena, niechętnie obdarowywało kapitana. Przez pięć dni gromadził on łupy drobne i nieznaczące. Wayden udawał, że jest bardzo zatroskany i tym łapczywiej liczył swoje perły. Szóstego dnia zbudził jego czujność okrzyk Li-Fu:

– Nareszcie coś godnego pańskiego spojrzenia.

Kapitan zdobył perłę prześliczną i wielką, znacznie większą od największych ze zbioru Waydena. Licząc kilkadziesiąt innych świetnych pereł kapitan zdobył mały majątek.

Siódmego zaś dnia zdumienie odebrało wszystkim głos. Wydobyto perłę niebywalej wielkości, mieniającą się jak różowy świt, idealnego kształtu. Zamigotała ona tak cudownie, że Li-Fu, stary handlarz pereł, przymknął oczy z zachwytu.

– „Oko zorzy”! – szepnął, położywszy ją sobie delikatnie na dłoni.

– O, tak, istotnie! Dobrze ją pan nazwał – rzekł uradowany Perkins. – „Oko zorzy”!

– Ile ona jest warta? – zapytał kapitan nie ukrywając wzruszenia.

Li-Fu przyjrzał się jej i rzekł:

– Nie ma najmniejszej skazy. Widziałem tysiące pereł, lecz takiej jeszcze nie widziałem. Między braćmi warta jest ona sto tysięcy franków, wśród kupców sto pięćdziesiąt tysięcy. Bracia płacą zazwyczaj mniej.

– Ile? – chrapliwym głosem zapytał Wayden.

– Powiedziałem. Sto pięćdziesiąt tysięcy franków. Panie kapitanie! Moja dusza kąpie się w brylantowej rosie zachwytu. Moje serce śpiewa głosem szczęśliwego ptaka. Piękne jest „Oko zorzy”, och, jak piękne! Myślałem, że oczy moich dzieci są najpiękniejsze na świecie, teraz ze wstydem muszę przyznać, że się myliłem. Niech mi pan przebaczy, jeśli nie dość wspaniale uczciłem cudowną pańską perłę, ale nie posiadam poetyckiego daru.

Kapitan uściskał gorąco ręce Chińczyka i Perkinsa. Uszczęśliwiony, zwrócił się z przyjaznym spojrzeniem w stronę Waydena, lecz Wayden odchodził przygnębiony i zamyślony.

Jak gdyby teraz dotarto do najbogatszego złoza małżów, wydzierano morzu bogate klejnoty, perły najbardziej różowe, najpiękniejsze jego łzy. Wspaniały połów przypadł w udziale Chińczykowi, gromadzącemu perły bez żadnej oznaki wzruszenia. Raz tylko radośniej błysnęły jego czarne oczy, gdy znalazł perłę wspaniałą.

– Moje nieszczęśliwe dzieci, mające niegodnego ojca, będą bogatsze o pięćdziesiąt tysięcy franków – rzekł swoim cichym głosem.

Wieczorem zbliżył się nieznacznie do Barena i szepnął:

– Na duszę marynarza Waydena padł zimny i czarny cień. Niech pan strzeże swojej perły, kapitanie!

– Chciałem panu powiedzieć to samo – odszepnął Baren.

Marynarz nie mógł ukryć wściekłości. Przestał liczyć swoje perły, jak gdyby mu się nagle wydały nikczemnym łupem. Godzinami przesiadywał samotnie, chmurnie zadumany. Był blady i nie mógł powstrzymać drżenia ust.

– Jak długo jeszcze potrwa ta zabawa? – zagadnął nagle Chińczyka.

– Tydzień jeszcze, tydzień Perkinsa – odrzekł cierpko Li-Fu. – Przecie pan wie o tym.

– Podział jest niesprawiedliwy – mruknął marynarz patrząc na niego bystro.

– Czemu niesprawiedliwy? Sam pan zaproponował, podpisał pan umowę.

– Dobrze. Mam prośbę, panie Li-Fu. Niech pan powie kapitanowi, że za „Oko zorzy” dam mu sto pięćdziesiąt moich pereł.

– Niech mu pan to powie sam!

– Nie chcę. Czy pan powie?

– Owszem. Powiem kapitanowi, aby swojej perły nie oddawał panu nawet za pańskie trzysta. Wszystkie pańskie perły nie są warte jednej części „Oka zorzy”.

– Tak pan mu powie? Ty żółty psie! – krzyknął marynarz zduszonym głosem.

Li-Fu zwęził oczy w małe szpareczki i włożywszy prawą rękę do kieszeni powiedział cicho:

– Będzie mi niewymownie przykro, jeśli będę musiał roztrzaskać pańską głowę. Niech mi pan raczy tego oszczędzić, gdyż serce moje jest miękkie i wzrusza się byle czym.

Tego wieczoru szepnął w ucho kapitanowi:

– Szakał jest już tknięty wściekliwością.

– Wiem o tym. Co mamy robić, Li-Fu? Ubiegłej nocy zbudził mnie szmer; udawałem, że

śpię. Czuję rękę wsuwającą się jak wąż pod poduszkę, gdzie ukryłem woreczek z irchy. Nie mogłem krzyknąć, bo widziałem nad sobą błysk noża. Rano już nie było woreczka.

Chińczyk uśmiechnął się spokojnie.

– Szkoda woreczka, gdyż jest to przedmiot miły i miękki. Czy w woreczku był piasek, czy odłamek koralowca?

– Coś bardziej osobliwego, bo okrągłe pigułki przeczyszczające.

– A „Oko zorzy”?

– Na stole, w pudełku zapalek – szepnął wesoło Baren.

– Bogowie dali panu wielką mądrość. Tysiącletni zółw nie posiada jej więcej. Opowiem dzieciom tę zabawną historię, aby uradować ich serduszka niewinne jak kwiaty. Niech się pan jednak strzeże, drogi kapitanie, niech się pan bardzo strzeże. A teraz niech pan spojrzy, jak morze złociście się łuszczy, zupełnie jak śpiący smok.

Perkins, który nigdy niczego nie mógł znaleźć, nie znalazł niczego i tym razem. Wzruszał ramionami i uśmiechał się.

– Latające ryby musiały powiedzieć duchowi morza, że jest pan człowiekiem bardzo bogatym – pocieszał go uprzejmie Li-Fu.

Pozostały dwa dni jeszcze do pełnego miesiąca.

Podczas południowego odpoczynku zbliżył się Wayden i zaczął mówić długo i szeroko, wreszcie wydobył z gęstwiny słów właściwy cel przemówienia.

– Proszę, aby tu zostać jeszcze przez miesiąc.

– Nie! – odrzekł krótko Baren. – Nie mamy co jeść.

– Niech szkuner pójdzie po żywność.

– Szkuner może nie wrócić. Za dwa dni odpływamy.

Wayden spojrział na niego z nienawiścią.

– Jak się panu podoba! – rzekł ponuro.

Tej nocy kapitan nie zmrugnął oka. Czuwał pochylony nad książką, ostrożny i nasłuchujący. Około północy złowił uchem stapanie bosych nóg po pokładzie.

– Kto tam? – krzyknął donośnie.

Wszystkie szelesty z nagła ucichły; słychać było jedynie senne, pełne słodczy gadanie morza.

Jasnowłósy upiór – pomyślał kapitan z odrazą.

Zaczął znowu czytać, po godzinie jednak poczuł niepokój. Trzeba ostrzec Chińczyka. Ujął rewolwer, rzucił spojrzenie w tę stronę, w której ukryte było „Oko zorzy”, i już się zwrócił ku drzwiom, gdy nagle krzyk ostry jak nóż wbił się w ciemność. Jednym skokiem cisnął się Baren na pokład biegnąc ku kajucie Li-Fu. W tej chwili wpadł na jakąś postać i zetknął się z nią tak gwałtownie, że postać potoczyła się w jedną stronę, a on w drugą.

– Stać, bo będę strzelał! – krzyknął zdławionym głosem.

– Nie strzelać, tu Perkins! – mówił zdyszczanym głosem Anglik. – Co się stało? Kto krzyczał?

– Pewnie Li-Fu!

Pobiegli obaj i wpadli do kajuty Chińczyka.

– Prędko, światło!

Perkins powrócił po upływie minuty z latarnią.

– O, Boże! – szepnął Baren.

Li-Fu leżał na podłodze w kałuży krwi.

– Zabity! – krzyknął Perkins. Baren pochylił się, dźwignął na łóżko ciało Chińczyka i przyłożył rękę do jego serca.

– Żyje... – rzekł z ulgą. – Proszę, aby pan wziął rewolwer, zbudził załogę i zatrzymał Waydena.

– To Wayden?

– A kto? Niech się pan spieszy, ja go opatrzę.

Z wyborną wprawą, przez długie lata nabytą, zajął się rannym. Li-Fu musiał się bronić rozpaczliwie i osłabiać gwałtownymi ruchami ciosy noża; temu zawdzięczając i ciemności otrzymał jedynie dwie rany niezbyt głębokie, choć bardzo krwawiące. Ostry ból przy dotknięciu Barena ocucił Chińczyka. Ujrzawszy pochyloną nad sobą zatroskaną twarz szepnął cichutko:

– Nie jestem godzien, aby pan plamił sobie ręce moją krwią...

– Proszę nie mówić!

– Mogę mówić... Gdy będę o tym opowiadał moim dzieciom, będą płakały... Bardzo wiele będzie hałasu, gdyż mam ich dziewięcioro... Czy ciężko jestem ranny, kapitanie?

– Lekko. Kto to był?

– Nie wiem. Tylko koty widzą w ciemności...

– Wayden?

– Podejrzenia są rzeczą gorszą niż uderzenie nożem... Nie widziałem twarzy i nie słyszałem głosu. Wiem, ale nie wiem.

– A perły? Czy zrabował pańskie perły?

– Niech pan łaskawie potrząśnie tą ciemną pustą butelką porzuconą w kącie. Czy odpowiada panu?

– Tak. Perły są w niej?

– Bystrość pańska zdumiałaby największego mędrca. Wiele nauczyłem się od pana, kapitanie... A więc będę jeszcze chodził po ziemi, która nie może ukryć odrazy, że po niej stąпам.

– Będzie pan zdrow za kilka dni, drogi Li-Fu. Niech pan stara się zasnąć!

– Sen mój będzie różowy jak migdałowe kwiaty, gdyż będę śnił o panu. Co pan zamierza uczynić?

– Zamierzam odnaleźć nóż, a nóż wskaże mi człowieka.

Znaleziono od razu nóż i człowieka. Wayden, osaczony przez Perkinsa i załogę, wył i miotał się jak dziki zwierz. Ciskał w nich plugawe słowa jak grudy błota i chełpił się nieprzytomnie:

– O jednego już mniej, a na was przyjdzie kolej!

– Li-Fu żyje – rzekł spokojnym głosem Baren. – I my też będziemy żyli.

Wściekłość Waydena załamała się, gdy usłyszał, że nie zabił Chińczyka.

Perkins rzekł się ostatniego dnia połowu, jak gdyby i jemu, i wszystkim obrzydły tęczowe perły. Złożono naradę i radzono długo, co uczynić z Waydenem? Perkins radził, aby go oddać w ręce władzy, Baren rozmyślał, a Chińczyk rzekł:

– Cokolwiek z nim uczynicie, uczynicie panowie. Ja nie chcę brać udziału w tej sprawie, gdyż moja krew mogłaby wziąć górę nad moim umysłem, który jest podobny do lampy płonącej równym płomieniem. Nie pragnę zemsty, będącej trującym owocem, zabłąkanym na drzewie mądrości. Ten człowiek był szalony, czyż będziemy karać szaleńców? Czy można karać tygrysa za drapieżność albo węża za jadowitość? W tygrysie mieszka duch obłąkany, a w wężu duch złości.

– Pan niedługo zacznie pisać wiersze, stary Li-Fu! – rzekł Perkins.

– Jest to moim niedościgłym marzeniem, bogowie jednak nie dali skrzydeł żółwiom. Co pan zamyśla, kapitanie Baren?

– Najpierw myślę wypłynąć z tej dziury. Co potem, nie wiem. Słyszycie, jak on krzyczy?

Chińczyk słuchał przez chwilę, po czym rzekł z niesmakiem:

– Nie sądzę, jakoby ten człowiek był dobrego o nas mniemania. Zdaje się, że nas znieważa.

Kapitan Baren z największą trudnością wyprowadził statek przez rozdarcie atolu po trzykrotnych usiłowaniach; zdawało się, że morze nie chce wypuścić ludzi ze skarbami.

Po ośmiu dniach żeglugi wychyły z fal palmowe czuby. Kapitan zebrał wszystkich i oznajmił, że postanowił wypuścić Waydena. Da mu łódź; niech przybije do wyspy, na której znajduje się faktoria i niech potem uczyni, co zechce.

Wayden wysłuchał wyroku patrząc w pokład.

– Dobrze – rzekł – ale nie mam pieniędzy.

– Ma pan perły – odpowiedział cierpko Baren.

– Nie mam ich. Zakopałem na wyspie. Okradliście mnie.

Perkins przyskoczył do niego z zaciśniętymi pięściami.

– Ach, ty...

– Panie Perkins! – nie dał mu dokończyć Li-Fu. – Nieszczęście tego człowieka nie wie, co mówi.

Patrzyli ze zdumieniem, jak z irchowego woreczka na piersi wydobył kilkanaście pereł, a potem z portfela banknoty.

– To dla niego? – pytał zdziwiony Anglik.

– Tak – rzekł Chińczyk. – Wprawdzie rozum mój oburza się na moje serce, ale rozum nie jest najwyższą władzą człowieka.

– Dobrze! – powiedział Baren. – Jest pan zacnym człowiekiem, Li-Fu.

– Niesłuszna pańska uwaga zawstydzła mnie. Ach i pan? Baren dorzucił kilkanaście pereł i banknot, potem zwrócił się do Perkinsa:

– Niech się pan z nas nie śmieje, panie Perkins.

– Bynajmniej. Ja się tylko dziwię. Są ludzie, których nikt nie zrozumie.

Baren zawiązał perły i banknoty w papier i podał je Waydenowi, który wrzucił zawiniątko niedbałym ruchem do kieszeni.

– To są śmiecie – rzekł głucho. – Biorę, bo muszę, ale jeśli pan taki hojny, niech no pan wydobędzie „Oko zorzy”! Nie? Oczywiście, że nie. Wy, łotry plugawe!

Kapitan Baren zbladł, ale ruchem ręki powstrzymał Perkinsa.

– Wayden! – mówił spokojnie i ze wspaniałą powagą. – Zdobyłeś majątek i było ci tego za mało. Chciałeś zamordować człowieka, a my przebaczyliśmy ci zbrodnię. Dajemy ci wolność, perły i pieniądze. Czego chcesz więcej?

– Twojej perły... – twojej perły...

– Sam mówisz, że to moja perła. Dość tego! Niech ci Bóg przebaczy... Zabierzcie go!

– Jeszcze jedno, kapitanie Baren! – krzyknął marynarz. – Pamiętaj, że cię znajdę na końcu świata. Pamiętaj, że „Oko zorzy” musi należeć do mnie. Tego złotego psa też odnajdę, ale ciebie przedtem.

Oni odwrócili się i odeszli, aby nie słuchać. Spuszczono łódź i wepchnięto w nią milczącego marynarza. Ująwszy wiosła, z wściekłością zagarnął nimi wodę.

– Noc odeszła ze statku – rzekł Li-Fu. – Słuchajcie, on coś woła.

Krzycząc rozgłośnie, Wayden z gorączkowym wysiłkiem zawrócił i pędził ku szkunerowi.

– Kartka! Moja kartka! – krzyczał rozpaczliwie.

Baren zmarszczył czoło i wydał rozkaz. Szkuner zaczął łamać fale i gnał naprzód. Łódź pozostała daleko.

– O jakiej kartce mówił ten człowiek? – zapytał Perkins.

– O tej – odrzekł Baren.

Wydobył z portfela kartkę z oznaczeniem szerokości i długości, wedle których należało szukać atolu. Nie patrząc na nią podarł ją w strzępy i cisnął w wodę.

– Wrzucił pan do morza miliony! – szepnął zdumiony Perkins.

– I wszystkie łzy, i krew, i nieszczęścia – dodał ze słodyczą Li-Fu. – Jestem nikiemnym człowiekiem, który tym handluje. Perła jest podobna do łzy, bardzo podobna.

Nagle uśmiechnął się.

– Nikczemność moja jest tak niezmierna jak chiński mur, lecz cóż robić? Moje dzieci

podobne są dziewięciu głodnym wróblom, a nie jest to bajką, że wróbel potrafi zjeść tyle, ile sam waży.

XIV

Piotr słuchał z wypiekami na twarzy. Zapytał wreszcie nieśmiało:

– Jak on odnalazł pana kapitana?

– Szedł moim śladem, dowiadywał się, wypytywał przez całe lata, wędrując z gorących mórz na nasze, chłodne, szare, lecz uczciwe. Nie ma w nim rekinów, a nad nim ludzi żarłocznych jak rekiny. Teraz wiesz już o wszystkim, znasz tego człowieka i będziesz się go wystrzegał, chociaż mam takie uczucie, że już nas zostawi w spokoju. Wszystkie środki ostrożności zostały przewidziane. Na naszym brzegu już się nie pokaże, a zanim odnajdzie mojego przyjaciela Li-Fu wśród czterystu milionów Chińczyków, będzie musiał na to poświęcić dwieście lat. Zgasło dla niego „Oko zorzy”.

Przerwał nagle i zamyślił się. Wpatrzył się w Piotra, zmieniając powoli spojrzenie w uśmiech.

– Jestem dziwakiem, Piotrze... Nie przecz, wiem, że nim jestem. Febry, gorączki, słońce i morze uczyniły mnie osobliwym człowiekiem, ale moje dziwactwa nie uczyniły nikomu krzywdy. Cokolwiek mi się w ostatnich czasach rozum wyprostował, ale niezupełnie. Jeszcze przeto na jedno pozwolę sobie dziwactwo. Widzisz tę świecę, tam na półce? Jest gruba i tak przepojona kurzem, że ma barwę szarą. Podaj mi ją!

Piotr niczemu się nie dziwiąc, przyniósł świecę osadzoną w rozkraczonym żelaznym lichtarzu. Kapitan przyjrzał się jej uważnie, potem rzekł powoli:

– Przyrzeknij mi, że gdy umrę, siódmej nocy po mojej śmierci zapalisz tę świecę. Nie przerywaj! Czy myślisz, że będę żył wiecznie? Masz ją zapalić i trwać przy tym tak długo, aż świeca zgaśnie. Będzie to takie śmieszne uczczenie mojej pamięci... Bardzo cię o to proszę... Jeśli zgaśnie Sama, bez powodu, nie zapalaj jej po raz drugi. Prawda, że to dziwaczna prośba?

– To smutna prośba – szepnął Piotr.

– Przyrzeknij mi. Z całego serca proszę cię, przyrzeknij!

– Przyrzekam świecę – odrzekł Piotr poważnie.

– To dobrze. Postaw teraz świecę tam, gdzie stała przez wiele lat. Pilnuj jej jednak, bo żadna inna, tylko ta świeca ma płonąć na moją pamiątkę. Zapal ją w samotności i pomyśl o śmiesznym człowieku, co tak bardzo kochał morze, że w nim własne serce zatopił. A cokolwiek potem uczynisz, dobrze uczynisz. Głęboko pomyślisz, a szlachetnie uczynisz.

Słowa te poleciały w ciemność nocy tak cicho jak jedwabne ćmy.

Umilkli obaj i rozmyślali. Przez głowę Piotra przeleciała myśl, co się zrodziła z długiej i barwnej opowieści kapitana: co się stało z „Okiem zorzy”?

– Gdyby kapitan chciał, abym wiedział, powiedziałby mi o tym sam – rzekł do owej dręczącej myśli.

Piotr dumny był, że kapitan aż tyle mu powiedział; i o swoim życiu, i o owych wodach gorących, burzliwych i pięknych zdradliwą, zabójczą pięknnością. Może je kiedy ujrzy, może kiedyś aż tam dopłyne? Jakże to się jednak stanie? Mały statek polskiej floty handlowej nie czyni wypraw tak dalekich aż na krańce świata. W tej chwili, jak o tym w całej Polsce wiadomo, po odległych japońskich wodach krąży „Dar Pomorza”, żaglowiec mający jako jedyny ładunek młodość. Chłopcy ze szkoły morskiej oglądają świat! Przyszli polscy żeglarze poznają tajemnice mórz, na które kiedyś zawiodą, po znajomej już drodze, polskie statki. O, Boże, morzami władający! W jaki sposób stać się jednym z tych uczniów, jednym z tej gromadki szczęśliwej?

Gorące, płomienne pragnienie, co cicho i tajemnie wysnuło się z chłopięcego serca, musiało mieć w sobie jakąś magiczną siłę. W kilka dni po nocnej rozmowie z kapitanem przybył w odwiedziny na „Stellę” kapitan „Torunia”.

– Odpływam, więc przyszedłem się pożegnać – rzekł do kapitana.

– Pięknie to z pańskiej strony – odparł kapitan. – Piotrze, zostaw nas samych.

Uprzejme pożegnanie trwało niezwykle długo; obaj marynarze zamknawszy się w izbie Barena, przesiadali tam dwie bite godziny.

– Targują się o twoją duszę – rzekła Fregata do Piotra. – Znowu cię sprzedadzą.

Targi te, wbrew zwyczajom sięgającym czasu Chaldeczyków i Fenicjan, odbywały się w wielkiej ciszy i jeśli kapitan Baren chciał „sprzedać” Piotra, czynił to dziwnie tajemniczo. Wreszcie otwarły się drzwi.

– Piotrze! – zawołał kapitan. – Pójdź no tu!

Piotr, przeczuwając coś niezwykłego, stanął przed nimi drżący od ciekawości.

– Pan kapitan – mówił Baren – uznał, pomimo moich wątpliwości, że jednak powinieneś zostać marynarzem. Podziękuj panu za zbyt górne o tobie mniemanie – mówił niby wesoło, nieudolnie ukrywając wzruszenie.

Piotr podziękował, a kapitan „Torunia” uśmiechał się.

– Aby być dobrym marynarzem – mówił dalej Baren – nie można być głupim. Ty podobno zdradzasz niejake zdolności... Czemu się czerwienisz? Otóż, miły Piotrze, nie będziesz pływał tak sobie, na patatajkę, musisz pływać rozsądnie. Jakichś tam bzdur sam cię nauczyłem, ale z tymi wiadomościami zatopisz każdy statek. Pójdiesz do szkoły! – krzyknęła gromko „Stella”.

– Najpierw ukończysz szkołę średnią – wtrącił łagodnie „Toruń”.

– Potem, jeśli zdasz egzamin dojrzałości, pan kapitan będzie się starał umieścić cię w szkole morskiej.

Piotr chciał krzyknąć z obłąkanej radości, ale nie mógł wydobyć głosu; patrzył jedynie na nich obu wzrokiem tak serdecznym i tak ciepłym, że wszystko im tym spojrzeniem powiedział. Staruszek odwrócił się na moment, a potem mówił z niezwykłą powagą:

– Gdyby mnie zabrakło... słuchaj. Piotrze... Pan kapitan jest szlachetnym człowiekiem... Obiecał mi, że gdyby mnie zabrakło, on mnie zastąpi... Byłeś dla mnie więcej niż synem... Pan kapitan przyrzekł mi, że będzie dla ciebie... że będzie ojcem dla ciebie... Słyszysz, chłopcze?...

– Tak, Piotrze! – rzekł uroczyście kapitan „Torunia”. – Niech Bóg zachowa kapitana Barena jak najdłużej... Lecz w razie potrzeby ja będę zawsze czuwał nad tobą.

Gdy Piotr oszołomiony wszedł, zataczając się, do kuchni Fregaty, kobiecina krzyknęła:

– Co ci się stało? Czemuś taki blady? Dokąd cię wysyłają?

– Na koniec świata, dobra, droga pani Fregato! Och, jaki ja jestem szczęśliwy!

Rzucił się na szyję zdumionej kobiety i ścisnął ją czule. Ona zaś nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać, wybrała płacz, w czym była bardziej zaprawiona i w czym niepospolite zdobyła doświadczenie.

Niezwykłe te historie zostały barwnie opisane w wielu listach, co, jak pocztowe gołębie, poleciały do Warszawy i na niezapomnianą nigdy ulicę Dobrą i do dawnych kolegów. Ulica Dobra czytała je we wzruszonym milczeniu, koledzy zaś, towarzystwo z nieograniczoną nieodpowiedzialnością, z ogromnym rejwachem i wrzaskiem, czym się w pewnym wieku objawia radość.

Piotr rozpoczął przerwana naukę. Skoczył w pracę jak dzielny nurek w wodę. Śpieszył się. Zaciśnął usta i twardo przyrzekł sobie nie zmarnować ani dnia, ani godziny. Łatwą jest każda praca, spełniana z zapalem, jego zaś zapal był tak gorący, że go kapitan Baren musiał miarkować.

– Piotrze, nie pal tak pod maszyną, bo pęknie!

Piotr uśmiechał się, pokazując zdrowe zęby i pracowicie, sumiennie, uczciwie szedł naprzód, krok za krokiem. Przed południem był w szkole, po południu odrabiał lekcje, wieczorem odpoczywał na rozmowie z kapitanem i Fregatą. Zawsze znalazł chwilę, aby pomóc zacnej kobiecie, tak w nim rozkochanej, że jak mówił kapitan, nie mogąc mu ofiarować drugiego kolczyka gotowa sobie oderznąć i dać mu na pamiątkę jedno ucho. Próbowala ona czasem buntować Piotra przeciwko „męczarniom” nauki albo też strzelała z zatrutych strzał w stronę kapitana.

– Innym dobrze! Rano sobie śpią pod ciepłą kołderką, a biedne dziecko musi gnać do szkoły. Śnieg wali, mróz łamie kości, ale co to kogo obchodzi? I po co? Rozumiem, że warto, gdyby chłopiec miał zostać księdzem. Ale marynarzem... Wielka mi sztuka być marynarzem! Znałam jednego, co dziesięć razy opłynął świat, a podpisać się nie umiał, chyba na wodzie. Popatrz na słońce i płynie. Kaczka też umie pływać, a do szkoły nie chodziła. Każda foka lepiej się rozumie na pływaniu niż niejeden kapitan. Ucz się, ucz, a potem się utopisz.

– Piotrze! – mówił kapitan. – Wracając ze szkoły kupisz mi dziesięć naboń takich, jakich się używa na niedźwiedzie. Moja strzelba jest nie nabita i dlatego baby stają się zuchwałe.

Gdy jednak Piotr powrócił rozpromieniony po świetnym złożeniu egzaminu, radość Fregaty objawiła się promieniście. Pyszniła się niepomiernie, raz po raz spoglądając na chłopca z uwielbieniem; potem mu powiedziała cicho na osobności:

– Ucz się, Piotrusiu, ucz... Nie zważaj na to, co ja wygaduję... A pana kapitana jakby kto na sto koni wsadził. On tego nie pokaże, ale ja wiem.

– Ja też wiem! – zaśmiał się Piotr, szczęśliwy. – Czym ja się wam odwdzięczę, złota pani Fregato? – dodał z powagą.

– Więcej uczyniłeś dla biednych starych ludzi, niż sam wiesz o tym – odpowiedziała Fregata. – Patrz, jak słońce świeci!

– Wiosna się zbliża...

Na morzu było coraz więcej światła i złotawych błysków. Przędły się nad nim mgiełki srebrne i powiewne. Czasem ukazała się na niebie różowa chmurka, jak miękki puch, zgubiony przez słońce, wędrującego łabędzia. Powietrzem krążyła słodycz. W zaroślach zapytywał cienkim głosikiem ptak, gdzie jest wiosna, a drugi odpowiadał mu z oddali, że już ją widać ze szczytu wysokiego drzewa. Radość pękała jak paki smoliste na kasztanach, jedne tylko mewy płakały, ale mewy – żebraczki morza – zawsze płaczą. Okrętowe syreny ryczały donośniej niż zwykle, a flagi łopotwały coraz to niecierpliwiej.

Jeden miesiąc zazielenił się, drugi bielił się kwieciście. I morze kwitło pianami jak niezmierna łąka. Zdawało się, że ziemia przegląda się w morzu, a wiosna się w nim odbija.

Kapitan Baren, odprowadziwszy spojrzeniem Piotra idącego do szkoły, siadał w pogodne rano na schodkach wiodących do „Stelli” i patrzył na morze. Siadywał tak przez całe godziny, łagodnie uśmiechnięty. Witał dobrym uśmiechem każdy statek przybywający, żegnał odpływające. Patrzył z szacunkiem na te groźne i żelazne, czarnymi oczami dział lustrujące morze. Czasem wyłowił spojrzeniem biały żagiel i wędrował z nim po wodach; żagiel srebrzył się, puszył wiatrem nadęty i stawał się coraz mniejszy. W innej stronie terkotał zgryźliwie, jakby nadąsany, kuter rybacki wlokąc się ciężko i pracowicie. Wciąż się coś zmieniało na żywym obrazie. Wszystko żyło na nim i w ciągłym było ruchu.

Cichą, niewysłowioną radością cieszyło się serce starego żeglarza. Widział morza niezmiernie, fale wyniosłe i groźne, sięgające nieba; morza bogate, zasypane perłami; takie, w których tysiące wysp tkwiły jak drogocenne kamienie. A teraz to morze szare i malutkie jest mu droższe ponad wszystkie oceany świata. Wygląda ono jak dziecko w jednej koszulini, na które nie można patrzeć bez wzruszenia; dziecko jedyne, przeto tym więcej kochane.

Stary żeglarz spogląda na nie takim zachłannym spojrzeniem, jak gdyby je całe chciał zmieścić w bladych swoich oczach, wypić je, duszę napelnić i nim, i tymi blaskami, co się gonią po wodzie. Ciepłym jej odbłaskiem napelnił źrenice i zamknął oczy: teraz widzi więcej,

szerzej i dalej; nie tylko to morze, którego szum do niego dochodzi, lecz i to, które się dopiero staje i rośnie, rośnie, rośnie. Widzi, jakie ono będzie, gdy jego już nie będzie. O, jakaż wspaniałość, jaka potęga! Serce jego drży z radości. Cała Polska skłoniła się ku morzu, przysłała ku niemu w nabożnej pielgrzymce, objęła je ramionami; cały trud i ciężka praca narodu toczy się ku wielkim wodom; cała Polska ciska w odmęt głazy olbrzymie, granity wiecznotrwale, całe lasy dębowych pni wbija w jego dno. Jaki ruch, jakie życie! Tysiące statków tłoczy się w ogromnym porcie, dymy z kominów snują się jak ogromne czarne chmury. Stu językami gada port, ludzie z całego świata krążą po jego tysiącnych odnogach, po mieście Gdyni, wielkim, bogatym, na wszystkich wzgórzach rozsiadłym. Brama Polski na świat jest niezmierną bramą, jej łukiem triumfalnym, zdumiewającym, niewzruszonym i tak wspaniałym, że jego fundamenty całuje morze ujarzmione, zachwycone i na wieki wieków wierne.

Kapitan Baren wyciągnął ręce do swojego widzenia, do marzenia, które już się obleka w ciało, a teraz trzeba je tylko nasycić krwią, aby rosło nieskończenie. Tak będzie! Tak będzie! Niech tylko prą ku temu morzu, które czeka. Niech idą ławą przeciwko fali, aby ją poskromić jak dzikiego konia i kazać mu nieść ciężary. Niech się skrzykną i niech się zwołują jednym hasłem: „Morze! Morze!”

O, gdyby stary żeglarz mógł wszystkich nauczyć tak kochać morze, jak on je kocha!

Powiał wiatr i musnął jego zoraną twarz, wiatr rzeźwy i dziwnie pachnący.

– Wiatr od morza! – szepnął.

„Wiatr od morza”... Gdzie on słyszał te proste, a takie grzmiące słowa? Ach, jest taka książka, wśród wspaniałych najwspanialsza, wśród mądrych najmędrza. Jak tamten Polak, Korzeniowski, wydobył z dna oceanu jego zimne serce, tak ten drugi Polak, Żeromski, chwycił w locie za rozwiane włosy duszę wiatru, co się na polskim morzu rodzi. Kazał mu wiać przez rozległe, niskie, zadumane polskie ziemie i krzyczeć rozzwierającymi głosami: „Na morze! na morze! Tam rośnie potęga, tam lęgnie się życie, tam jest źródło, co nigdy nie wysycha”.

Gdyby kto opasłym i leniwym głupstwem głupi śmiał rzec, że niepotrzebne jest morze pilnie orzającym Sarmatom, jak to już niejeden rzekł, tą książką trzeba by go ugodzić w serce. Chwała, chwała i tej książce, i temu wiatrowi, co dusze rozpala i woła je na morze.

O, jakże szumi radośnie po wielu latach odnalezione, przygarnięte, umiłowane, żywą radością radosne!

Tak szumi, jak gdyby chciało do snu ukołysać znużone serce. Młode, skrzydlate serca woła na świat rykiem – starym śpiewa łagodnie, pieściwie, kojąco. Fale szeleszczą jak zeschnięte jesienne liście, szemrzą jak noc, gdy nadchodzi. Głosy spokojnego morza pełne są słodyczy. Wiatr je przyniósł aż tu, do tego starego człowieka, a one owinęły się dokoła niego, ogarnęły go miękko i śpiewają mu tak pięknie, że zapadł w zachwycenie, a w zachwyceniu osłabnął. Zatonął w mrocznej ciemności, choć dzień jasny gorzał jak poświęcona świeca. Jest mu dobrze, jest mu niezmiernie dobrze. Płyń na morzu cichym, w samym środku ciszy i płyń bez szelestu jak obłok po niebie. Trwa to długo, długo... Ktoś go jednak woła, ktoś go ciągnie przemocą do brzegu. Trzeba wrócić. Któż to tak woła rozpaczliwie? Czy stało się nieszczęście?

Kapitan Baren budzi się z omdlenia i patrzy dokoła siebie zgasłym wzrokiem tak ciekawie, jakby po raz pierwszy ujrzał świat. Ach, to Piotr odwołał go z oddali.

– Boże! Boże! – mówił chłopiec głosem drżącym od lęku.

– Co się panu stało, panie kapitanie?

Kapitan nie rozumie dobrze słów, więc odpowiedział mu uśmiechem, w którym jeszcze drżało widmo morza. Zaczął przypominać sobie z trudem, gdzie był i skąd powraca? Prawda! Rozmyślał o morzu i chyba usnął.

– Pan jest chory, panie kapitanie! – wołał Piotr.

I on będzie jednym z tych, co na nowo zdobędą morze... – myśli kapitan.

Myśl tę, jasną i radosną odnalazł z wielkim trudem, co go umęczyło, bo się nagle bezwładnie osunął ze schodków.

Piotr krzyknął rozpaczliwie, a jego krzykowi odpowiedziała, jak echo. Fregata. Ujrawszy kapitana bez kropli krwi w twarzy, poczęła drżeć bezsilnie. Rozpacz zalała jej wielkie oczy. Piotr, cisnąwszy książki, opamiętał się i widząc, że Fregata, roztrzęsiona i nieszczęśliwa, nie wie, co począć, podłożył ręce pod lekkie zwiotczone ciało starego człowieka i dźwignął go z wielkim utrudzeniem.

Tak on mnie dźwigał niedawno – pomyślał.

Ułożony na łóżku ocknął się kapitan z głębokiego omdlenia; twarz zabarwiła się różową mgiełką krwi.

– Zdaje mi się, że spałem – szepnął po chwili. – Co ci się stało, dobra Fregato? Gdzie Piotr?

Chłopiec przekonawszy się, że kapitan powrócił do przytomności, wybiegł pędem, aby sprowadzić lekarza. Powrócił z nim szybko i zaniepokojony czekał z Fregatą, uciszając ją od czasu do czasu błagalnym wyrazem twarzy.

– Będzie zdrów, bo się już kłóci z doktorem – szepnęła Fregata.

Kapitan, odzyskawszy siły, tłumaczył lekarzowi natarczywie, że mu nic nie jest i że wszystkie lekarstwa wyrzuci za okno. Lekarz uśmiechał się cierpliwie i badał serce.

– Nadaremnie pan słuca i puka – zrzędził kapitan. – Ja wcale nie mam serca.

Miał je jednak, lecz bardzo już chore; tyle w nim było niedomagań, co w srebrnym odwiecznym zegarku Piotra. Lekarz nakazał Piotrowi, aby starzec zachowywał się najspokojniej i aby mu oszczędzać gwałtownych wzruszeń.

– Nie będzie to zbyt łatwe – mówił. – Stary kapitan naładowany jest dynamitem.

– Czy bardzo jest chory? – pytał Piotr gwałtownym szeptem.

– Lampa dogasa – odrzekł lekarz. – Okręt zawija do portu.

Kapitan czynił Piotrowi gwałtowne wyrzuty, że sprowadził lekarza.

– Jeśli zasnę na słońcu, nie znaczy to, że bym był chory – mrucał. – Jestem chory na wiosenne słońce, a nasze słońce nie czyni nikomu krzywdy. A oni zaraz wołają doktora! Niech sobie zbada Fregatę, a nie mnie!... Nigdy nie czułem się silniejszy!

Bardzo był silny, ale z największą trudnością podnosił się z łóżka, którego nienawidził, twierdząc, że jest to sprzęt dla siedmiu braci śpiących, ale nie dla marynarza. Piotr udawał się codziennie do szkoły z obawą, że w czasie jego nieobecności Fregata nie da sobie rady z kapitanem, jemu bowiem sprzeciwiał się miękko i łagodnie i ulegał czasem rozsądnym perswazjom. Buntował się jednak przeciw kobiecym rządóm i byle tylko Piotr wyszedł z domu, rozpoczynała się wojna. Kończyła ją zazwyczaj chytra dyplomacja Fregaty, która ogłaszała ponuro:

– Dobrze! Niech sobie pan kapitan robi, co zechce... Niech pan wyłazi na dach i patrzy na morze, a Piotr niech potem zapłakuje się po nocach.

– Co ty bredzisz, niedobra kobieto? Dlaczego Piotr ma to uczynić?

– Niby pan kapitan nie wie? Chłopiec ledwie żyje ze zmartwienia, a tak schudł, że wygląda jak własny cień, a wszystko dlatego, że pan nam wszystkim robi na złość. Skoro się ode mnie dowie, że pan znowu łązi po schodach jak taki, co po księżycu chodzi, to tylko ręce załamie i przez cały dzień nie tknie jedzenia.

Kapitan słuchał pilnie i chmurzył się mocno.

– Bo ty, Fregato, plotki robisz, a Piotr wierzy!

Zawezwał ją po godzinie i rzekł pojednawczo:

– Nic nie mów Piotrowi, że byłem dzisiaj na dachu. Już więcej nie pójdę... Czemu się śmiesz, potworna babo? Zobaczmy, co Piotr powie, gdy mu powiem, że się ciebie doprosić nie można, abys mi raczyła przynieść szklanekę wody.

– To nieprawda! – krzyknęła przerażona Fregata.

– Pewnie, że nieprawda, ale ja tak powiem! – mówił kapitan z szatańskim uśmiechem.

Piotr został w ten sposób obwołany dyktatorem domu, do którego powracał zawsze pośpiesznie, wołając już od progu:

– Jak się pan dzisiaj czuje, panie kapitanie?

– Zdrow jestem jak rekin! – cieszył się starzec.

Istotnie zdawało mu się, że jest zdrow, jeśli tylko Piotr był przy nim; wtedy, zapominając o wszystkim, brał młodzieńczy udział w tym wszystkim, co dotyczyło Piotra; wiedział o każdym zdarzeniu w szkole, uczył się niemal z nim razem. Poza tym Piotr pełnił służbę „dziennika portowego” i zdawał kapitanowi sprawę ze wszystkiego, co się dzieje w porcie, jaki statek zawinął, jaki odpływa?

Dzień mijał po dniu, a każdy do innego podobny, jeden tylko rozbłysnął świątecznym blaskiem. Fregata wyłowila go z kalendarza jak srebrną rybę z wody. Ponieważ na „Stelli” jadano skromnie, podejrzaną wydała się niezwykle wystawność obiadu podanego przez Fregatę, równie niezwykle wystrojoną.

– Czy dzisiaj są twoje imieniny, Fregato? – mówił kapitan. – Jeśli tak, to tego wszystkiego do ust nie wezmę.

– Dzisiaj mija rok od przybycia Piotra do tego paskudnego domu! – oznajmiła kobiecina.

Piotr oblał się rumieńcem, a kapitan zakrzyknął uradowany:

– Jesteś najlepszą kobietą, Fregato! Najlepszą, w tym domu oczywiście, bo drugiej tu nie ma na szczęście! Uściskałbym cię, gdybym się nie bał, że się rozlecisz! Ja nie pamiętałem, ty Piotrze, nie pamiętałeś, a ta genialna kobieta...

– Przepraszam pana – przerwała Fregata gwałtownie. – Co to znaczy „genialna”? Jeśli pan chce mnie obrazić, niech pan to uczyni jutro, a nie dziś. Jeszcze nikt dotąd nie považył się o mnie powiedzieć, że jestem genialna.

– Wierzę, wierzę! – śmiał się kapitan.

Śmiała się jednak i Fregata, gdy Piotr ucałował jej uczciwie spracowane ręce.

Przewalił się jeden rok, potem drugi i trzeci. Czas, największy żeglarz, po nieskończoności płynący, odwrócił sterowe koło.

Piotr uczył się niez mordowanie. Odrobił całe zaniedbanie i szybko zmierzał ku końcowi. Kapitan, strzeżony pilnie, zaniechał wszelkich buntów i wieczorami słuchał z zamkniętymi oczami czytania Piotra. Piotr czytał głośno zapiski kronikarskie o tym świadczące, że w duszy polskiej zawsze bulgotała miłość do wielkiej wody oblewającej świat i że posądzanie Polaków o niechęć do żeglowania jest zmyśleniem. Przecież w królewskich dziejach wiele wielkich zamysłów rwało się na świat, a potęga Rzeczypospolitej gorącym spojrzeniem spoglądała na wody z brzegów, co tysiącem dzisiejszych kilometrów ogarniały morze. We wzniosłych sercach zawsze czaiła się tęsknota do żeglowania. Bystro myślący ludzie szukali na morzu dróg handlowych. Na samym początku osiemnastego wieku statki z polską banderą niosły się morzem od Kadyksu ku Indiom. Prot Potocki, roztropny ziemianin, za czasów króla Stanisława Augusta założył kompanię handlową i przez Morze Czarne wywiódł na Morze Śródziemne pięć korabiów z bogactwem polskiej ziemi. W wielu portach widziano wtedy polską banderę. Oglądano ją w Trieście na samym początku dziewiętnastego wieku, kiedy to cny Tadeusz Czacki okręt polski z Odessy wysłał na świat...

Piotr uciszał stopniowo słowa, aż się rozplynęły w ciszy, kapitan bowiem usnął w fotelu. Zdarzało mu się to coraz częściej, a zawsze, obudziwszy się, mówił:

– Wcale nie spałem. Zamyśliłem się tylko...

Jednego dnia ożywił się niesłychanie. Przyniesiono list znaczony wieloma pieczętkami, gdyż przywędrował z daleka i długo krążył po świecie, niez mordowanie szukając kapitana, zanim go odnalazł.

– Piotrze! – wołał uradowany – Li-Fu pisze do mnie, mój przyjaciel Li-Fu!

Szlachetny Chińczyk wybił najpierw wiele pokłonów, a słowa chyliły się jak nadbrzeżne trzciny kołysane wiatrem, po czym oznajmił, że prosi chińskie poselstwo w Warszawie, aby odszukano jego znakomitego przyjaciela, co nie będzie, zapewne, sprawą trudną, gdyż nazwisko kapitana Barena brzmi głośniejsz niż największy gong w największej świątyni.

„...Dziewięcioro nędznych i niegodnych wspomnienia dzieci moich – pisał – wspomina imię pańskie z zachwytem i wtedy na cześć pańską śpiewa dziewięć skowronków. Jeden z nich jest już wprawdzie kupcem, a dwa skowronki wyszły za mąż, lecz zachowały głosy przedziwnie piękne. Serce moje jednak drży w śmiertelnej trwodze, czy pan pamięta moje imię, podobne do krakania czarnej wrony. Któż pamięta robaka widzianego przed dwudziestu laty? Jestem zaś nie tylko robakiem, lecz i zbrodniarzem, który perły tanio od pana kupione sprzedał z ogromnym zyskiem...”

– Doskonale mi zapłacił! – przerwał kapitan. – Co dalej, co dalej?

Piotr czytał:

– „...Jeśli pan mną pogardza z tego powodu, niech pan tym listem owinie zdechłego szczura i zakopie go głęboko w ziemi, aby moja hańba nigdy już na świat nie wyszła. Tym się jedynie pocieszam, że zawsze pan patrzy w promieniste »Oko zorzy«, któremu ja nadałem imię i że bogowie uśmiechają się z radości widząc, jak serce pańskie kwitnie w radości jak w światłości poranka. O sobie nie będę pisał, aby nie wzbudzić w panu obrzydzenia, stałem się bowiem podobny do ogromnej ropuchy, którą znieważam tym porównaniem. Dlatego nie szukam już pereł po dalekich morzach. Czyni to jedynie pan Perkins, lecz musiał zostać zaczarowany jeszcze w kołysce, gdyż dotąd nie znalazł niczego, jeśli nie liczyć puszek po konserwach, przedstawia ona bowiem bogactwo znikome i nie dość godne wzniesłego umysłu pana Perkinsa...”

List znowu zaczął wybijać siedemdziesiąt siedem pokłonów, powtórzonych pracowicie przez dziewięcioro młodych Chińczyków płci obojga, co wedle Pitagorasa dało w sumie siedem tysięcy sześćset dwadzieścia trzy pokłony i tyleż błogosławieństw, z dodatkiem uroczystego zaklęcia, aby kapitan raczył odwiedzić pana Li-Fu, który wtedy oszaleje ze szczęścia.

– Jeśli droga do rajy prowadzi przez Chiny, odwiedzę mego przyjaciela – rzekł wesoło kapitan. – Zaczny Li-Fu! Trzeba mu będzie odpisać, koniecznie trzeba odpisać.

Przez kilka dni raz po raz brał do rąk ten list i z wielką przyjemnością mówił o grzecznym Chińczyku. Nagle jak gdyby zapomniał o wszystkim. Wpadł w odrętwienie i przez długie godziny siadywał milczący i zadumany. Wzrok mu się wtedy jedynie rozjaśniał, kiedy wodził spojrzeniem za Piotrem, poważnym i skupionym. Chłopiec rozumiał, że zbliża się chwila tragiczna zgaśnięcia lampy i że żaden lekarz na świecie przeszkodzić temu nie zdoła. Czuwał nad kapitanem jak najlepszy syn; zdawało się, że za włosy wyciąga uśmiech ze swego zasmuconego serca, by móc okazać kapitanowi twarz beztroską. Życie Piotra zaczęło tężeć, poważnieć, dojrzewać w zetknięciu z cierpieniem. Był bardzo znużony czuwaniem, lecz pilnie gromadził siły, aby być gotowym na każde zawołanie. Nieruchomy, osowiały kapitan nikogo jednak nie wołał. Zapadł w milczenie, obrastał nim jak dąb siwym mchem obrasta. Wielkie przeto zdumienie ogarnęło i jego, i Fregatę, gdy kapitan jednego wieczoru ożywił się niespodzianie. Oczy jego rozblęły dziwnym blaskiem. Spojrzał bardzo przytomnie na okno wysrebrzone księżycowym blaskiem.

– Czy to księżyc świeci, Piotrusiu? – zapytał cicho.

– Tak, panie kapitanie.

– Wyprowadźcie mnie na powietrze.

– Ależ, panie kapitanie...

Kapitan uśmiechnął się tak łagodnie jak dziecko.

– Pragnę zobaczyć morze – prosił niemalże pokornie.

– Noc jest ciepła – szepnęła Fregata. – Zróbmy, o co prosi.

Podtrzymując go z dwóch stron, usadowili go na fotelu przed domem. Noc była wiosenna, pachnąca i bardzo jasna. Księżyc, najpiękniejszy okręt świata, wędrował po morzu srebrząc na nim szeroki gościniec; wody, senne i ciche, pieściły się blaskiem.

– Jak pięknie... jak cudownie pięknie... – szeptał kapitan.

Oni milczeli, stojąc po obu jego stronach: zgięta wpół staruszka i Piotr, wysmukły, nieruchomy jak posąg.

– Widzę okręt! – szeptał kapitan.

– Tak... – odrzekł cicho Piotr, chociaż nie było widać żadnego okrętu.

Było tak cicho, że zdawało się, jakoby słycać było jedwabisty szelest księżycowego światła rozlewającego się po wodach. Piotr spojrzał na kapitana. Na starej twarzy drżało zachwycenie, niezemska radość.

Po długiej chwili szepnął kapitan tak cicho, że się nachylili oboje, aby złowić ten szept:

– Bardzo... bardzo was kocham... I ciebie. Fregato... I ciebie Piotrusiu... Jeśli byłem zły... jeśli byłem przykry... przebaczcie mi...

Cichy szloch Fregaty odpowiedział staremu człowiekowi, że i ona go kocha z całego serca. Piotr bez słowa położył swoją rękę na jego rękę. Poczuł, że ta rękę jest zziębnięta, więc powiedział zaniepokojony:

– Trzeba wracać, panie kapitanie...

Kapitan nie odpowiedział; wpatrzył się w morze jak oczarowany, z taką miłością i z takim zachwytem, jak gdyby działa się na nim jakieś sprawy tajemne, niewysłowionej piękności, objawione w tej chwili tylko jego oczom.

– Morze... morze... – szepnął i jak gdyby to słowo, nalane potęgą, szumem, ogromem życia, wspaniałością barw, a teraz ciężkim srebrem ciszy, wypilo z niego ostatnią kroplę krwi, z nagłą pochylił głowę na piersi.

– Pani Fregato! – krzyknął zdławionym głosem Piotr.

Ona spojrzała w twarz kapitana, na której stęzał promienisty zachwyty.

– Jezus, Maria! – szepnęła w przerażeniu.

Z wielkim płaczem przypadła do jego rąk i całowała je oblewając łzami. Piotr zaś patrzył w jasną jego twarz struchlały, lecz poważny wobec wzniosłej dostojności śmierci. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, zaczął nasłuchiwać, zdawało mu się bowiem, że morze zapłakało cichym, srebrnym płaczem.

XV

Siódmego dnia po śmierci kapitana Barena zamknął się Piotr w jego izbie. Fregata spała pod opieką córki Modlewiczów, sprowadzonej do pomocy staruszce. Noc była późna, duszna i gorąca; mroczna cisza przyskała czasem jak cienki lód, pękała z nagłym trzaskiem, nieoczekiwanym szmerem i tajemniczym, ledwie słyszalnym dźwiękiem.

Piotr miał spełnić osobliwą prośbę kapitana. Przez dni siedem pamiętał o niej, przypominając sobie każde jego słowo jasno i wyraziście. Dzisiaj nadeszła pora na odprawienie tego dziwaczego nabożeństwa pośród nocnej ciszy. Zapalił świecę, usiadł przy stole i wpatrzył się w jej żółty płomień lekko się chwiejący; blask rozlał się po izbie jak złocisty płyn. Ucichły wszystkie trzaski i szepty nocy, żyjące jedynie w ciemności. Uczyniło się tak cicho, że Piotr słyszał miarowe uderzenia serca. Spokojnie, bez próżnej trwogi, co się zwykle sączy pod darnią nocy, jak ukryty pod ziemią strumień, rozmyślał o kapitanie, o dziwnym człowieku i o szlachetnym człowieku, co przewędrował wiele, wiele razy dookoła świata, wlokąc za sobą brzemię, z którym był skuty: wspomnienie gorące swojej ziemi; co nie obejrzał się nawet na wszystkie wspaniałości tęczami owite, strojne w pióropusze palm i

bezcenne koronki morskich pian, lecz zasłyszawszy o polskim morzu, poszedł ku niemu. Umarł z jego widokiem na oczach, z jego imieniem na ustach. Tak bardzo kochał to morze, że poczuwszy zbliżanie się śmierci uprosił ją o chwilę zwłoki, aby mógł je pożegnać.

Świeca płonie równo złotym płomieniem.

Jak cię ucieszyć, cudowna duszo? – rozmyślał Piotr. – Chyba przysięga, że będę to morze miłował jak ty... Że mu się oddam na życie całe i będę zabiegał o jego łaskę... Że będę żołnierzem w służbie morza... Już wiem, jak wygląda jego twarz, nie znam jeszcze jego serca, które oddycha burzą i potęgą.

W tej chwili wydało się Piotrowi, że w złocistym uśmiechu świecy rozpoznaje dobry uśmiech starego człowieka.

Minęła jedna godzina, potem druga, idąca niezmordowanie we wschodnią stronę. Świeca dopaliła się do połowy, a za jakieś dwie godziny płomień strawi ją do końca. Nie minęły jednak minuty, gdy coś się z nią zaczęło dziać. Błyskała mocniej, płomień zatrzepotał, zachwiał się i nagle zagasnął, jak gdyby noc, której spać nie dawała, położyła na niej swoją rękę. Ciemność rozlała się nieoczekiwanie. Piotr poczuł lęk. Kapitan zapowiedział, że świeca może zagasnąć, jak jednak mógł to przewidzieć? Tej świecy już zapalić nie wolno. Drżącą ręką Piotr zapalił lampę i bacznie zaczął przyglądać się świecy; włóknista jej osnowa, co powinna sięgać aż do jej dna, skończyła się w jej połowie – dlaczego? Musiała zgasnąć, gdyż coś stanęło na drodze płomienia. Piotr ujął ją w ręce i ostrym przedmiotem począł grzebać w jej tłustym cieple. Coś w nim tkwi, co jest okrągłe i twarde. Wygrzebał metalową kulkę, dość pokaźną, opatrzoną malutkim zatrzaskiem; obejrzał ją ciekawie i otworzył. Ach! Jak jądro w łupinie orzecha, tkwiła w niej cudowna, ogromna, tysiącem drżących blasków grająca perła.

– „Oko zorzy”! – szepnął Piotr.

Tej perły szukał marynarz, ją nazwał pięknym imieniem Li-Fu, a kapitan Baren ukrył tak naiwnie i tak zarazem przemyślnie. Gdyby Wayden zdołał się być wedrzeć do tego domu, może byłby jej szukał – przy blasku tej świecy.

Piotr przyglądał się jej ciekawie i począł rozmyślać.

Kapitan oddał ją w moje ręce. Czemu? Musiał mieć w tym jakiś cel, ale jaki? Zaraz... zaraz... Powiedział mi: – „Cokolwiek potem uczynisz – dobrze uczynisz. Głęboko pomyślisz a szlachetnie uczynisz”! – Należy przeto pomyśleć głęboko. A potem uczynić szlachetnie... Dobrze, panie kapitanie, najdroższy człowieku!

Ukrył dobrze drogocenną perłę i usnął z uśmiechem.

Nazajutrz kapitan „Torunia” przysłał po niego Wójcika. Wesoly marynarz uściskał Piotra w milczeniu, serdecznie przywitał Fregatę, potem ciekawie spojrzął na dziewczynę.

– Kto to taki? – zapytał cicho.

– Uczciwa córka uczciwych ludzi – odrzekł Piotr.

– Dobrze wiedzieć, że ktoś taki jest na tym świecie – powiedział Wójcik.

Kapitan wziął Piotra pod rękę i zawiódł go do rejenta. Siwy, poważny człowiek przyjrzał mu się ciekawie i poprosił ich, aby usiedli, potem wydobywszy dokument odczytał go głośno i wyraźnie. Oszołomiony Piotr dowiedział się, że kapitan Baren pozostawił mu w testamencie wszystko, cokolwiek posiadał, z prośbą, aby dał przytułek Fregacie do końca jej życia. Opiekunem Piotra mianował kapitana „Torunia”.

Testament był bardzo szczegółowy i wyliczał wszystko, co tylko można było znaleźć w domu kapitana; nie zapomniano w nim także i o świecy „ze wszystkim, co zawiera”.

– Dziwna to jakaś świeca – mówił rejent. – Kapitan Baren nie chciał mnie objaśnić, co zawiera, bo cóż wreszcie może być w świecy? Knot i tyle. Powiedział mi tak: – „Piotr będzie wiedział i uczyni to, czego ja nie uczyniłem, bo zastanawiałem się zbyt długo. Mnie zresztą mogli to zabrać, ale jemu nie zabiorą”. – Czy pan co z tego rozumie, panie Piotrze?

– Tak – odrzekł Piotr śmiało. – Ja wszystko rozumiem.

Patrzyli na niego ciekawie, on zaś powoli wyjął z kieszeni malutkie zawiniątko i odwijał je

starannie.

– To znalazłem we wnętrzu świecy – rzekł dobitnie.

– O, jakaż to wspaniałość! – zdumiał się rejent. – W życiu moim nie widziałem takiej perły. Odziedziczyłeś majątek, drogi chłopcze!

– Ja? – zdumiał się Piotr. – Nie, proszę pana.

– Przecie ta perła należy prawnie do ciebie.

– Prawnie może należy, kapitan jednak pozostawił mi pewne polecenia. Panie kapitanie, czy ja mogę rozporządzać tą perłą?

– Za moją zgodą – odrzekł kapitan.

– Błagam pana, aby się pan zgodził. Rozmyślałem dzisiaj w nocy i rozmyślałem dzisiaj rano, co powinienem uczynić, aby spełnić polecenie pana kapitana Barena. Tę perłę trzeba sprzedać. Ja wiem, że ona jest warta bardzo wiele... A pieniądze przeznaczyć na stypendium dla chłopców, co mają zamiar zostać marynarzami. Stypendium imienia kapitana Barena. Czy pan kapitan pozwoli na to wszystko?

Kapitan spojrzał pytająco na rejenta, który skinął głową.

– Dobrze, drogi chłopcze – rzekł, ukrywając wzruszenie. – Dobrze to obmyśliłeś... Uradujesz swojego kapitana... Podaj mi rękę!

– I mnie – powiedział szybko rejent.

– Jeszcze jedno – mówił Piotr, serdecznie wzruszony. – Wiem o uczciwym kupcu, który zna tę perłę i chętnie ją kupi. Jest to Chińczyk Li-Fu, a tu jest jego adres.

Piotr wracał z podniesioną głową na swoją „Stellę”. Dzień był jasny i promienisty, nie był jednak jaśniejszy niż czysta i szczęśliwa dusza Piotra. Uśmiechał się do wszystkich po drodze, wszyscy uśmiechali się do niego.

Nagle przystanął i zaczął przyglądać się dziwnemu wehikułowi; był to drewniany wózek na czterech pokręconych automobilowych kołach, popychany pracowicie przez zmęczonego młodzieńca.

– Józio Robak ze swoim foldem! – zdumiał się Piotr. – Ten człowiek nie zginie.

Fregata, która знаła testament biorąc udział jako świadek przy jego sporządzaniu, patrzyła na Piotra dawnym rozmiłowanym spojrzeniem, pomieszczonym z szacunkiem przeznaczonym dla nowego komendanta „Stelli”.

– Piotrusiu... panie kapitanie... – mówiła drżącym głosem.

– Pani Fregato najdroższa – śmiał się Piotr. – Jestem zawsze tylko biednym Piotrusiem. Co mi pani chciała powiedzieć?

– To chciałam powiedzieć, że nie ma dnia, aby Wójcik tu nie przyszedł.

– To dobrze. Szkoda, że go nigdy nie spotkałem.

– Bo on nie do ciebie przychodzi.

– Więc do pani?

– Do mnie? Po co miałby przychodzić do mnie? Ja wiem, po co ten ptaszek tu się zjawia. Powiem ci, tylko mnie nie zdradz. On się chce żenić!

– Z kim? – zdumiał się Piotr.

– Przecież nie ze mną. Z Anielcią Modlewicówną.

– A dajże im Boże, szczęście! – ucieszył się Piotr.

– Szczęście... zaraz szczęście... Ładne szczęście, gdy się mąż utopi, a ty płacz, nieszczęśliwa kobieto. Znałam jednego, co się utopił w trzy dni po ślubie, choć nie na morzu, tylko na samym brzegu, bo był pijany i wleciał do wody.

Piotr oczekiwał, kiedy go Wójcik poprosi o napisanie płomienistego listu. Tymczasem zaś sam pisał list do grzecznego ojca dziewięciorga niegrzecznych dzieci, do pana Li-Fu. Obszerny był to list i niezwykle serdeczny, taką bowiem byłaby zapewne odpowiedź kapitana. Została w nim opisana przedziwna historia „Oka zorzy”, które przywędrowało z dalekiego oceanu na małe zimne morze. A Li-Fu będzie miał wilgotne oczy czytając o

ostatnich chwilach swojego przyjaciela.

Potem Piotr powiedział sobie:

– Żałobę po najdroższym człowieku ukryję głęboko w sercu i będę ją tam chował do końca życia, najwięcej zaś tym go uraduję, jeśli się stanę godnym jego zaufania. Muszę się stać człowiekiem, pełnym człowiekiem!

Uczył się z ogromną gorliwością. Nie słońce jego, lecz raczej on budził słońce; czasem noc już siwiała, a on jeszcze pochylał się nad książką. Odpoczywając, spoglądał na morze niezmordowanie pracowite, wieczyste ruchliwe. W niedziele i w dzień świąteczne krążył po porcie, w którym znał każdy słup i każdą deskę; przewędrował przez wszystkie nadbrzeżne osiedla pragnąc poznać wszystkie zakamarki i wszystkie załomy polskiej bramy. Jako „marynarz”, mający poza sobą dwie podróże, był wszystkim znany i miał wstęp na każdy pokład, wszędzie mile witany. Patronem jego był zawsze Wójcik, dziwnie jakoś wobec niego nieśmiały i niby od niechcenia zapytujący, co słyhać na „Stelli”.

– Wszystko w porządku! – odpowiadał Piotr. – Fregata cieszy się zdrowiem.

– A panna Anielcia? – pytał marynarz patrząc na krążące mewy.

– Bardzo chora – mówił Piotr nielitościwie. – Z tęsknoty! Nie było pana przecież przez trzy tygodnie.

– Byłem w Hull i jadłem mgłę na kwaśno – martwił się marynarz.

– Wobec tego niech pan dzisiaj do nas przyjdzie na obiad. Sos Fregaty jest taki zawieszisty jak angielska mgła.

Wreszcie nadszedł wielki dzień Piotra; zdawało się jednak, że to nie on zda egzamin dojrzałości, tylko Fregata i Anielcia, i Wójcik, i nie umiejący czytać Literat, i najmniej połowa obecnej w Gdyni okrętowej załogi. Fregata modliła się z Modlewiczówną, a marynarze siedzieli w ponurym milczeniu w mleczarni „Pod Toruniem”. Swoim własnym niepokojem zarazili mleczarkę, która zagroziła całemu światu, że jeśli Piotr nie zda egzaminu, wtedy ona własnoręcznie podpali gimnazjum.

– To jest najmądrzejszy chłopiec na świecie – mówiła z głuchym dudnieniem. – Nawet w waszym towarzystwie nie mógł zgłupieć.

Piekielna groźba była zbędna. Piotr bowiem, spokojny i znakomicie przygotowany, zdał egzamin śpiwająco. Nauczyciele uśmiechali się do niego życzliwie, słuchając odpowiedzi jasnych i krótkich, dawanych głosem pewnym. Wybiegł ze szkoły uradowany i szczęśliwy i tuż za bramą natknął się na Literata.

– Co tu robisz, słynny Literacie? – zapytał zdumiony.

– Zdałeś? – wrzasnął Literat.

– Zdałem! Albo co?

Tamten nie odpowiedział, tylko wyszczerzywszy zęby w uśmiechu pognał do mleczarenki, krzycząc już z daleka:

– Zdał! Zdał!

– Całe ich szczęście! – oznajmiła radośnie mleczarka. „Stella” wybuchnęła ogromnym rwetesem po powrocie Piotra.

– O, jakby się cieszył pan kapitan! Jakby się cieszył! – łkała Fregata ściskając swojego Piotra.

Szybko zjawił się, zawiadomiony przez marynarzy, kapitan „Torunia”.

– Piotrze miły! – rzekł z radością. – Za dwa miesiące znowu powędrujesz do szkoły, do swojej szkoły, ale teraz odpocznij. Pojutrze jedziemy do Rewia. Chcesz pojechać z nami?

– Rozkaz, panie kapitanie!

Nazajutrz wziął walizeczkę wypchaną przez Fregatę tak przezornie, jak gdyby ten Rewel leżał na końcu świata, i szedł wesoło do portu. Po drodze spotkał leżącego na piasku dryblasę, który uniósł się leniwie i rzekł:

– Może odnieść, proszę pana? Piotr spojrział i zmrużył jedno oko.

– Panie Szczerbaty – powiedział wesoło – czy panu potrzebna druga moja walizka?
– Pan mnie zna?
– Poznałem pana po użębieniu. Czy pan stracił inne zęby?
– Mówić nie warto – odrzekł dryblas. – Czasy takie spokojne, że nie ma się z kim pobić uczciwie.

– Byłbym na pańskie usługi za moją walizkę i za dwie koszule, ale nie mam czasu.

Pobiegł szybko, bo „Toruń” buczał niecierpliwie.

Morze było niespokojne i wysokie. Wiatr hulał po nim i okrążał je jak owczarski pies pastwisko. Fale tłukły łbami o kamienne, niewzruszone zręby brzegu i odbiegały z bolesnym sykiem.

Korekta: Małgorzata Suchocka